

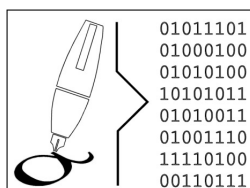
Robert A. Heinlein

Kawaleria kosmosu

Starship Troopers

Tłumaczyła: Irena Lipieńska

1994



1

Naprzód, cholerne pawiany!

Chcecie żyć wiecznie?

— Nieznany sierżant, dowódca plutonu, 1918.

Zawsze mną trzęsie przed zrzutem. Dostałem rzecz jasna zastrzyki i przeszedłem sesję hipnozy, ale to coś po prostu we mnie tkwi. Rozsądek mówi, że nie mam się czego bać, a psychiatra stwierdził, że to wcale nie strach — tylko takie drżenie z podniecenia. Jak koń wyścigowy przed startem. Nigdy nie byłem koniem wyścigowym, ale fakt pozostaje faktem — jestem kretyńsko przerażony za każdym razem.

Na trzydzieści minut przed godziną X, kiedy zebraliśmy się w służbie Rodgera Younga, dowódca naszego oddziału przeprowadził inspekcję. Właściwie to nie był on naszym dowódcą, tylko sierżantem w oddziale, ale gdy porucznik Raszak poległ w czasie ostatniej akcji, sierżant Jelal faktycznie nami dowodził.

Jelly jest Fino-Turkiem, z Iskanderu koło Proximy. Smagły i niski, wygląda jak urzędnik, ale widziałem, jak załatwił dwóch szeregowców, którzy wpadli w szal. Musiał podskoczyć, by ich chwycić za łby. Trzasnęło, jakby łupał orzechy. Poza służbą zły nie jest — jak na sierżanta oczywiście. Można nawet nazywać go Jelly. Nie rekruci, rzecz jasna, ale każdy, kto ma za sobą choćby jeden bojowy zrzut.

W tej chwili był jednak na służbie. Każdy z nas już wcześniej sprawdził swój ekwipunek, sierżant dyżurny skontrolował to w czasie zbiórki, ale Jelly musiał przeprowadzić własny przegląd — złośliwie wykrzywiona gęba i oko, które nic nie przepuści. Zatrzymał się przed facetem stojącym przede mną, nacisnął mu na pasie guzik zapisu stanu fizycznego.

— Wystąp!

— Ależ sierżancie, to tylko przeziębienie! Doktor powiedział...

Jelly przerwał mu.

— Ależ sierżancie! — warknął — To nie doktor ma być katapultowany, ale także i nie ty z gorączką. Myślisz, że mam czas na pogawędkę tuż przed zrzutem? Zjeżdżaj!

Jenkins odszedł smutny i zły. Ja także czułem się nieszczególnie. Ostatnio zostałem dowódcą pododdziału i teraz będę miał dziurę po Jenkinsie, której nie ma kim wypeł-

nić. To niedobrze. To znaczy, że gdyby ktoś wdepnął w jakieś bagno i wzywał pomocy, nikt mu nie pospieszy na ratunek...

Jelly nie wykluczył nikogo więcej. Stał przed nami, popatrzył i smętnie potrząsnął głową.

— Co za banda małp! — zamamrotał. — Może, gdybyście wszyscy wyparowali w tej akcji, udałoby się stworzyć nową jednostkę, taką jakiej oczekiwał porucznik.

Wyprostował się nagle i wrzasnął:

— Chcę wam przypomnieć, głupie małpy, że każdy z was kosztował rząd, wliczając broń, amunicję, ekwipunek, wyszkolenie i to, jak się przeżeracie — każdy kosztował żywą gotówką ponad pół miliona! Dodajcie do tego jeszcze trzydzieści centów swojej prawdziwej wartości, a wypadnie wcale ładna sumka. — Wlepił w nas wzrok. — Nie życzę sobie żadnych bohaterów w tej jednostce. Porucznikowi wcale by się to nie podobało. Schodzicie w dół, wykonujecie zadanie, macie uszy otwarte na sygnał powrotu i meldujecie się cali, zdrowi i w komplecie. Zrozumiano? — Znów obrzucił nas wzrokiem. — Zakładam, że znacie plan, ale raz jeszcze go przypomnę. Zostaniecie zrzućeni w dwóch liniach. Podacie mi swoje zamiary, gdy tylko wylądujecie. Podacie też zamiary swoim towarzyszom z jednej i drugiej strony. Będziecie się maskować w terenie. Macie niszczyć i burzyć wszystko, co pod ręką, dopóki nie wylądują skrzydłowi. — Mówił o mnie, miałem być lewym skrzydłowym, bez nikogo przy boku. Znowu zacząłem drżeć. — Skoro oni znajdują się na dole, macie wyprostować linie! Wyrównać odległości! I zabrać się do dzieła. Potem posuwacie się naprzód żabimi skokami. — Spojrzał na mnie. — Jeżeli wykonacie to właściwie, w co wątpię, flankowi porozumieją się ze mną na dźwięk odwoławczy... i wtedy jazda do domu. Są jakieś pytania?

Pytań nie było. Nigdy nie ma pytań. Mówił więc dalej.

— Jeszcze jedno. To jest tylko nalot, a nie bitwa. To ma być demonstracja siły, ognia i terroru! Nasza misja polega na tym, by pokazać Skórniakom, że możemy zniszczyć ich miasto, ale tego nie robimy, że nie mogą czuć się bezpieczni, chociaż powstrzymujemy się od totalnego bombardowania. Nie bierzcie żadnych jeńców. Zabijajcie tylko w ostatecznym wypadku. Ale cały teren, który zaatakujemy, ma zostać obrócony w perzynę. Nie życzę sobie, żeby jakiś darmozjad wrócił mi tu z nie wykorzystaną amunicją! Zrozumiano? — Zerknął na zegarek. — Bycze Karki Raszaka mają reputację, którą muszą utrzymać. Porucznik prosił, zanim dał za wygraną, aby powiedzieć wam, że nigdy nie spuści was z oczu... i że oczekuje, iż wasze imiona okryją się chwałą!

Jelly popatrzył na sierżanta Migliaccio, dowódcę pierwszego pododdziału.

— Pięć minut dla Padre — oznajmił. Niektórzy z chłopców opuścili szeregi, podeszli i uklękli przed Migliaccio. Każdy, kto chciał usłyszeć od niego słowo przed wyprawą.

Podobno kiedyś były oddziały mające swoich kapelanów, którzy nie walczyli razem z innymi. Nie umiem wyobrazić sobie, jak kapelan może błogosławić coś, w czym sam nie chce uczestniczyć.

Tak czy inaczej, w Piechocie Zmechanizowanej każdego zrzucają i każdy walczy — i kapelan, i kucharz, i adiutant Starego. Gdy wchodzimy do kanału odpalającego, na pokładzie nie zostaje żaden Byczy Kark.

Tym razem poza Jenkinsem, oczywiście, ale to nie jego wina.

Nie podszedłem do Migliaccio. Zawsze obawiam się, że ktoś mógłby dostrzec, jak się trzęsę. A zresztą Padre może równie dobrze pobłogosławić mnie z daleka. Ale kiedy ostatni z klęczących wstał, on zbliżył się do mnie i przysunął swój hełm.

— Tylko jedno, Johnnie — powiedział spokojnie — nie staraj się wyskakiwać przed orkiestrę. Znasz swoją robotę. Wykonaj ją. Po prostu wykonaj. Czy musisz od razu dostać medal?

— Och, dziękuję, Padre, nie muszę.

Dodał coś w języku, którego nie znam, poklepał mnie po ramieniu i pospieszył do swoich.

Jelly wrzasnął:

— Dziesiątkami!!!! — i wszyscy poderwali się na baczność... — Oddział... sekcjami... lewa burta i prawa burta... przygotować się do zrzutu! Pododdział! Obsadzić kapsuły! Marsz.

Musiałem czekać, aż cały pododdział obsadzi swoje kapsuły i przesunie się do kanału odpalającego.

Zastanawiałem się, czy tamci wojownicy, w dawnych czasach, też trzęśli się ze strachu, kiedy wchodzili do Konia Trojańskiego.

Jelly sprawdzał, czy każdy jest hermetycznie zamknięty, a moją kapsułę zamknął sam. Pochylił się przy tym i powiedział:

— Żebyś tylko nie skrewił, Johnnie. To przecież tak samo jak na ćwiczeniach.

Kłapa zamknęła się i zostałem sam. Tak jak na ćwiczeniach, powiedział. Zacząłem trząść się nieprzytomnie. Potem w słuchawkach usłyszałem głos Jelly'ego:

— Uwaga! Bycze Karki Raszaka... gotowi do zrzutu!

— Siedemnaście sekund, poruczniku! — zabrzmiał w odpowiedzi pogodny kontrakt pilotki i poczułem do niej urazę, że nazywa Jelly'ego porucznikiem. Nasz porucznik rzeczywiście nie żył i możliwe, że Jelly otrzyma po nim nominację... ale byliśmy wciąż jeszcze Byczymi Karkami Raszaka.

— Powodzenia, chłopcy! — dodała.

— Dzięki, pani komandor.

— Zapiąć pasy! Pięć sekund.

Byłem cały spięty pasami — brzuch, czoło, nogi... ale drżałem bardziej niż kiedykolwiek.

...Siedzisz w całkowitej ciemności, owinięty jak mumia i przywiązany, bo działa siła przyspieszenia, zaledwie możesz oddychać, i wiesz, że gdybyś nawet mógł zdjąć hełm,

to wokół ciebie, w kapsule, jest tylko azot, i wiesz, że ta kapsuła znajduje się w kanale odpalającym i gdyby statek został trafiony, nim zdążyliby ciebie wystrzelić, nie miałbyś czasu nawet zmówić pacierza, umarłbyś tam po prostu, bezradny, nie mogący się poruszyć.

Właśnie to nie kończące się oczekiwanie w ciemności powoduje, że się trzęsiesz, myślisz, że może zapomnieli o tobie... że może statek został już trafiony i unieruchomiony na orbicie, martwy, i ty też zaraz będziesz martwy, zadusisz się... albo że pędzisz po orbicie, żeby się roztrzaskać, o ile wcześniej nie upieczesz się, spadając w dół...

Nagle odczuliśmy włączenie systemu hamowania statku i przestałem drżeć. Rzuciło mną osiem albo może i dziesięć razy.

Kiedy pilotem prowadzącym statek jest kobieta, to nie można spodziewać się pieszczot: będziesz miał siniaki w każdym miejscu, gdzie trzymają cię pasy.

Tak, tak, wiem, że są one lepszymi pilotami niż mężczyźni, że ich reakcje są szybsze i że lepiej znoszą przyspieszenie. Potrafią szybciej startować i zręczniejszymi umyćkać, i dlatego zwiększają nasze szansę. Ale to przecież twój kręgosłup musi znieść dziesięciokrotne przeciążenie... i jeszcze te cholerne pasy...

Muszę jednak przyznać, że pani komandor Deladrier znała swój zawód.

Gdy tylko Rodger Young przestał hamować, padła ostra komenda:

— Kanał centralny... desant! — Nastąpiły dwa wstrząsy, kiedy katapultował się Jelly i facet pełniący obowiązki sierżanta w oddziale. A zaraz potem: — Kanały z lewej i prawej burty... desant! — i to był rozkaz dla nas.

Bum! Kapsuła została szarpnięta do przodu — bum! i znów nią szarpnęło, zupełnie tak jakby ładowano naboje do komory broni automatycznej starego typu. No cóż, właściwie nie byliśmy niczym innym jak właśnie pociskami ładowanymi do dwóch luf wbudowanych w transportowiec kosmiczny. Ale każdy taki pocisk był kapsułą, dostatecznie dużą, by pomieścić piechura z polowym ekwipunkiem.

Bum! — Normalnie miałem trzecie miejsce w kolejce, ale teraz byłem w ogonie, na końcu, po całym pododdziale. Było to meczące czekanie, choć kapsuły wystrzeliwano co sekundę. Próbowiałem liczyć — bum! (dwunasta), bum (trzynasta), bum!...I bzzz! — moja kapsuła wsuwa się do komory — potem jeszcze tylko grzmot...

I nagle NIC.

W ogóle nic. Żadnego dźwięku, żadnego ciśnienia, żadnego przeciążenia. Unoszenie się w ciemności... zbliżanie się w stanie nieważkości do planety, której nigdy nie widziałem. Ale już się nie trzęsę. Najgorsze było czekanie. Teraz, jeśli nawet coś pójdzie źle, to stanie się to tak szybko, że ani się spostrzeżesz, a już będziesz trupem.

Moja kapsuła łagodnie weszła w atmosferę. Jej zewnętrzna powłoka spaliła się i odpadła.

Żołnierz w kapsule może przeżyć do wypłaty następnego żołądka tylko dzięki temu, że odpadające resztki zwalniają spadanie, a potem unosząc się w powietrzu sprawiają, że radary „widzą” wiele celów w tym rejonie. Mogą to być ludzie, bomby lub coś zupełnie innego, ale to wystarczy, by doprowadzić komputery balistyczne do nerwowego załamania, co też ma miejsce.

Aby zwiększyć to całe zamieszanie, statek, zaraz po katapultowaniu kapsuł, zrzuca ogromne jaja, które spadają szybciej, bo nie odrywa się od nich zewnętrzna osłona. Gdy znajdują się niżej niż człowiek, eksplodują i wyrzucają metalowe pasy, które zakłócają urządzenia radiolokacyjne, czasem działają jako elektroniczne przyrządy odzewowe i robią jeszcze inne psikusy, powodując zamieszanie w powitalnym Komitecie oczekującym cię na dole.

Twój statek ignoruje cały ten radarowy obłąd i spokojnie odbiera od dowódcy oddziału sygnały latarni radiolokacyjnej.

Po odpadnięciu drugiej powłoki, automatycznie otworzył się pierwszy spadochron, ale przy deceleracji kilku g zaraz porwał się w strzępy. Potem otworzył się drugi i trzeci. W kapsule robiło się gorąco i myślałem już o lądowaniu.

Trzecia powłoka odpadła razem z ostatnim spadochronem i teraz pozostałem w opancerzonym skafandrze wewnątrz plastikowego jaja. Wciąż byłem do niego przytwierdzony pasami, tak że nie mogłem się ruszać.

Nadeszła pora podjęcia decyzji, jak i gdzie mam lądować. Nacisnąłem kciukiem guzik na skali odległości i odczytałem wynik na płytce odblaskowej umieszczonej w hełmie nad moim czołem. Mila i osiem dziesiątych. Trochę za daleko...

Jajo osiągnęło stałą szybkość i już mi właściwie nie było potrzebne. Pstryknąłem więc wyłącznikiem.

Pierwszy ładunek detonujący wyzwolił mnie ze wszystkich pasów, a drugi rozerwał jajo na osiem kawałków.

Znalazłem się na zewnątrz, w powietrzu, i mogłem widzieć! Pokryte metalem szczątki powłoki dawały taki sam refleks jak człowiek w bojowym rynsztunku. Każdy obserwator radaru, żywy czy cybernetyczny, będzie miał nie lada zgryz, żeby mnie wyłuskać spośród tego rupiecia unoszącego się wokół.

Wyprostowałem się rozkładając ręce i rozejrzałem...

W dole panowała noc, ale noktowizor pozwalał zupełnie dobrze orientować się w terenie. Rzeka, która przecinała miasto po przekątnej, była tuż przede mną i zbliżała się coraz szybciej wyraźną, błyszczącą powierzchnią. Było mi obojętne, na którym brzegu wyląduję, jednak wolałbym się nie skąpać.

Zauważyłem wybuch płomienia po prawej stronie, prawie na mojej wysokości. Widać jakiś niezycliwy krajowiec strzelił do szczątków powłoki jaja.

Odpiąłem spadochron, żeby jak najszybciej zejść z ekranu owego krajowca, bo wokół mnie zaczęły rozrywać się pociski. Rzuciło mną i przez jakieś dwadzieścia sekund leciałem w dół, dopóki nie otworzyłem drugiego spadochronu.

Udało się — nie trafili i nie spalili mnie.

Spostrzegłem, że przenosi mnie nad rzeką i że zbliżam się do jakiegoś domu towarowego czy czegoś w tym rodzaju, z płaskim dachem. Wylądowałem na nim podskakując — to zadziałały wmontowane w kombinezon raketki podrzutowe przeciwdziałające gwałtownemu uderzeniu. Zaraz też zacząłem penetrować przestrzeń w poszukiwaniu sygnału od sierżanta Jelala.

Okazało się, że jestem po złej stronie rzeki — gwiazda Jelly'ego pokazał się bowiem na obrzeżu kompasu w moim hełmie. To znaczy, że znajdowałem się za daleko na północ. Podbiegłem do krawędzi dachu i wziąłem namiar dowódcy najbliższej sekcji.

— Ace, wyrównaj front! — zawołałem i rzuciłem za siebie bombę, schodząc jednocześnie z dachu i przekraczając rzekę.

Dom towarowy wyleciał w powietrze. Podmuch uderzył mnie, gdy byłem jeszcze nad rzeką i nie chroniły mnie budynki po przeciwnej stronie. O mało co, a bym się zważył i stracił swój żyroskop. Nastawiłem tę bombę na piętnaście sekund... a może nie?

Zdałem sobie nagle sprawę, że zaczynam się denerwować. To przecież tak samo jak na ćwiczeniach, Jelly wiedział i ostrzegał mnie. Uspokój się i rób, co do ciebie należy, nawet gdyby to miało zabrać jeszcze następne pół sekundy.

Ponownie wziąłem namiar na Ace'a i powiedziałem, żeby wyrównał. Nie odpowiedział, ale zrobił to, dałem więc spokój. Jak długo Ace wykonuje swoje zadanie, mogę przełknąć jego grubiaństwo... na razie. Ale po powrocie na pokład — oczywiście jeżeli Jelly zatrzyma mnie na stanowisku dowódcy pododdziału — znajdziemy jakieś ustronne miejsce i przekonamy się, kto tu jest bossem.

On był wprawdzie zawodowym kapralem, a ja tylko w stopniu kaprała, ale na razie mi podlegał i nie mogłem pozwolić na żadną beczelność. Żeby mu nie weszło w nawyk.

Jednak teraz nie miałem czasu o tym myśleć. Kiedy przeskakiwałem rzekę, dostrzegłem ponętny cel i chciałem go załatwić.

Była to spora grupa czegoś, co wyglądało jak budynki użyteczności publicznej. A może świątynie... albo pałac.

Leżały o parę mil poza obszarem, który oczyszczaliśmy, ale jedną z reguł postępowania „zamieniaj w gruzy i uciekaj” był nakaz pozbycia się przynajmniej połowy amunicji poza granicami rejonu akcji. Dzięki temu wróg nie mógł zorientować się, gdzie w danym momencie jesteśmy.

I jeszcze jedno: bądź stale w ruchu i wszystko rób szybko. Oni zawsze mają dużą przewagę liczebną. Jedyne co nas ratuje, to zaskoczenie i szybkość manewru.

Kiedy ładowałem raketnicę i miałem napomnieć Ace'a po raz drugi, dobiegł mnie głos Jelly'ego przez obwodowe połączenie do wszystkich:

— Oddział! Żabim skokiem! Naprzód!

Przez jakieś dwadzieścia sekund mogłem się niczym nie martwić, skoczyłem więc na najbliższy budynek, podniosłem miotacz do ramienia i odnalazłem cel. Pociągnąłem za pierwszy spust — rakietę na celu, potem za drugi spust — buźka, jazda — i odskoczyłem do tyłu.

— Drugi pododdział dwójkami! — zawołałem... odczekałem moment — Naprzód!

Przeskoczyłem ponad następnym rzędem budynków, częstując te z tyłu ogniem z ręcznego miotacza. Zdaje się, że były drewniane, bo zaraz objął je ogień. A do tego w niektórych były składy benzyny i materiałów wybuchowych.

Zaraz po skoku skierowałem na nowe cele dwie małe bomby H.E. Nie wiedziałem, co zdziały, bo akurat wybuchła moja pierwsza rakietę i cały teren rozświetlił się eksplozją atomową.

Była to co prawda dziecinna zabawka, o sile wybuchu mniejszej niż dwie kilotony, ale nikt przecież nie chce wchrzanić kolegów w katastrofę kosmiczną.

Mnie ten błysk nie oślepił. Nasze kaski mają ołowiane pokrywy nad oczami, noktowizory. Zostaliśmy też wyszkoleni, żeby pochylać się i przyjmować promieniowanie na opancerzony kombinezon.

Zamrugałem tylko powiekami, a gdy otworzyłem oczy, spostrzegłem miejscowego obywatela wychodzącego przez dziurę w budynku na wprost mnie. On spojrzął na mnie, a ja na niego. Zaczął coś unosić — chyba jakąś broń — i wtedy Jelly zawołał: Naprzód!

Nie miałem czasu, żeby się cackać ze Skórniakami — byłem o dobre pięćset jardów za oddziałem i musiałem się spieszyć. W ręku wciąż trzymałem miotacz, więc przypieklełem go i przeskoczyłem budynek, z którego właśnie wyszedł.

Ręczny miotacz ognia służy głównie do podpalania, ale jest to dobra broń osobista, zwłaszcza na terenach ciasno zabudowanych — nie trzeba specjalnie dokładnie celować.

Byłem zdenerwowany, chciałem jak najszybciej dołączyć i skoczyłem za wysoko i za daleko. Zawsze człowiek ma taką pokusę — ale nie należy tego robić! Wtedy bowiem przez parę sekund wisi się w powietrzu, będąc grubym i dużym celem.

Najlepszy sposób posuwania się naprzód to prześlizgiwanie się nad każdym budynkiem tak nisko, jak tylko można, bo wtedy wykorzystuje się osłonę, no i nie wolno pozostawać na jednym miejscu dłużej niż sekundę lub dwie, żeby nie mieli czasu w ciebie wycelować.

Zmieniaj wciąż miejsce, ruszaj się!

Tym razem spartoliłem — skoczyłem za daleko jak na jeden rząd budynków, za blisko, żeby przeskożyć i następny.

Znalazłem się na dachu. Ale nie na wygodnym, płaskim dachu, gdzie mógłbym zostać ze trzy sekundy i wyrzucić maleńką atomową raketkę. Ten dach był dzungłą rur, słupów i różnego rodzaju żelastwa — może jakaś fabryka albo zakłady chemiczne.

Nie było gdzie wylądować. A jeszcze gorzej, że znajdowało się tam z pół tuzina krajozwojców.

Te dziwolągi są humanoidalne, mają osiem lub dziewięć stóp wzrostu, chudzi z obwisłą skórą. Nie noszą ubrań i wysuwają jakieś czułki, podobne do reklamy neonowej. Jeszcze śmieszniej wyglądają przy świetle dziennym, kiedy patrzy się na nich gołym okiem, ale już wolę walczyć z nimi niż z Pluskwo-Pajęczakami... Jak widzę Pluskwo-Pajęczaki, to mi się żołądek przewraca.

W żadnym razie nie chciałem z nimi zaczynać, to nie był rajd tego rodzaju. Odbiłem się więc znowu i rozrzuciłem garść dziesięciosekundowych gałek ognistych, żeby mieli się czym zająć.

Wylądowałem, natychmiast znów skoczyłem i zawołałem:

— Drugi pododdział! Dwójkami!... Naprzód! — i sam pospieszyłem, próbując jednocześnie dostrzec coś, w co warto by pieprznąć raketą.

Chciałem wypatrzeć urządzenia wodno-kanalizacyjne. Jedno celne uderzenie i całe miasto stałoby się nie do zamieszkania. Musieliby się ewakuować. A przecież posłano nas właśnie po to, żeby im nieźle dokopać.

Nie mogłem jednak nic dostrzec. Może nie podskakiwałem dość wysoko. Kusiło mnie oczywiście, by skoczyć wyżej, ale przypomniałem sobie, co Migliaccio mówił o medalu i dałem spokój. Nastawiłem automat w miotaczu i za każdym razem, gdy dotykałem gruntu, wyrzucałem parę bombek i podpalałem na chybił trafił to, co było na drodze.

No, wreszcie coś znalazłem w odpowiedniej odległości... może właśnie wodociągi... Skoczyłem na dach najbliższego budynku, wziąłem obiekt na muszkę i wypaliłem. Nagle dobiegł mnie głos Jelly'ego:

— Johnnie! Red! Zaczynajcie oskrzydlać.

Potwierdziłem i usłyszałem, że Red też potwierdził. Nastawiłem sygnał świetlny na miganie, żeby mnie Red zauważył, wziąłem namiar na jego migacz i zawołałem:

— Drugi pododdział! Manewr oskrzydający dwustronny! Dowódcy sekcji potwierdzić!

Czwarta i piąta sekcja odpowiedziała, a Ace krzyknął:

— Już to robimy... sam się pospiesz!

Migacz Reda wskazywał, że prawe skrzydło znajduje się przede mną, na wprost, o jakieś piętnaście mil. O rany! Ace miał rację, muszę dobrze wyciągać nogi!

Wylądowaliśmy w szyku o kształcie V. Jelly u podstawy tego V, a Red i ja na końcach obu ramion. Teraz mieliśmy zamknąć koło, żeby mogli nas zabrać. Oznaczało to, że

Red i ja musimy pokonać największą odległość, a jeszcze po drodze zniszczyć to i owo. Wreszcie przestałem posuwać się żabimi skokami i mogłem się skoncentrować na szybkości. Już zaczynało się tu robić gorąco.

Rozpoczynaliśmy akcję mając ogromną przewagę zaskoczenia. Przy lądowaniu chyba nikt nie został ranny i działaliśmy w taki sposób, żeby ogniem nie szkodzić sobie nawzajem. Teraz ich obrona zaczynała dawać o sobie znać. Nie była to jeszcze akcja skoordynowana, ale już rozerwało się, tuż koło mnie, parę pocisków. Zacząłem szczekać zębami. Raz prześliznął się po mnie jakiś promień i włosy stanęły mi dęba; na moment cały zmartwiałem, na szczęście na tym się skończyło.

Bardzo się spiesząc, przebyłem prawie połowę drogi w minimalnym czasie, nie sprawiając im jednak poważniejszych szkód. Moja ładownica była już pusta, zatrzymałem się więc, żeby wprowadzić do wyrzutni rezerwowe bomby wodorowe.

Wziąłem namiar na Ace'a i przekonałem się, że jestem dostatecznie daleko, by się pozbyć dwóch ostatnich atomowych rakietek. Wskoczyłem na dach najwyższej budowli w sąsiedztwie.

Było już jasno. Podniosłem niepotrzebny noktowizor na czoło i rozejrzałem się dookoła. Na horyzoncie dostrzegłem ich port kosmiczny. Obok znajdowała się jakaś ogromna konstrukcja, której nie mogłem zidentyfikować. Kosmodrom był bardzo oddalony, ale wskazałem go rakiecie, powiedziałem:

— Leć maleńka, poszukaj! — i nakręciłem jej usterzenie ogonowe. Potem ostatnią wyrzuciłem w stronę najbliższego celu i odskoczyłem.

W tym samym momencie dostał budynek, na którym stałem. Albo jakiś Skórniak doszedł do wniosku (i słusznie), że warto poświęcić budynek za jednego z nas, albo też któryś z moich kolegów był nieco lekkomyślny.

Tak czy inaczej, postanowiłem teraz nie skakać, a przejść przez następne parę budynków. Zdjąłem z pleców ciężki miotacz ognia, opuściłem na oczy noktowizor i cały strumień promieni skierowałem na wznoszącą się przede mną ścianę. Zrobiła się wyrwa. Wszedłem, i wycofałem się jeszcze szybciej.

Nie widziałem, co rozwaliłem — zgromadzenie w kościele, dom noclegowy Skórniaków, a może kwaterę główną ich obrony. Zobaczyłem tylko, że była to ogromna sala, zapchana tyłu Skórniakami, ilu nie chciałbym spotkać przez całe życie.

Nie był to chyba jednak kościół, bo ktoś strzelił do mnie, gdy się wycofywałem. Takie tylko uderzenie, które odbiło się od mojego kombinezonu — ale zadzwoniło mi w uszach i zatoczyłem się lekko.

Złapałem bez namysłu pierwszą rzecz, jaka wisiała mi u pasa, i rzuciłem. Usłyszałem, że zaczęło to skrzeczeć.

W Bazie powtarzali nam, że lepiej od razu zrobić cokolwiek konstruktywnego, niż wymyślić coś nadzwyczajnego po paru godzinach. Przez czysty przypadek zrobiłem

to, co należało. Skrzeczenie, które usłyszałem, to były słowa wypowiedane przez bombę w języku Skórniaków. W wolnym przekładzie brzmiało to tak: Jestem 30-sekundową bombą! Jestem 30-sekundową bombą! Dwadzieścia dziewięć!... dwadzieścia osiem!... dwadzieścia siedem!...

Miało to szarpać im nerwy. Może i tak. Ale na pewno szarpało i moje. Już bardziej humanitarnie jest zastrzelić. Nie czekałem końca liczenia.

Skoczyłem i zastanawiałem się, czy starczy im drzwi i okien, żeby uciec w porę. Wziąłem namiary na migacze Reda i Ace'a i okazało się, że znów zostałem w tyle. Trzeba było się spieszyć.

Po trzech minutach zamknęliśmy koło. Miałem Reda na lewym skrzydle, o pół mili dalej. Zameldował o tym Jelly'mu i usłyszałem, jak Jelly westchnął z ulgą, a potem ryknął do całego oddziału:

— Koło zamknięte, sygnału jeszcze nie ma, posuwać się pomału naprzód, niszcząc po drodze, co się da... Jak dotąd — dobra robota, nie popsujcie jej. Oddział! Sekcjami... w szyku!

Ja też uważałem, że dobra robota: większa część miasta płonęła. Dym był tak gęsty, że patrzyliśmy przez noktowizory. Wydałem rozkaz:

— Odliczyć i zameldować!

Czwarta sekcja nie mogła dojść do ładunku z odliczaniem, aż szef przypomniał, że numer Jenkinsa jest pusty. Piąta sekcja liczyła jak na liczydło i zacząłem czuć się dobrze... aż nagle odliczanie stanęło na numerze czwartym w sekcji Ace'a.

— Ace, gdzie jest Dizzy? — zawołałem.

— Zamknij się — odpowiedział. — Numer szósty! Odlicz!

— Sześć! — powiedział Srith.

— Siedem!

— Szósta sekcja brak Floresa — zakończył Ace.

— Jeden nieobecny — zameldowałem. — Flores, z szóstej sekcji.

— Zaginął czy zabity?

— Nie wiem... Ruszono na poszukiwanie.

— Johnnie, niech to przejmie Ace.

Nie usłyszałem go, więc i nie odpowiedziałem. Jasne, że wcale nie chciałem zasłużyć na medal, poszukiwanie to sprawa służby specjalnej. Dowódcy pododdziałów i sekcji mają inną robotę do wykonania.

W tym momencie poczułem się jednak nie do zastąpienia. Absolutnie niezastąpiony. Usłyszałem bowiem ten najpiękniejszy we wszechświecie dźwięk — sygnał statku mającego nas ewakuować.

Ten sygnał to rakieto-robot wystrzelona ze statku, która po uderzeniu w grunt zaczęła nadawać tę słodką, rozkoszną muzykę. Statek pojawi się za trzy minuty i lepiej być na miejscu, bo nasz autobus nie będzie czekał, a następnego może nie być bardzo długo.

Ale czy można odlecieć i zostawić kumpla... przecież jest jeszcze szansa, że on żyje... Nie, tego Bycze Karki Rasczaka nie zrobią. Usłyszałem, jak Jelly wydawał rozkaz:

— Głowa do góry, chłopcy! Zamknąć okrąg! Gotowi do odskoku! — I usłyszałem słodki głos sygnału:...*na wieczną chwałę piechoty, na sławę jej imienia, na sławę imienia Rodgera Younga*. A głos ten był tak upragniony, że nieomal czułem jego smak.

Niestety, oddalałem się w przeciwną stronę, za Ace'em, wyrzucając pozostałe bomby, gałki ogniowe i wszystko inne, co mogłoby mnie obciążać.

— Ace, masz jego sygnał?

— Tak. Wracaj, to się na nic nie zda!

— Ciebie już widzę... A on gdzie jest?

— Tuż przede mną, o jakieś ćwierć mili. Do cholery! To mój człowiek!

Nie odpowiedziałem. Po prostu skierowałem się w lewo, na ukos, tam gdzie mógł być Dizzy.

Ace stał nad nim, paru Skórniaków dopalało się, a reszta uciekała. Opadłem koło niego.

— Trzeba mu zdjąć kombinezon... Statek będzie lada chwila!

— Jest zbyt ciężko ranny!

Zobaczyłem, że to prawda — przez dziurę w skafandrze sączyła się krew. Zatkało mnie. Żeby zabrać rannego, trzeba by mu zdjąć zbroję... potem bierze się go na ręce i jazda.

— Co my teraz zrobimy?! — spytałem.

— Podniesimy go — powiedział Ace z zawziętością w głosie. — Chwyć go za pas z lewej strony. — Sam złapał z prawej i jakoś udało się nam postawić Floresa na nogi. — Trzymaj mocno! To teraz... gotowi do skoku — raz — dwa!

Skoczyliśmy. Nie za daleko i nie za dobrze. Ale jeden człowiek nie zdołałby go podnieść. Opancerzony kombinezon jest za ciężki. We dwóch jakoś sobie można poradzić. Skakaliśmy i skakaliśmy na komendę Ace'a, przy każdym dotknięciu gruntu prostując się i mocniej chwytając Dizzy'ego. Jego żyroskop był popsuty.

Rakieta sygnałowa skończyła nadawanie i wylądował statek mający nas zabrać... a my byliśmy jeszcze tak daleko. Usłyszeliśmy, jak sierżant pełniący służbę komendęrował:

— Przygotować się do załadunku!

Wydostaliśmy się wreszcie na otwartą przestrzeń. Nasz statek stał na ogonie i ostrzegawczo wył. Oddział jeszcze czekał, żołnierze ustawieni w koło kulili się za tarczami. Jelly zawołał:

— Kolejno... na pokład... marsz! — A my wciąż byliśmy za daleko! Widziałem, jak ci z pierwszej sekcji tłoczyli się na trapie i krąg wokół statku zmniejszał się.

Nagle jedna figurka wyłamała się z koła i zbliżyła do nas z szybkością, jaką umożliwiało jedynie wyposażenie kombinezonu dowódcy.

Jelly spotkał nas w powietrzu, chwycił Floresa za pasy do mocowania bomb i pomógł go nieść. Trzy skoki doprowadziły nas do statku. Wszyscy już byli wewnątrz, ale drzwi pozostały otwarte. Pilotka krzyczała, że spóźnimy się na randkę i wszyscy za to gorzko zapłacimy! Jelly nie zwracał na nią uwagi. Złożyliśmy Floresa na podłodze i sami padliśmy koło niego.

Gdy uderzyła w nas siła odrzutu, Jelly szepnął do siebie:

— Wszyscy obecni, panie poruczniku... Trzej ranni, ale wszyscy obecni.

Muszę przyznać pani komandor Deladrier, że nie ma lepszych pilotów jak kobiety. Randka, czyli spotkanie ze statkiem kosmicznym na orbicie, musi być precyzyjnie wyliczona. Nie wiem, jak się to robi i nie umiałbym.

Ale ona umiała. Odczytała na przyrządach, że silniki odrzutowe nie wypaliły w porę. Przyhamowała, nabrała znacznie większej szybkości i trafiła co do sekundy i co do milimetra. Gdyby Wszechmogący potrzebował kiedyś pomocnika do utrzymywania gwiazd na orbitach, to wiem, gdzie powinien go szukać.

Flores zmarł, gdy nabieraliśmy wysokości.

2

Zatańcz lepiej z dziewczętami I popij za dwóch.

Tak się przestraszyłem, że dałem nogę I nie zatrzymałem się ani nie obejrzałem, Aż znalazłem się w domu. Zamknąłem się u mamy w pokoju.

Yankee Doodle, weź się w garść, Przecież z ciebie zuch.

Tak naprawdę to nigdy nie miałem zamiaru wstąpić do wojska. A już z pewnością nie do piechoty! Wolałbym raczej dostać chłostę na rynku i zniesławić dobre imię rodziny.

Och, wspomniałem raz ojcu, gdy byłem w ostatniej klasie, że myślę, czyby nie pójść na ochotnika do Służby Federalnej. Chyba każdemu chłopakowi przychodzi to do głowy, gdy zbliżają się jego osiemnaste urodziny. Oczywiście, większość z nich nosi się z tym jakiś czas, a potem robią co innego, idą na studia, biorą posadę czy coś takiego. Ze mną pewnie też by tak było, gdyby mój najlepszy kumpel nie postanowił ze śmiertelną powagą, że pójdzie do wojska.

Carl i ja byliśmy w gimnazjum nierozłączni, razem podrywaliśmy dziewczęta, razem chodziliśmy na randki, byliśmy w tej samej grupie dyskusyjnej, razem wyzwalaliśmy elektrony w jego prywatnym laboratorium. Nie byłem wielkim geniuszem w elektronice, ale mam dość zręczne ręce. Carl ruszał głową, a ja wykonywałem jego instrukcje. To była fajna zabawa. Wszystko, co razem robiliśmy, było frajdą. Rodzice Carla nie mieli forsy, jaką miał mój ojciec, ale to się nie liczyło. Kiedy ojciec kupił mi helikopter Rollsa na czternaste urodziny, należał on tak samo do mnie, jak i do Carla. Tak jak jego laboratorium w piwnicy było również i moje.

Skoro więc Carl oznajmił, że nie będzie się dalej uczył, tylko najpierw odsłuży wojsko, no to powiedziałem, że ja też. Wiedziałem, że mówi serio, że uważa rzecz za słuszną i naturalną.

Spojrzał na mnie z ukosa.

— Twój stary ci nie pozwoli.

— Hm? Jak może mi nie pozwolić? — Rzeczywiście nie mógł. Jest to pierwszy (a może i ostatni) wolny wybór, jaki robi chłopak czy dziewczyna po osiągnięciu osiemnastu lat — może iść na ochotnika i nikt nie ma tu nic do powiedzenia.

— Przekonasz się. — I Carl zmienił temat. Zagadnąłem ojca w tej sprawie, tak raczej na próbę.

Odłożył gazetę i cygaro i spojrzał na mnie.

— Synu, rozum straciłeś? Zamamrotałem, że nie sędzę.

— No, tak wygląda — westchnął. — Właściwie... powinienem się spodziewać, to do przewidzenia u dorastającego chłopaka. Pamiętam, jak nauczyłeś się chodzić, przestałeś być niemowlęciem, a stałeś się małym nicponiem. Stłukłeś kiedyś matce wazon z epoki Ming... jestem przekonany, że naumyślnie. Byłeś za mały, żeby zdawać sobie sprawę z jego wartości, dostałeś więc tylko po łapach. A kiedyś ściągnąłeś mi papierosa i zrobiło ci się niedobrze. Matka i ja udawaliśmy, że nie widzimy, jak nie jesz obiadu i nigdy ci tego nie wypomniałem. Chłopcy muszą wiele wypróbować na własnej skórze, żeby się przekonać, że sprawy dorosłych są jeszcze nie dla nich. Obserwowaliśmy, jak zacząłeś dorastać i dostrzegać, że dziewczęta są inne... cudowne. I znowu westchnął.

— Wszystko to normalne stadia rozwoju. I ostatnie — u progu dojrzałości, kiedy chłopak decyduje się iść do wojska i nosić elegancki mundur. Albo stwierdza, że jest zakochany, jak nikt nigdy przed nim i że musi się natychmiast ożenić. Albo jedno i drugie. — Uśmiechnął się kwaśno. — Ze mną było jedno i drugie. Szczęśliwie przeszło mi, zanim wyszedłem na durnia i zrujnowałem sobie życie.

— Ależ ojcze, ja nie chcę sobie rujnować życia. To tylko służba — a nie kariera wojskowa.

— Zostawmy to, dobrze? Pozwól, że powiem ci, co będziesz robił, bo... chcesz to robić. Po pierwsze, rodzina nasza trzymała się z dala od polityki i uprawiała swój własny ogródek od ponad stu lat... Nie widzę powodu, żebyś miał odejść od tej wspaniałej zasady. Przypuszczam, że to wpływ tego twojego belfra z gimnazjum, no, jak on się nazywa? Wiesz, kogo mam na myśli.

Miał na myśli naszego profesora historii i filozofii moralnej, weterana, oczywiście.

— Pan Dubois.

— Hmm, dziwaczne nazwisko — ale pasuje do niego. Cudzoziemiec, niewątpliwie. Powinno być prawnie zabronione wykorzystywanie szkół jako punktów rekrutacyjnych. Myślę, że napiszę w tej sprawie bardzo ostry list. Płatnik podatków ma chyba jakieś prawa!

— Ależ ojcze, on wcale tego nie robi! On... — przerwałem nie wiedząc, jak opisać pana Dubois i jego nieprzyjemne, nadęte maniery. Właściwie to on zachowywał się tak, jakby żadnego z nas nie uważał za godnego służby wojskowej. Nie lubiłem go. — Och, jeśli o niego chodzi, to nas tylko zniechęca.

— Hmm! Czy wiesz, jak się pędzi barany? Mniejsza o to. Jak zrobisz maturę, będziesz studiował prawo handlowe w Harvardzie. Wiesz o tym. Potem pojedziesz na Sorbonę i będziesz trochę podróżował. Zapoznasz się z naszymi filiami, zobaczysz, jak się robi

interesy za granicą. Potem wrócisz do domu i będziesz pracować. Zaczyniesz od czarnej roboty. Będziesz magazynierem czy coś takiego, ale zanim się obejrzysz, zostaniesz dyrektorem. Ja już nie jestem młody i im prędzej przejmiesz obowiązki, tym lepiej. Jak będziesz chciał, możesz bardzo szybko zostać szefem. No, jak ci się podoba taki program w porównaniu ze stratą dwóch lat własnego życia?

Nic nie odpowiedziałem. Nie było to dla mnie nowością.

O tych planach wiedziałem od kilku lat. Ojciec wstał i położył mi rękę na ramieniu.

— Nie myśl, że cię nie rozumiem. Ale spójrz faktom w oczy. Gdyby była wojna, sam bym cię zachęcał... i przestawił firmę na produkcję wojenną. Lecz wojny nie ma i, dzięki Bogu, nigdy nie będzie. Wyrośliśmy już z wojen. Nasza planeta żyje teraz w szczęściu i w pokoju i cieszymy się raczej dobrymi stosunkami z innymi planetami. Czym więc jest, tak naprawdę, Służba Federalna? Po prostu — pasożytem. Bezużytecznym organem, całkowitym przeżytkiem, żyjącym z płacących podatki. Kosztowny sposób utrzymywania przygłupów, którzy w przeciwnym razie byłiby bezrobotni, a tak po odsłużeniu paru lat mają przewrócone w głowie do końca życia. Czy naprawdę właśnie to chcesz robić?

— Carl nie jest przygłupem!

— Przepraszam cię. To porządny chłopiec... ale sprowadzony na manowce.

— Zmarszczył brwi, a potem uśmiechnął się. — Synu, chciałem ci zrobić niespodziankę... miał to być prezent za świadectwo dojrzałości. Powiem ci jednak teraz, żebyś sobie łatwiej wybił z głowy te nonsensy. Mam oczywiście zaufanie do twego rozsądku, mimo że jesteś jeszcze młody. Ale znalazłeś się w kłopotcie.

Wiem, że mój prezent cię ucieszy. Zgadnij, co wymyśliłem?

— Och, nie wiem...

— Wakacyjna podróż na Marsa! Zatkalo mnie.

— Ojczy, nie mogę sobie wyobrazić...

— Chciałem ci zrobić niespodziankę i widzę, że mi się udało. — Wziął znów gazetę.

— Nie, nie dziękuj mi. Idź już sobie, a ja skończę czytanie... Dziś wieczór ma tu przyjść kilku panów. Interesy.

Wyszedłem. Ojciec myślał, że to załatwiło sprawę. I ja też tak myślałem. Mars! I to na własną rękę! Carlowi jednak nie powiedziałem. Bałem się, że mógłby uważać to za przekupstwo. Może i tak było. Oznajmiłem mu, że różnimy się z ojcem w poglądach.

— Tak — powiedział — mój ojciec też ma inne zdanie. Ale to przecież moje życie.

Myślałem o tym w czasie ostatniego wykładu z historii i filozofii moralności. Te wykłady tym się różniły od innych, że nie trzeba było zdawać z nich egzaminu. Wydawało się, że pan Dubois zupełnie nie zwraca uwagi, czy coś z tego rozumiemy.

Ale tego ostatniego dnia chciał sprawdzić, czego się nauczyliśmy.

Nie był z nas zadowolony.

Westchnął.

— Jeszcze jeden rok, jeszcze jedna klasa — a dla mnie jeszcze jedno niepowodzenie. Można przekazywać wiedzę, ale trudno nauczyć myśleć. — Nagle wskazał kikutem ręki na mnie. — Ty. Jaka jest moralna różnica, jeśli jest, pomiędzy żołnierzem i cywilem?

— Różnica — odpowiedziałem ostrożnie — leży w cnotach obywatelskich. Żołnierz przyjmuje osobistą odpowiedzialność za bezpieczeństwo ciała politycznego, którego jest członkiem, kładąc w jego obronie, jeśli trzeba, swoje życie. Cywil tego nie robi.

— Dokładny tekst z książki — zauważył pogardliwie. — Ale czy ty to rozumiesz? Czy w to wierzysz?

— Och, nie wiem, proszę pana.

— Naturalnie, że nie wiesz! Nie wiem, czy któryś z was rozpoznałby cnotę obywatelską, nawet gdyby się tu zjawiała i stanęła między wami! — Spojrzał na zegarek. — I to już wszystko. Koniec. Może spotkamy się kiedyś w szczęśliwszych okolicznościach. Do widzenia.

Rozdanie matur, w trzy dni potem moje urodziny i za niecały tydzień urodziny Carla — a ja mu jeszcze nie powiedziałem, że nie pójdę do wojska.

Spotkaliśmy się dzień po jego urodzinach i poszliśmy razem na punkt rekrutacyjny.

Na schodach Gmachu Federalnego wpadliśmy na Carmencitę Ibarez, koleżankę z naszej klasy, całkiem sympatyczne stworzenie. Carmen nie była moją dziewczyną, nie była niczyją dziewczyną. Nigdy nie umawiała się dwa razy z rzędu z tym samym chłopakiem i traktowała nas wszystkich jednakowo uroczo, ale raczej bezosobowo.

Zobaczyła nas i zaczęła.

— Cześć, chłopcy!

— Jak się masz, Oczki Czornyje — odpowiedziałem. — Co cię tu sprowadza?

— Nie domyślasz się? Dziś są moje urodziny.

— Tak? Wszystkiego najlepszego.

— Wstępuję do wojska.

— Och... — Carl był chyba tak samo zdziwiony jak ja. Ale Carmencita właśnie taka była. Nigdy nie plotkowała i nie ujawniała swoich uczuć.

— Nie bujasz?

— Dlaczego miałabym bujać? Mam zamiar zostać pilotem statku kosmicznego, w każdym razie chcę się o to starać.

— Chyba nic nie stoi na przeszkodzie — rzucił szybko Carl.

Miał rację. Rzeczywiście miał rację. Carmen była mała, zręczna, miała wspaniałe zdrowie, doskonały refleks i uzdolnienia matematyczne. Ja ledwo wyciągałem C w algebrze i B w rachunkowości, a ona, poza tym co było w szkole, skończyła kurs matematyki wyższej.

— My... ach, ja — powiedział Carl — też przyszedłem, żeby się zapisać.

— I ja — dorzuciłem. — My obaj. — Nieprawda, nie podjąłem jeszcze żadnej decyzji, to tylko moje usta prowadziły życie na własną rękę.

— Och, cudownie!

— Ja również będę usiłował zostać pilotem międzyplanetarnym — dodałem zdecydowanie.

Wcale się nie roześmiała, tylko powiedziała bardzo poważnie:

— Och, to wspaniale! Może spotkamy się na szkoleniu. Mam nadzieję. Ty też zamierzasz zostać pilotem, Carl?

— Ja? — spytał Carl. — Nie nadaję się na szofera ciężarówki. Promieniowanie gwiazdne, jeśli mnie przyjmą. Elektronika.

— Szofer ciężarówki, też coś! — Oburzyła się dziewczyna. — Mam nadzieję, że wylądujesz gdzieś na Plutonie i zamarzniesz na śmierć. Nie, nie! Życzę ci powodzenia! Chodźmy już, dobrze?

Punkt rekrutacyjny znajdował się na galeryjce w rotundzie. Siedział tam, przy biurku, sierżant floty powietrznej, w galowym mundurze, udekorowany jak choinka, a całą pierś pokrywały beretki różnych orderów. Prawą rękę miał obciętą tak wysoko, że bluza skrojona była bez rękawa... A gdy się podeszło bliżej, widać było, że nie ma obu nóg.

— Dzień dobry — powiedział Carl — chciałem się zgłosić.

— Ja również — dodałem.

Zignorował nas. Ukłonił się jakoś na siedząco i uśmiechnął się do Carmency.

— Dzień dobry, młoda damo. Czym mogę pani służyć?

— Chciałabym także wstąpić do wojska. Uśmiechnął się znowu.

— Wspaniała dziewczyna! Proszę pofatygować się do pokoju 201 i spytać o panią major Rojas, ona się panią zajmie.

Obejrzał ją od góry do dołu.

— Pilot?

— Jeśli to będzie możliwe.

— Wygląda na to, że będzie. Proszę zgłosić się do pani Rojas. — Zwrócił się teraz do nas, ale bez cienia tej uprzejmości, jaką miał wobec małej Carmen. — No więc? — zapytał. — Do czego? Bataliony pracy?

— Och, nie! — zawołałem. — Mam zamiar zostać pilotem. Spojrzał na mnie, a potem obrócił wzrok.

— A pan?

— Interesuje mnie praca badawczo-rozwojowa — oznajmił Carl — szczególnie elektronika. Sądzę, że są szansę w tym Korpusie.

— Są, jeśli będziesz się nadawał — powiedział sierżant kwaśno. — A nie ma, jeśli nie masz odpowiedniego przygotowania i zdolności. Słuchajcie chłopcy, czy wiecie, dlaczego mnie tu posadzili?

Nie zrozumiałem, o co mu chodzi. Carl zapytał:

— Dlaczego?

— Ponieważ rząd ma gdzieś, czy wstąpicie do wojska, czy nie. Stało się teraz modne wśród młodych ludzi, żeby odsłużyć wojsko, zdobyć przywilej głosowania i nosić w klapie wstążeczkę, która świadczy, że jesteście weteranem... Ale jeśli naprawdę chcecie służyć i nie zdołam wam tego wyperswadować, musimy was przyjąć, bo gwarantuje to wam konstytucja. Faktem jest jednak, że nie wszyscy wolontariusze mogą być prawdziwymi wojskowymi. Nie potrzebujemy tylu, a poza tym większość ochotników to nie materiał na żołnierzy. Macie pojęcie, co trzeba mieć, żeby być żołnierzem?

— Nie — przyznałem.

— Większość ludzi sądzi, że wystarczy mieć dwie ręce, dwie nogi i pusty łeb. Może i tak, jeśli chodzi o mięso armatnie. Prawdopodobnie tylko tego wymagał Juliusz Cezar. Dzisiejszy szeregowiec jednak jest tak wysoko wykwalifikowany, że w każdym innym zawodzie miałby tytuł magistra. Nie możemy pozwolić sobie na trzymanie głupców. Dla tych więc, którzy upierają się, by odsłużyć wojsko, musimy wymyślać cały szereg brudnych, nieprzyjemnych i niebezpiecznych robót, które każą im zwinąć ogon pod siebie i zmiatać do domu przed ukończeniem służby. Albo przynajmniej sprawią, że będą pamiętali przez całe życie, ile ich kosztowało zdobycie praw obywatelskich. Weźmy tę młodą damę, która tu była. Chce być pilotem — myślę, że jej się uda. Potrzebujemy dobrych pilotów i wciąż mamy ich za mało. Może jej się uda. Ale jeśli nie, skończy gdzieś na Antarktyce, z oczami zaczerwienionymi od sztucznego oświetlenia i z odciskami na rękach od ciężkiej, brudnej roboty.

Chciałem mu powiedzieć, że Carmencita może w najgorszym razie programować komputery, była tak doskonała w matematyce. Ale on mówił dalej.

— Posadzili mnie tutaj, żeby was odstraszać, chłopcy. Spójrzcie. — Okręcił się na krześle, żebyśmy dobrze go obejrżeli.

— Przypuśćmy nawet, że nie skończycie na kopaniu tuneli na Lwie albo nie zostanieie królikami doświadczalnymi do badania takiej czy innej zarazy... Przypuśćmy, że zrobimy z was wojaków. Spójrzcie na mnie, zobaczcie, co was czeka. A jeszcze pewniejszy jest telegram z wyrazami głębokiego współczucia do rodziców, ponieważ w dzisiejszych czasach, na ćwiczeniach czy na wojnie, nie ma wielu rannych. Ja jestem rzadkim przypadkiem, miałem szczęście... Chociaż chyba trudno to nazwać szczęściem. — Przerwał, a potem dodał: — Może więc jednak wróćcie do domu, chłopcy, wybierzecie sobie jakąś uczelnię, zostanieie chemikami, agentami ubezpieczeniowymi lub czymkolwiek? Służba wojskowa to nie dziecinna zabawa. Jest ciężka i niebezpieczna nawet w czasie pokoju... Żadnych wakacji. Żadnych romansów. No więc? Carl powiedział:

— Przyszedłem tu, żeby wstąpić do wojska.

— Ja również.

— Zdajecie sobie sprawę, że nie wolno wam wybierać rodzaju broni?

— Sądziłem, że możemy wyrazić swoje życzenia — odparł Carl.

— A oczywiście. I to jest ostatnie życzenie, jakie możecie wyrazić przed końcem okresu służby. Oficer rozdzielający przydziały zwróci uwagę na wasze życzenia i jeśli akurat będzie zapotrzebowanie, to podda was badaniom testowym, czy macie wrodzone zdolności i przygotowanie. Jeden na dwudziestu odpowiada warunkom i dostaje to, czego chce... W dziewiętnastu pozostałych przypadkach okazuje się, że nadajecie się akurat do tego, by wypełnić ubytki w garnizonie na Tytanie. — Dodał w zamyśleniu: — Swoją drogą dziwne, jak często te garnizony nie mogą podołać swoim zadaniom. Potrzebna widocznie prawdziwa próba bojowa. Laboratoria po prostu nie dadzą odpowiedzi na wszystkie pytania.

— Ja mogę być przydatny w elektronice — powiedział twardo Carl — o ile będą tam miejsca.

— Tak? A ty, bratku?

Zawahałem się... i nagle zdałem sobie sprawę, że jeśli nie zaryzykuję, to przez całe życie mogę mieć do siebie pretensję, że jestem niczym, tylko synem szefa.

— Chcę spróbować szczęścia!

— Nie możecie powiedzieć, że was nie ostrzegałem. Macie przy sobie metryki? Pokażcie też świadectwa szkolne.

Po dziesięciu minutach doszedłem do wniosku, że badania lekarskie mają doprowadzić cię do choroby, jeśli jesteś zdrow. Gdy wysiłki zawiodą, zostajesz przyjęty. Spytałem jednego z lekarzy, jaki procent ofiar odpada. Spojrzał zdumiony.

— Ależ my nigdy nikogo nie odrzucamy. Prawo zabrania.

— Hmm? Zaraz, przepraszam, doktorze. To jaki sens ma ta parada golasów?

— Ależ cel w tym jest — odpowiedział tłukąc mnie młotkiem w kolano — dowiadujemy się, do jakich obowiązków jesteście fizycznie zdolni. Gdyby was tu przywieziono w wózku na kółkach, zupełnie ślepych i z głupim uporem chcielibyście się ciągnąć, to i wówczas na pewno znaleziono by dla was coś odpowiednio idiotycznego. Może sprawdzanie dotykiem czystości łańcuchów gaśnicowych. No, chyba że psychiatra uznałby was za niezdolnych do zrozumienia tekstu przysięgi.

— Hmm... Doktorze, a czy był pan już lekarzem, kiedy wstąpił pan do wojska? Czy zdecydował się pan później i posłali pana na studia?

— Ja? — Wydawał się zszokowany. — Młodzieńcze, czy ja wyglądam na takiego kretna? Jestem pracownikiem cywilnym.

— Och, przepraszam pana.

— Nie ma za co. Służba wojskowa to zajęcie dla mrówek, proszę mi wierzyć. Widzę, jak idą, i widzę ich, gdy wracają — o ile wracają. Widzę, co się z nich robi. I po co? Dla czysto nominalnego przywileju, na którym nie zarabia się ani centa i z którego więk-

szość z nich nie potrafi mądrze korzystać. Gdyby pozwolono rządzić ludziom z profesji medycznej... Ale mniejsza z tym. Mógłbyś jeszcze, chłopcze, pomyśleć, że dopuszczam się zdrady, chociaż mamy, podobno, wolność słowa. Jeżeli więc, młodzieńcze, masz choć odrobinę zdrowego rozsądku, to zmykaj póki czas. Masz, weź te papiery, zanieś z powrotem sierżantowi w biurze rekrutacyjnym — i pamiętaj, co ci powiedziałem.

Wróciłem do rotundy. Carl już tam był. Sierżant przejrzał moje papiery i powiedział:

— Widać z tego, że obaj macie nieomal doskonałe zdrowie, poza brakiem oleju w głowie. Chwileczkę, zaraz poproszę świadków. — Przycisnął guziczek i weszły dwie urzędniczki: jedna — stara wyga, druga — owszem, niezła. Wskazał formularze naszych badań, metryki urodzenia i świadectwa i oświadczył urzędowym tonem: — Proszę i nakazuję, aby zostały zbadane przedłożone tu dokumenty, aby zostało określone, czym one są i w jakim stosunku pozostają, o ile pozostają, każdy z osobna do tych dwóch mężczyzn, stojących tu, w waszej obecności.

Przejrzały dokumenty z tępą rutyną. Pewien jestem, że ich nie czytały. Potem wzięły nasze odciski palców — jeszcze raz! — i ta ładna przyłożyła do oka jubilerską lupę i porównywała te odciski. To samo robiła z podpisami, aż zacząłem wątpić, czy ja to ja.

Sierżant zapytał:

— Czy uznajecie tu stojących, z ich obecnymi kompetencjami, za zdolnych do złożenia przysięgi wojskowej?

— Uznajemy — oświadczyła ta starsza.

— W porządku — stwierdził. — proszę powtarzać za mną... Ja, będąc pełnoletni, ze swojej własnej, nieprzymuszonej woli...

Uuch! Pan Dubois analizował z nami na wykładach z historii i filozofii moralności przysięgę wojskową i kazał nam studiować wszystkie jej paragrafy, ale całą jej wagę czujesz dopiero wtedy, gdy wali się ona na ciebie jak śnieżna lawina.

W każdym razie zdałem sobie sprawę, że nie jestem już cywilem, który może nosić koszulę nie wpuszczoną do spodni i mieć spokojną głowę. Nie wiedziałem jeszcze, kim będę, ale wiedziałem już, kim nie jestem.

— Tak mi dopomóż Bóg! — zakończyliśmy obaj, a Carl przeżegnał się i tak samo zrobiła ta ładna.

Potem były jeszcze podpisy i odciski wszystkich pięciu palców, zrobiono nam kolorowe zdjęcia, które dołączono do papierów. Wreszcie sierżant podniósł głowę.

— Pora na drugie śniadanie, chłopcy. Trzeba coś przekąsić. Przełknąłem ślinę.

— Hm... panie sierżancie?

— Eh? Co takiego?

— Czy mógłbym zatelefonować stąd do rodziców? Powiedzieć im, co... Powiedzieć im, że...

— Zrobimy inaczej. Daję wam czterdzieści osiem godzin urlopu. — Miał zimne oczy.
— Wiecie, co się stanie, jak nie wrócić?

— Och... sąd wojenny?

— E, nic podobnego. Zaznaczę wam tylko w papierach — Okres służby wypełniony nie zadowalająco — i już nigdy więcej nie będziecie mieli następnej okazji. To ostatnia szansa dla niedoroslých młokosów, którzy nie powinni byli składać tej przysięgi. Nawet nie musicie mówić rodzicom. — Odsunął fotel od biurka. — A więc do zobaczenia pojutrze. O ile się stawicie. I weźcie z domu osobiste rzeczy.

Pożegnanie nie było wesołe. Ojciec najpierw ciskał gromy, a potem przestał ze mną rozmawiać. Matka położyła się do łóżka. Kiedy wychodziłem, godzinę wcześniej niż mógłbym, nikt mnie nie żegnał poza kucharką i posługaczem.

Po dwóch dniach wiedziałem, że nie zostanę pilotem. Egzaminatorzy napisali o mnie: słaba intuicyjna orientacja przestrzenna... niewystarczające uzdolnienia i słabe przygotowanie matematyczne... czas reakcji — odpowiedni... wzrok — dobry. Rad byłem, że chociaż napisali to, co na końcu.

Po tygodniu od złożenia przysięgi przysłał po mnie pan Weiss, oficer rekrutacyjny. Miał listę moich życzeń i wyniki wszystkich testów. Zobaczyłem, że trzyma też odpis mego świadectwa szkolnego. Ucieszyło mnie to, bo w szkole dobrze sobie radziłem.

Spojrzał na mnie, gdy wszedłem i powiedział:

— Siadaj, Johnnie — rzucił okiem na opinię i odłożył ją. — Lubisz psy?

— Och, tak, proszę pana.

— Bardzo lubisz? Czy twój pies śpi z tobą w łóżku? A właściwie, gdzie jest teraz twój pies?

— W tej chwili nie mam psa. Ale jak miałem... no to, no, nie spał ze mną w łóżku. Widzi pan, moja mama nie uznaje psów w mieszkaniu.

— I nie przemyciłeś go jakoś?

— Hm... — Pomyślałem, żeby mu wytłumaczyć, że mama... Ale dałem spokój. — Nie, proszę pana.

— No tak... Widziałeś kiedy neopsa?

— Raz, proszę pana. Był na wystawie w Teatrze Macarthara, dwa lata temu.

— Powiem ci, jak jest w Korpusie K-9. Neopies nie jest takim zwykłym psem, który po prostu mówi.

— Nie mogłem zrozumieć tego neopsa w Teatrze. Czy one naprawdę mówią?

— Mówią. Trzeba tylko wyćwiczyć sobie ucho, żeby je zrozumieć. Ale neopies nie jest tylko mówiącym psem.

Właściwie wcale nie jest psem, jest sztuczną mutacją symbiotyków otrzymanych z psiej rasy. Taki wyszkolony neo, czy Caleb, jest sześć razy inteligentniejszy od psa i można go porównać do skretyniałej ludzkiej istoty. Jest to zresztą porównanie uwła-

czające neopsu, gdyż kretyn to twór ułomny, a neo, w swoim zakresie, jest geniuszem. — Pan Weiss skrzywił się. — Oczywiście pod warunkiem, że ma swego symbiotyka. W tym sęk. Hmm... jesteś za młody, żeby być żonatym, ale z pewnością wiesz, co to jest małżeństwo. Czy możesz sobie wyobrazić, żeby poślubić Caleba?

— Co? Nie. Nie, nie mogę.

— Stosunki emocjonalne pomiędzy neopsem i człowiekiem w sekcji K-9 są o wiele bliższe i znacznie ważniejsze niż u większości małżeństw. Jeśli pan ginie, zabijamy i neopsa — natychmiast. To wszystko, co możemy zrobić dla tego biedaka. Zabójstwo z litości. Jeśli jest zabity neopies... No cóż, nie możemy zabić człowieka, chociaż byłoby to najprostszym rozwiązaniem. Zamiast tego więzimy go i hospitalizujemy, aż się pozbiera.

Zrobił znak w papierach.

— Nie sądzę, byśmy mogli zaryzykować i przydzielić do K-9 chłopca, który nie potrafił przechrzyć własnej matki i sprowadzić sobie do pokoju psa, żeby z nim spać. Musimy więc poszukać dla ciebie czegoś innego.

Dopiero wtedy naprawdę zdałem sobie sprawę, że odpadły wszystkie możliwości na mojej liście, znajdujące się powyżej Korpusu K-9. A teraz i to się rozwiało. Byłem tym tak wstrząśnięty, że prawie uszło mojej uwagi, co pan Weiss mówił. Otóż opowiadał beznamiętnie, jak o kimś, kto już umarł albo jest bardzo daleko:

— Byłem kiedyś w Korpusie K-9. Kiedy mój Caleb zginął w wypadku, dawali mi środki otępiające przez sześć tygodni, potem zostałem skierowany do innej pracy... Johnnie, te kursy, które pokończyłeś... dlaczego nie studiowałeś czegoś użytecznego?

— Słucham pana?

— Teraz już za późno. Nie mówmy o tym. Hmm... twój profesor historii i filozofii moralności ma, zdaje się, o tobie dobrą opinię...

— Naprawdę? — byłem zdziwiony. — Co napisał?

Weiss uśmiechnął się.

— Napisał, że nie jesteś głupi, że tylko jesteś ignorantem, żywiącym takie same uprzedzenia, jakie ma twoje otoczenie. Z jego strony to wielka pochwała, znam go.

Dla mnie nie brzmiało to jak pochwała. Ten stary, zadzierający do góry nosa...

— I — kontynuował pan Weiss — chłopak, który ma C-minus z oceny programu telewizyjnego, nie może być całkiem zły. A co byś powiedział na Piechotę?

Wyszedłem z Gmachu Federalnego przygnębiony, ale jednak nie całkiem. Byłem przynajmniej żołnierzem. Miałem na to w kieszeni papiery, mogłem tego dowieść. Nie okazałem się zbyt tępy i niezdatny do niczego poza fizyczną pracą.

Było parę minut po godzinach urzędowania. W gmachu pozostała tylko straż nocna i paru łazików. W rotundzie wpadłem na jakiegoś mężczyznę, który właśnie opuszczał biuro, twarz wydała mi się znajoma, ale nie mogłem skojarzyć.

Napotkał moje spojrzenie i rozpoznał mnie.

— Dobry wieczór! — powiedział różnym głosem. — Jeszcze się nie zaokrętowałeś?

Wtedy i ja go poznałem: sierżant z floty kosmicznej, który odbierał od nas przysięgę. Szczęka mi opadła. Ten mężczyzna, w cywilnym garniturze, chodził na dwóch nogach i miał obie ręce?

— Och, dobry wieczór, panie sierżancie — wymamrotałem. Zrozumiał dobrze wyraz mojej twarzy, spojrzał na swoje nogi i roześmiał się.

— Nie miej takiej miny, młodzieńcze. Nie muszę robić z siebie potworka po skończonej pracy. Dostałeś już przydział?

— Tak, właśnie otrzymałem skierowanie.

— Dokąd?

— Piechota Zmechanizowana.

Na twarzy rozlał mu się szeroki uśmiech i wyciągnął rękę.

— Moja jednostka! Daj grabę, synu! Zrobimy z ciebie człowieka — albo cię wykończymy. A może jedno i drugie.

— Czy to dobry wybór? — spytałem z powątpiewaniem.

— Czy dobry? Synu, to jedyny wybór! Piechota Zmechanizowana to jest Wojsko! Wszyscy inni to albo przyciskacze guzików, albo profesorowie. Oni tylko podają nam piłę, a my tniemy. — Znów uściśnął mi rękę i dodał. — Napisz do mnie kartkę: Sierżant Ho, Gmach Federalny. Znajdą mnie. Powodzenia!

I już go nie było, ramiona ściągnięte do tyłu, trzaskające obcasy, głowa do góry. Spojrzałem na swoją rękę. Ta ręka, którą mi podał, to ręka, której nie miał... Prawa ręka. Jednak czułem, jakby była prawdziwa i uściśnął mnie mocno. Czytałem o tych elektronicznych protezach, a jednak wzdryga się człowiek, gdy sam dotknie.

Wróciłem do hotelu, gdzie nas czasowo zakwaterowano. Poszedłem do swojego pokoju i zacząłem się pakować, bo skoro świt mieliśmy wyruszyć. To znaczy, pakowałem wszystkie rzeczy, by je wysłać do domu. Weiss ostrzegł nas, że wolno zabrać tylko fotografie rodzinne i jakiś instrument muzyczny, jeśli się gra oczywiście. Carl wysłał już swoje rzeczy trzy dni wcześniej. Dostał przydział do B.-R., tak jak chciał. Mała Carmen też już wyfrunęła, w stopniu podchorążego floty. Ma zostać pilotem, jeśli da radę... Na pewno da radę. Wszedł mój współlokator.

— Dostałeś przydział? — zapytał.

— Aha.

— Jaki?

— Piechota Zmechanizowana.

— Piechota?! Och, żal mi cię, głupi biedaku! Naprawdę.

— Stul pysk! — odszczeknąłem. — Piechota Zmechanizowana jest najlepszą jednostką w armii — to jest właśnie prawdziwe Wojsko! Wy, frajerzy, tylko podajecie nam piłę — my tniemy!

— Sam się przekonasz!

— Chcesz w mordę?

3

I będziesz nimi rządził różgą żelazną.

— Objawienie, 11:27

Szkolenie rekrucie odbywałem w Obozie Arthura Currie, na dalekiej północy, razem z paroma tysiącami innych ofiar. W tym obozie był tylko jeden budynek: magazyn sprzętu. My spaliśmy i jadalśmy w namiotach.

Życie na świeżym powietrzu — o ile można to było nazwać życiem! Wydawało mi się, że Biegun Północny jest pięć mil poza obozem i wciąż się przybliża. Bez wątpienia wracała epoka lodowcowa.

Ćwiczenia jednak rozgrzewały nas, a mieliśmy ćwiczeń w nadmiarze.

Od razu, pierwszego dnia po przybyciu, obudzono nas przed świtem. Miałem trudności z przystosowaniem się do zmiany czasu i zdawało mi się, że dopiero co poszedłem spać. Nie mogłem uwierzyć, że ktoś chce mnie na serio zbudzić w środku nocy. Ale oni chcieli. Przez jakiś głośnik łąły się ogłuszające dźwięki wojskowego marsza, a uliczką wzdłuż namiotów biegał jakiś typ wrzeszcząc przeraźliwie.

— Wstawać! Wychodzić! Zbiórka!

Po dziesięciu minutach, ubrany w spodnie, podkoszulkę i buty, znalazłem się w szeregu z innymi, gotów do porannej gimnastyki. Słońce ledwo wyglądało znad horyzontu.

Przed nami stał barczysty, niesympatyczny chłop, ubrany tak samo jak my. Tylko że ja wyglądałem i czułem się jak źle zabalsamowana mumia, a jego gęba była gładko wygolona, spodnie w ostry kant, w butach można było się przejrzeć.

Poruszał się rażno, zupełnie przebudzony i swobodny. Zaryczał jak wół:

— Kampania... Baczność...! Jestem sierżant Zim, z lotniskowca, wasz dowódca kompanii. Zwracać się do mnie macie: panie sierżancie. I salutować. Macie salutować każdemu, kto nosi pałkę instruktorską — sam miał modną laseczkę. Zauważyłem już wczoraj wieczorem u niektórych takie laseczki i zamierzałem też sobie kupić, bo były naprawdę szykowne. Ale teraz zmieniłem zdanie. — Mamy tu za mało oficerów i będziecie nam oddawać honory, żebyście się nauczyli. Kto kichnął?

Nie było odpowiedzi.

— KTO KICHNAŁ?

— Ja — odezwał się jakiś głos.

— Co, ja?

— Ja kichnąłem.

— Ja kichnąłem, panie sierżancie!!

— Ja kichnąłem, panie sierżancie. Jestem przeziębiony, panie sierżancie.

— O ho, ho! — Zim podszedł do tego nieboraka, podsadził mu okucie laseczki pod nos i zażądał: — Nazwisko?

— Jenkins... panie sierżancie.

— Jenkins... — powtórzył Zim z obrzydzeniem. — A jakbyś był na nocnym patrolu, to też byś kichał, bo ci leci z nosa, co?

— Mam nadzieję, że nie, panie sierżancie.

— No, ja również. Ale jesteś przeziębiony. Hmm... załatwimy to. Widzisz tam, tę zbrojownię? — Popatrzyłem... Goły step i gdzieś daleko, na horyzoncie, jakiś budynek.

— Wystąp! Wokół zbrojowni, biegiem marsz! Biegiem, powiedziałem. Prędszej! Bronski! Ustal krok!

— Rozkaz, panie sierżancie! — I jeden z pięciu czy sześciu facetów z pałkami pobiegł za Jenkinsem. Zrównał się z nim bez trudu i trzepnął go po spodniach pałką.

Zim znowu zwrócił się do nas stojących na baczność i trzęsących się z zimna. Chodził tam i z powrotem, spoglądał na nas i wydawał się ogromnie nieszczęśliwy. Wreszcie zatrzymał się i powiedział, jakby do siebie, ale głos miał donośny:

— Pomyśleć, że też mnie musiało się to przytrafić! Patrzył na nas.

— Wy małpy — nie, nie małpy, to dla was za dobre określenie. Jesteście zgrają cklowych koczokodanów... zapadnięte klatki piersiowe, obwisłe brzuchy. Zaślinione niedojdy spod maminej spódnicy. W życiu nie widziałem takiej gromady maminsynków — ty, tam! Wciągnij brzuch! Do ciebie mówię!

Wciągnąłem brzuch, chociaż nie byłem pewny, czy zwraca się do mnie. Zaczynałem zapominać o gęsiej skórcie, gdy tak chodził i grzmiał. Nie powtórzył się ani razu, nie bluźnił i nie używał nieprzyzwoitych słów (przekonałem się później, że zostawiał je na specjalne okazje). Ale opisywał nasze ułomności fizyczne, umysłowe, moralne i genetyczne w drobnych szczegółach i bardzo obraźliwie.

Nie czułem się obrażony, zainteresowało mnie natomiast jego panowanie nad językiem. Taki by nam się przydał w klubie dyskusyjnym!

Wreszcie przestał i myślałem, że się rozpłacze.

— Nie mogę tego znieść — wyznał gorzko. — Muszę to jakoś z siebie wyrzucić. DOBRA! Czy jest wśród was, obleśne glisty, ktoś, kto uważa, że może się ze mną zmierzyć? Czy jest choć jeden mężczyzna w tym tłumie?... Głośniej!

Zapadła chwila milczenia. Nie miałem cienia wątpliwości, że pokonałby mnie. Byłem o tym przekonany. Doszedł do mnie głos, gdzieś z końca szeregu.

— Myślę, że... może ja... panie sierżancie. Zim ucieszył się.

— Doskonale! Wystąp!

Rekrut wystąpił. Był przynajmniej o trzy cale wyższy od sierżanta Zima i szerszy w barach. Wyglądał imponująco.

— Jaki rodzaj walki wybieracie?

— Proszę, niech pan sierżant wybierze sposób, w jaki chce umrzeć. Mnie tam wszystko jedno.

— Dobrze. Wolna amerykanka. Ty zaczynasz. — Zim odrzucił laseczkę.

Zaczęło się — i skończyło. Ogromny rekrut siedział na ziemi, trzymając lewy nadgarstek prawą ręką. Nic nie mówił.

Zim pochylił się nad nim.

— Złamana?

— Niewykluczone... panie sierżancie.

— Przykro mi. Wiesz, gdzie jest ambulatorium? No nic, Jones! Zabierzcie rekruta do ambulatorium. — Poklepał go po ramieniu i powiedział spokojnie. — Spróbujemy się znów za jakiś miesiąc. Pokażę ci, co się stało. — Miała to być prywatna wymiana zdań, ale wszyscy słyszeli.

Zim stanął znów przed frontem i zawołał:

— W kompanii znalazł się jeden mężczyzna! A może mamy jeszcze jednego? A może jakieś dwie skrofuliczne żaby ośmielią się ze mną zmierzyć? — Patrzył wzdłuż szeregów. — Mięczaki bez kręgosłupów... O, och! Wy? Wystąp! — Wystąpiło dwóch stojących obok siebie, pewnie naradzili się szeptem. Zim obdarzył ich uśmiechem. — Jak będziemy walczyć? — spytał.

— Gołymi rękami, jeśli można, panie sierżancie — odpowiedział jeden.

— Jak chcecie. Jestem gotów. Zaczynajcie, kiedy chcecie. — Zim odrzucił laseczkę i ktoś ją złapał. — No, prędzej, walczcie! Albo wracajcie do szeregu!

Jeden rzucił się na sierżanta, ale ten odwrócił się do niego twarzą, kopiąc jednocześnie drugiego w brzuch. Ten pierwszy nie dosięgnął Zima, bo przeleciał mu nad głową i gruchnął o ziemię.

W wyniku tego obaj rekruci leżeli grzecznie, nieruchomo, jeden na brzuchu, a drugi na plecach, a nad nimi stał Zim nawet nie zdyszany.

— Jones! — zawołał. — Ach, nie. Jones poszedł. Mahmud! Przynieś kubek wody i postaw ich na nogi.

Po paru minutach obaj byli przytomni, mokrzy i w szeregu. Zim spojrzał na nas i spytał łagodnie:

— Czy ktoś jeszcze? Czy możemy już podjąć szkolenie? Nie spodziewałem się, żeby ktoś się ośmielił i on też chyba tego nie oczekiwał. Ale z końca lewego skrzydła, gdzie stali najniżsi, wystąpił szczuplutki chłopak i zbliżył się do Zima.

— Sam? Czy chcesz sobie dobrać partnera?

— Tylko ja, panie sierżancie.

— Jak sobie życzysz. Nazwisko?

— Shujumi, panie sierżancie. Zim otworzył szeroko oczy.

— Jakiś krewny pułkownika Shujumi?

— Mam zaszczyt być jego synem, panie sierżancie.

— Ach, tak. No, proszę! Czarny pas?

— Nie, panie sierżancie. Jeszcze nie.

— Cieszę się, że o to zabiegasz. No więc jak, Shujumi, czy będziemy stosować reguły konkursowe, czy mam posłać po ambulans?

— Jak pan sobie życzy, panie sierżancie. Ale sądzę, jeśli wolno mi wyrazić swoją opinię, że rozsądniej byłoby trzymać się reguł konkursowych.

— Nie wiem, co masz na myśli, ale zgadzam się. — Zim znów odrzucił symbol swojej funkcji, a potem stanęli twarzą do siebie i oddali sobie ukłon.

Zaczęli się okręzać, robiąc półprzysiady, zamierzając się pięściami. W ogóle wyglądali jak para kogutów.

Nagle zwarli się — i mały chłopak leżał, a sierżant Zim poszybował nad jego głową, ale nie wylądował z głuchym, tępym uderzeniem. Zaczął toczyć się i zaraz wstał na nogi, a przed nim stał już Shujumi.

— Banzai! — wrzasnął Zim i wyszczerzył zęby.

— Arigato — odparł Shujumi i też uśmiechnął się krzywo. Zwarli się znowu i myślałem, że sierżant pofrunie, ale nie.

Zaczęła się kotłowanina rąk i nóg. A potem, gdy się uspokoiło, zobaczyłem, że Zim wpycha Shujumiemu lewą nogę w prawe ucho. Nie było to zapewne przyjemne.

Shujumi uderzył o ziemię wolną ręką. Zim puścił go natychmiast.

Znów ukłonili się sobie.

— Jeszcze jedna runda, panie sierżancie?

— Raczej nie. Mamy robotę. Może innym razem, co? Dla zabawy... i zaszczytu. Może powinienem być powiedzieć, że szkolił mnie twój szanowny ojciec.

— Tak też przypuszczałem, panie sierżancie. A więc następnym razem.

Zim klepnął go mocno w ramię.

— Do szeregu! Kompania!!!

Przez dwadzieścia minut była gimnastyka, aż spościłem się jak mysz. Zim ćwiczył razem z nami i do tego wykrzykiwał: — Raz, dwa... raz, dwa! — Gdy skończyliśmy, wyglądał świeżo i wcale nie był zdyszany. Potem już nigdy nie prowadził porannych ćwiczeń i nie widywaliśmy go przed śniadaniem.

Ale tego pierwszego dnia wykonywał wszystko z nami. Po gimnastyce, gdy byliśmy kompletnie wypompowani, poprowadził nas kłusem do mesy — też w namiocie — krzycząc cały czas:

— Raźniej! Raźniej! Nie ociągać się!

W obozie imienia Arthura Currie zawsze i wszędzie poruszaliśmy się biegiem. Nigdy nie zdołałem dowiedzieć się, kto to był ten Currie, ale pewnie jakiś maratończyk...

Jenkins pojawił się z kapralem Bronskim, gdy brałem dokładkę. Zatrzymali się na moment przy stole, gdzie jadł Zim, a potem Jenkins usiadł na wolnym stołku koło mnie. Wyglądał na chorego — blady, wyczerpany, oddychał chrapliwie. Powiedziałem:

— Należę ci kawy. — Potrząsnął głową. — Lepiej coś zjedz — nalegałem. — Może jajecznicę?

— Nie mogę jeść. Och, ten drań, ta świnią. — Zaczął kłąć Zima cichym, prawie monotonnym głosem. — Prosiłem tylko, żeby pozwolił mi się położyć i opuścić śniadanie. Bronski sam nie chciał się zgodzić. Mówił, że muszę zapytać dowódcę kompanii. No to zapytałem. Powiedziałem mu, że jestem chory, a on wziął mnie za puls i powiedział, że chorzy meldują się o dziewiątej. I nie pozwolił mi wrócić do namiotu. Och, ten szczur. Już ja go dopadnę w jakiejś ciemnej uliczce!

Nałożyłem mu trochę jajecznicy i nalałem kawy. Zaczął jeść. Sierżant Zim wstał od stołu, gdy większość z nas kończyła jeszcze śniadanie. Zatrzymał się koło nas.

— Jenkins.

— Och? Rozkaz, panie sierżancie.

— O dziewiątej apel chorych, zameldujcie się do doktora. Widziałem, jak Jenkins zacisnął szczęki. Odpowiedział przez zęby:

— Nie potrzebuję żadnych pigułek, panie sierżancie. Przejdzie mi.

— Punkt dziewiąta. To rozkaz.

Odszedł. Jenkins znów zaczął monotennie kłąć.

4

*I rzekł Pan do Gedeona: Za liczny jest przy tobie zastęp...
każ więc ogłosić ludowi tak: kto bojaźliwy i lękliwy niech
zawróci... i zawróciło z zastępu dwadzieścia dwa tysiące,
a pozostało dziesięć tysięcy.*

*I rzekł Pan do Gedeona: Jeszcze zastęp jest za liczny.
Sprowadź ich w dół, nad wodę, a zamiast ciebie Ja ich tam
wypróbuję... Sprowadził więc zaślep nad wodę.*

*Wtedy rzekł Pan do Gedeona: Każdego, kto chłęptać
będzie wodę językiem, jak pies chłępcze, odstaw osobno,
tak samo każdego, który klęknie na kolana, aby pić.*

*A liczba tych, którzy chłęptali wodę z ręki przy ustach
wyniosła trzystu mężów...*

*I rzekł Pan do Gedeona: Przez tych trzystu wybawię cię...
cała zaś reszta niech odejdzie...*

— Księga Sędziów, VII:2-7

Po dwóch tygodniach pobytu w obozie odebrano nam łóżka polowe. Wtedy zresztą nie miało to znaczenia, ziemia wydawała się ciepła i miękka, zwłaszcza gdy w środku nocy podrywał nas alarm i musieliśmy gramolić się z namiotów i udawać żołnierzy.

Zdarzało to się jakieś trzy razy w tygodniu. Zaraz po tych nocnych ćwiczeniach znowu zapadałem w kamienny sen. Nauczyłem się zresztą spać w każdej pozycji i o każdej porze — siedząc, stojąc, a nawet maszerując w kolumnie.

Teoretycznie przysługiwało nam osiem godzin snu w nocy oraz półtorej godziny wolnego czasu po kolacji. W rzeczywistości jednak sen przerywany był alarmami, nocną służbą, marszami polowymi i Bóg wie jakimi jeszcze wymysłami dowódców. A wolny czas pochłaniała karna służba za drobne przewinienia, czyszczenie butów, pranie bielizny, golenie, strzyżenie, nie mówiąc już o tysiącu obowiązków związanych z utrzymaniem porządku i wypełnianiem poleceń sierżantów.

Można by z tego wywnioskować, że warunki w obozie dla rekrutów są cięższe, niż jest to konieczne. Nie jest to jednak wniosek słuszny.

Są one tak ciężkie, jak tylko być mogą i to celowo.

Każdy rekrut żywi głębokie przekonanie, że są spowodowane zwykłą podłością, wykalkulowanym sadyzmem i diabelską rozkoszą, jakiej doznają skretyniałe półgłówki zadając ludziom cierpienia.

Tak jednak nie było. Zostało to zorganizowane zbyt planowo, zbyt przemyślnie i efektywnie, zbyt bezosobowo. Wszystko było zaplanowane równie beznamiętnie, jak chirurg planuje operację.

Och, zgadzam się, iż niektórzy z instruktorów mogli znajdować przyjemność w okrucieństwie, ale o niczym takim nie wiem. Wiem natomiast, wiem to teraz, że oficerowie-psychoanalitycy starali się eliminować wszystkich brutalni.

Szukali bystrych, oddanych służbie fachowców, którzy zdolni byli dać możliwie najtwardszą szkołę rekrutom.

To właśnie było to: chirurgia. Jej bezpośrednim celem było pozbycie się tych rekrutów, którzy okazali się za delikatni, za bardzo dziecinni, by kiedykolwiek stać się jednym z elementów Piechoty Zmechanizowanej.

Zwykle nie oznajmiano, dlaczego kogoś wywalili. Chyba że spotkałeś go, gdy odchodził, i sam ci powiedział. Niektórym jednak tak służba zalaża za skórę, że przyznawali się głośno i sami rezygnowali, pozbawiając się na zawsze prawa do głosowania w wyborach. Jeszcze inni, zwłaszcza starsi, nie wytrzymywali po prostu fizycznie.

Jednak ważniejszym celem niż jak najszybsze odrzucenie odpadów było uzyskanie pewności, że żaden piechur nigdy nie wejdzie do kapsuły przed zrzutem bojowym, o ile nie został do tego doskonale przygotowany. Musi się nadawać, musi być zdecydowany, zdyscyplinowany i wyszkolony.

Niedotrzymanie choćby jednego z tych warunków byłoby nieuczciwe wobec Federacji, wobec kolegów, a najbardziej wobec samego piechura.

Ale czy w obozie traktowano rekrutów okrutniej, niż było to konieczne?

Mogę powiedzieć tylko tyle, że przy następnym zrzucie bojowym, gdybym miał go dokonać, chcę mieć u boku tych, co przeszli przez Obóz Currie lub jego odpowiednik na dalekiej Syberii. W przeciwnym razie odmawiam wejścia do kapsuły.

Ale w owym czasie uważałem szkolenie za zbiór złośliwości i nonsensów.

Po dwóch tygodniach wyfasowano nam nowe dresy, koloru brudnej ścierki, mające zastąpić zniszczone, używane dotychczas. Szykowaliśmy się do defilady. Bluzę, którą mi przydzielili, odniosłem z powrotem do magazynu. Urzędował tam sierżant o raczej ojcowskim sposobie bycia, a ponieważ był zaopatrzeniowcem, uważałem go za półcywila.

— Sierżancie, ta bluza jest za duża. Dowódca kompanii mówi, że wisi na mnie jak namiot.

Rzucił okiem.

— Naprawdę?
— Tak. Chciałbym taką, która by pasowała. Trwał nieporuszony.
— Pozwól, że cię oświecę, chłopcze. Tu, w wojsku, są tylko dwa rozmiary: za duże i za małe.
— Ale dowódcy mojej kompanii... — Niewątpliwie.
— Ale co ja mam zrobić?
— Och, a więc życzysz sobie porady! No cóż, na składzie mam tylko te. Nowe sorty nadeszły dzisiaj. Hmm... Powiem ci, co ja bym zrobił. Masz tu igłę i dam ci szpulkę nici. Nożyczki nie będą ci potrzebne, wystarczy brzytwa. Dopasuj sobie bluzę do bioder, ale na ramionach zostaw materiał, bo może się przydać później.

Sierżant Zim na moje szycie zareagował następująco:

— Mogliście się lepiej postarać. Dwie godziny karnej służby. Pierwsze sześć tygodni to była harówka i mordęga — zbiórki, przeglądy, apele, przemarsze. W końcu doszliśmy do tego, że mogliśmy pokonać pięćdziesiąt mil w dziesięć godzin po równinie. Tego nie powstydziliby się nawet dobry koń. Odpoczywaliśmy nie zatrzymując się, zmieniając jedynie krok.

Kiedyś wyruszyliśmy na zwykły codzienny marsz, bez śpiworów, bez racji żywnościowych. Byłem trochę zdziwiony, że nie zatrzymaliśmy się na obiad, ale nauczyłem się już ściągać z mesy parę kostek cukru i trochę suchego chleba, które ukrywałem przy sobie. Ale gdy zaczął zapadać zmrok, a my wciąż oddalaliśmy się od obozu, to już się zaniepokoiłem. Wiedziałem jednak, że nie należy zadawać głupich pytań.

Zatrzymaliśmy się, gdy było prawie ciemno. Rozstawiono strażę, a nam kazano się rozejść. Odnalazłem Bronskiego i zapytałem:

— Kapralu Bronski, co to za numery? Kiedy apel na żarcie?

Uśmiechnął się do mnie.

— Mam przy sobie parę sucharów, chcecie, to się z wami podzielę.

— Hm? Och, nie, panie kapralu. Dziękuję. Nie będzie kolacji?

— Nic mi nie powiedzieli, synku. Ale nie słyszę, by nadlatywały jakieś helikoptery. Na twoim miejscu zebrałbym swoją sekcję i starałbym się coś wykombinować. Może któremuś z was uda się trafić kamieniem w królika.

— Tak jest, panie kapralu. Ale... mamy tu zostać na całą noc? Bez śpiworów?

Uniósł brwi.

— Nie macie śpiworów? Coś takiego! Wyglądał, jakby się zastanawiał.

— Hmm... Widziałeś kiedy, jak owce zbijają się w kupę w czasie śnieżycy?

— Chyba nie, panie kapralu.

— Spróbujcie. One nie zamarzają, więc może i wy nie zamarzniecie. Albo, jeśli nie zależy ci na towarzystwie, możesz spacerować całą noc. Bylebyś tylko nie oddalił się poza wystawione strażę. Jak się człowiek rusza, to mu ciepło. Rano, oczywiście, będziesz trochę zmęczony. — Znow się uśmiechnął.

Zasalutowałem i wróciłem do swoich. Podzieliliśmy się tym, co kto miał do jedzenia. Trudno uwierzyć, jak smakuje suchar i parę suszonych śliwek i ile to dodaje sił.

Sztuka z owcami też się udała.

Cały nasz pododdział zgromadził się razem. Nie polecałbym tego jako metody na smaczny sen, bo albo jest się z zewnątrz i marznie z jednej strony, starając się ogrzać od środka, albo jest się w środku, gdzie jest względnie ciepło, ale za to inni starają się tam wepchnąć. Przez całą noc przemieszczasz się z jednej warstwy do drugiej, bez możliwości przyśnięcia na dobre. Noc wlecze się koszmarnie.

Jednakże cały luksus obecności dwóch tuzinów ciepłych ciał w jednym namiocie doceniłem w pełni dopiero po trzech miesiącach, kiedy zrzucano mnie całkiem nagiego gdzieś w dzikiej okolicy kanadyjskich Gór Skalistych i musiałem czterdzieści mil wędrować przez bezludzie. Przeszedłem, ale z każdym krokiem wzrastała moja nienawiść do wojska.

Nie byłem nawet w najgorszym stanie, kiedy się zameldowałem z powrotem. Parę królików padło ofiarą swej nieostrożności, nie cierpiałem więc głodu... I nie byłem zupełnie goły: miałem ciało pokryte króliczym tłuszczem i brudem, a na nogach mokasy, bo futerko królikom nie było już potrzebne.

Zdumiewające, co człowiek może zdziałać kawałkiem kamienia, jeśli musi. Sądzę, że nasi przodkowie z epoki kamiennej nie byli takimi przygłupami, za jakich zwykło się ich uważać.

Innym też się udało, poza dwoma chłopcami, którzy przypłacili tę próbę życiem. Wtedy wszyscy wróciliśmy w góry i przez trzynaście dni szukaliśmy ich, pomagały nam helikoptery i instruktorzy ubrani w kombinezony wyposażone w automatyczne urządzenia do wykrywania szmerów. Piechota Zmechanizowana nie porzuca bowiem swych żołnierzy. Jeśli jest choćby najmniejsza iskierka nadziei.

Pochowaliśmy ich potem ze wszystkimi honorami, a orkiestra grała *Ta ziemia należy do nas*. Otrzymali pośmiertnie awans i wysokie odznaczenia.

Piechur nie musi pozostać przy życiu, nie to jest najważniejsze.

Ważne jest, jak masz umierać — z głową do góry, w marszu do celu.

5

Musi być winny, w przeciwnym razie nie byłby tutaj!

Działa z prawej burty — OGNIA! Kula dla niego za dobra, skopać do morza tę wesz!

Działa z lewej burty — OGNIA!

Tak wiele się wydarzyło w Obozie Currie. Przeważnie szkolenie bojowe: musztra, ćwiczenia, manewry przy użyciu wszystkiego, od gołych rąk do pozorowanej broni atomowej. Nie zdawałem sobie sprawy, że istnieje tyle rozmaitych sposobów walki.

Zim przestał bezpośrednio dowodzić i więcej czasu poświęcał instruktażowi. Każda broń w jego ręku była śmiertelna, ale uwielbiał noże. Sam je wyrabiał zamiast korzystać z, doskonałych zresztą, ogólnie dostępnych. Jako nauczyciel zachowywał się nieco sympatycznie i odpowiadał nawet na głupie pytania.

Kiedyś jeden z chłopców zapytał:

— Sierżancie? Uważam, że rzucanie nożem to nawet dobra zabawa... ale właściwie po co my się tego uczymy?

— Przypuśćmy — odparł Zim — że wszystko, co masz, to nóż. Albo może nawet nie masz noża. Co wtedy zrobisz? Zmówisz paciorek i do Bozi? A może jednak rzucisz się na przeciwnika i będziesz starał się go pokonać? Synu, taka jest rzeczywistość, to nie gra w warcaby, gdzie zabić można tylko pionka.

— No właśnie, panie sierżancie. Przypuśćmy, że w ogóle jestem nie uzbrojony albo mam tylko jakiś kozik, to co? A mój przeciwnik posiada wszelkie możliwe rodzaje niebezpiecznej broni?

— Nic nie poradzisz, ma cię w ręku i może cię wykończyć — odezwał się któryś.

Zim odpowiedział nieomal łagodnie.

— Całkowicie mylisz się, synku. Nie ma nic takiego jak niebezpieczna broń. Są tylko niebezpieczni ludzie. Staramy się wyszkolić was tak, byście byli niebezpieczni dla wroga. Niebezpieczni, nawet bez noża. Byście byli groźni, jak długo macie chociaż jedną rękę, jedną nogę i jesteście wciąż żywi. Ale weźmy ten przypadek, o którym wspominałeś. Jestem tobą i mam tylko nóż. Ten cel poza mną — to wartownik, uzbrojony we wszystko poza bombą wodorową. Musisz go zlikwidować... Spokojnie, natychmiast, żeby nie miał czasu zawołać o pomoc.

Zim odwrócił się nieznacznie — wzzz! — i nóż, którego przed sekundą nie miał w ręku, drżał wbity w środek celu.

— Widzisz? Lepiej mieć przy sobie dwa noże. Ale tak czy inaczej musisz go załatwić... nawet gołymi rękami.

— Och...

— Jeszcze coś cię gnębi? No, powiedz. Śmiało. Jestem tu, żeby odpowiadać na wasze pytania.

— Tak, panie sierżancie. Powiedział pan, że ten wartownik nie miał bomby wodorowej. A gdyby miał? W tym sęk. My przecież mamy i gdybym ja był wartownikiem... i prawdopodobnie każdy wartownik strony przeciwnej będzie ją miał. No, nie mam na myśli koniecznie wartownika, ale w ogóle nieprzyjaciela.

— Rozumiem cię.

— No więc, widzi pan, panie sierżancie. Jeśli my możemy użyć bomby wodorowej — a jak pan sam powiedział, to nie jest gra w warcaby, to prawdziwa wojna i nikt tu nie udaje — to czy nie jest śmieszne, czołgać się w krzakach, rzucać nożami i być może dać się zabić... a nawet przegrać tę wojnę... zamiast wykorzystać tę swoją skuteczną broń i zwyciężyć? Co za sens, by mnóstwo ludzi ryzykowało życie, walcząc przestarzałą bronią, kiedy jakiś jeden profesor może dokonać znacznie więcej przyciskając po prostu odpowiedni guzik?

Zim nie odpowiedział od razu, co było do niego niepodobne. Potem odparł miękko:

— Czy jesteś zadowolony, będąc w piechocie? Możesz zrezygnować, wiesz o tym.

Chłopak coś zamruczał. Zim zawołał:

— Odpowiadaj!

— Nie mam zamiaru rezygnować, panie sierżancie. Przemęcę się do końca.

— No tak. Widzisz, na pytanie, które postawiłeś, nie może ci odpowiedzieć sierżant... Nie powinienes mnie o to pytać. Sam powinienes znać odpowiedź, zanim wstąpiłeś do wojska. Czy w twojej szkole były wykłady z historii i filozofii moralności?

— Słucham? Ależ oczywiście, panie sierżancie!

— Musiałeś więc poznać odpowiedź. Ale ja powiem ci, nieoficjalnie, jakie jest moje zdanie na ten temat. Jeśli chciałbyś skarcić dziecko, to czy obciąłbyś mu głowę?

— Ależ skąd, panie sierżancie!

— Oczywiście, nie. Dałbyś mu klapsa. Mogą zaistnieć okoliczności, kiedy byłoby taką samą głupotą rzucić na miasto nieprzyjaciela bombę wodorową, co przyłożyć dziecku siekierką. Wojna to nie przemoc i zabijanie, tak zwyczajnie, po prostu. Wojna jest przemocą kontrolowaną, prowadzącą do określonego celu. Celem wojny jest poparcie siłą decyzji rządu. Nie zabijanie dla samego zabijania... ale skłonienie wrogów do postępowania tak, jak sobie życzy zwycięzca. Jest to jedyna odpowiedź, jakiej mogę ci udzielić.

Jeśli to cię nie zadowala, możesz zameldować się na rozmowę do dowódcy pułku. Jeżeli i on cię nie przekona — wracaj do domu, do cywila! Bo w takim wypadku, z pewnością, nie nadajesz się na żołnierza.

Zim zerwał się na nogi.

— Zdaje się, wyciągacie mnie na pogaduszki, zamiast pracować. Baczość! Spocznij, na stanowiska bojowe — marsz!

Ćwiczyliśmy z kijami i ćwiczyliśmy z drutem i nauczyliśmy się, czego można dokonać najbardziej nowoczesną bronią. Jak ją obsługiwać i magazynować.

Mieliśmy też wiele zajęć z bronią przestarzałą. Na przykład strzelanie z karabinów, prawie identycznych, jak karabiny piechoty w XX wieku, zarówno do celu stałego z odmierzonej odległości, jak i do celów ruchomych. Miało nam to wyrobić pewność oka i nauczyć, byśmy byli zawsze w pogotowiu, żeby nic nas nie mogło zaskoczyć. I myślę, że była to nauka skuteczna.

Na naszych manewrach nikt nie został raniony ani zabity pociskiem karabinowym. Wypadki śmierci spowodowane były innymi broniami lub wymyślnymi urządzeniami bojowymi. Kiedyś jeden chłopak skręcił kark, szukając gwałtownie kryjówki, gdy zaczęto do niego strzelać — ale żaden pocisk go nie trafił.

Jednak właśnie to, strzelanie i krycie się, doprowadziły mnie do najcięższej depresji.

Po pierwsze — zostałem zdegradowany. Odebrano mi rangę rekrucką nie dlatego, żebym sam zawinił, ale moja sekcja źle się spisała i to w czasie mojej nieobecności... Zwróciłem na to uwagę, lecz Bronski kazał mi zamknąć gębę..

Poszedłem więc z tym do Zima, ale on odparł zimno, że odpowiadam za to, co robią moi ludzie i zarobiłem sześć godzin karnej służby. I jeszcze ochrzanił mnie, że zwróciłem się do niego bez zezwolenia Bronskiego.

Następnie — przyszedł wreszcie list od matki. Bardzo mnie przygnębił.

Potem — wywichnąłem sobie ramię przy pierwszej musztrze w pancernym kombinezonie zmechanizowanym, przydzielono mi lżejszą służbę i miałem za dużo czasu na myślenie i użalanie się nad sobą.

Byłem tego dnia ordynansem w biurze dowódcy batalionu. Z początku wykazywałem wielki zapał, bo chciałem zrobić dobre wrażenie. Okazało się jednak, że kapitan Frankel nie oczekiwał po mnie zapału. Chciał natomiast, żebym siedział spokojnie, nic nie mówił i nie zawracał mu głowy. I znów miałem czas, żeby medytować nad swoim marnym losem. Zdrzemnąć się nie miałem odwagi.

Wkrótce po obiedzie niespodziewanie wkroczył sierżant Zim, a za nim trzech ludzi. Zim, jak zwykle, wyglądał schludnie i elegancko, ale wyraz jego twarzy przywodził na myśl śmierć. Pod prawym okiem miał siniac, co przecież było zupełnie niemożliwe.

Za nim, między dwoma innymi, stał Ted Hendrick. Był brudny, ale kompania miała właśnie ćwiczenia polowe, więc jasne, że prawie cały czas czołgał się w błocie i kurzu.

Warga Teda była rozcięta, a podbródek i bluza poplamione krwią. Nie miał furażerki. W jego oczach malowała się wściekłość.

Kapitan Frankel zdziwił się.

— O co chodzi, sierżancie?

Zim stał sztywno jak słup soli i recytował jak maszynka:

— Dowódca Kompanii H melduje dowódcy batalionu. Złamanie dyscypliny. Artykuł dziewięćdziesiąt jeden, zero siedem. Odmowa wykonania rozkazu podczas symulowanej walki. Artykuł dziewięćdziesiąt jeden, dwadzieścia. Nieposłuchanie komendy, ten sam artykuł.

Kapitan Frankel zdumiał się.

— Zwracacie się z tym do mnie, sierżancie? Służbowo?

Nie wiem, jak Zim to zrobił, że wyglądał na zakłopotanego, a równocześnie jego twarz i głos pozostały całkowicie bez wyrazu.

— Żołnierz domagał się postawienia go przed dowódcą batalionu.

— Ach tak. W dalszym ciągu nie rozumiem, sierżancie, ale należy mu się ten przywilej. A więc jaki to był rozkaz?

— Rozkaz zamarcia w bezruchu, panie kapitanie. Spojrzałem na Hendricka myśląc: ale żeś się urządził, bracie!

Na rozkaz zamarcia należy paść na ziemię, kryć się, jeśli można, a potem zamrzeć, w ogóle nie ruszać się, nawet nie mrugnąć okiem, aż do odwołania rozkazu.

Brwi Frankla pojechały do góry.

— Następny zarzut?

— To samo, panie kapitanie. Po niewykonaniu rozkazu zamarcia, nie posłuchał ponownego wezwania.

Kapitan Frankel był ponury.

— Nazwisko? Zim odpowiedział.

— Hendrick, T.C., rekrut szeregowiec RP 7960924.

— No więc, Hendrick, zostajecie pozbawieni wszystkich przywilejów na okres trzydziestu dni. Poza służbą i posiłkami macie nie opuszczać namiotu. Wyjść wolno jedynie dla załatwienia potrzeb higienicznych. Dziennie trzy godziny karnej służby — godzinę przed capstrzykiem, godzinę przed pobudką oraz godzinę w południe, zamiast posiłku. Wieczorem otrzymacie chleb i wodę — chleba tyle, ile zjecie. Co niedzielę — dziesięć godzin dodatkowej służby. Możecie otrzymać zezwolenie na uczestnictwo w nabożeństwie.

Pomyślałem: O Boże, ale mu dosolili!

Kapitan Frankel mówił dalej:

— I tak macie szczęście, Hendrick, że bez zwołania sądu wojennego nie mogę wymierzyć wam sroższej kary... Nie chcę jednak plamić opinii waszej kompanii. Odmaszerować! — Spuścił oczy na papiery na biurku, uważając sprawę za skończoną.

— Dlaczego pan mnie nie wysłuchał?! — wrzasnął Hendrick.

Kapitan spojrział.

— Och, przepraszam. Masz coś do powiedzenia?

— Chyba, że mam! Sierżant Zim uprzedził się do mnie! Dokucza mi, dręczy, tyrani-
zuje od pierwszego dnia! On...

— Spełnia swoje obowiązki — powiedział zimno kapitan. — Zaprzeczasz obu oskar-
żeniom wysuniętym przeciwko tobie?

— Nie, ale... on nie powiedział, że leżałem w mrowisku!!! Frankel skrzywił się z nie-
smakiem.

— Och, a więc pozwoliłbyś, aby zabito ciebie, a może twoich kolegów, tylko z powo-
du paru małych mrówek?

— Wcale nie paru! Były ich setki i gryzły!

— Ach tak? Młody człowieku, pozwól, że powiem ci otwarcie: nawet gdyby to było
gniazdo jadowitych węży, powinieneś zachować się tak, jak ci rozkazano: zamrzeć
w bezruchu. — Frankel zrobił pauzę. — Masz coś jeszcze do powiedzenia na swoją
obronę?

Hendrick stał z otwartą gębą.

— Naturalnie, że mam! On mnie uderzył! Uderzył mnie własnoręcznie! Oni wszyscy
spacerują z tymi idiotycznymi pałkami i biją nas po tyłku albo szturchają w plecy. Jakoś
nauczyłem się to znosić. Ale on uderzył mnie pięścią! Powalił mnie na ziemię i wrzesz-
czał: Zamrzyj ty głupi ośle! I co pan kapitan na to?

Kapitan Frankel spuścił wzrok na swoje ręce, a potem znów spojrział na Hendricka.

— Młodzieńcze, trwasz w błędnym przekonaniu, powszechnie panującym wśród
cywilów. Uważasz, że oficerom, twoim zwierzchnikom, nie wolno dotknąć cię ręką.
W stosunkach towarzyskich jest to prawda. Ale przy zależności służbowej sprawa ma
się zupełnie inaczej.

Kapitan obrócił się w krzesle i wskazał na parę skoroszytów.

— Tu oto są prawa, które was obowiązują. Możesz przejrzeć wszystkie artykuły,
wszystkie wyroki sądu wojennego i ich uzasadnienia, a nie znajdziesz ani jednego zda-
nia, ani jednego słowa, które by sugerowały, że twój zwierzchnik nie może cię uderzyć
albo w inny sposób skarcić fizycznie w czasie pełnienia służby. Są sytuacje, w których
dowódca, oficer czy podoficer, ma nie tylko prawo, ale i obowiązek zabić podwładnego,
i to nawet bez ostrzeżenia, żeby, na przykład, położyć kres tchórzliwemu zachowaniu się
w obliczu nieprzyjaciela. — Kapitan postukał palcami w biurko. — A jeśli chodzi o te
pałki, mają one dwa zastosowania. Po pierwsze: są znamię władzy. Po drugie: ude-
rzenie pałką ma wzmocnić dyscyplinę i waszą prężność. Takie uderzenie nie powoduje
poważniejszych obrażeń. Trochę najwyżej zapiecze. Oszczędza jednak tysiąca słów.

Kapitan Frankel westchnął.

— Hendrick, tłumaczę ci to wszystko, bo bezcelowe jest karanie człowieka, jeśli nie wie, za co został ukarany. Byłeś niegrzecznym chłopcem, celowo powiadam: chłopcem, gdyż najwyraźniej nie stałeś się jeszcze mężczyzną, choć staramy się o to, zdumiewająco nieposłusznym chłopcem, biorąc pod uwagę stadium twego szkolenia. Nic nie powiedziałaś na swoją obronę. I nawet nic z tego, co powiedziałaś, nie może wpłynąć na złagodzenie kary. Chyba że jeszcze znajdziesz coś na swoje usprawiedliwienie, choć przyznam, że trudno mi coś takiego sobie wyobrazić.

Rzuciłem parę razy okiem na Hendricka, gdy go kapitan ochrzaniał. Te jego spokojne, łagodne słowa, to było gorsze o.p.r., niż kiedykolwiek słyszeliśmy od Zima.

Wyraz twarzy Hendricka zmieniał się od pełnego oburzenia do wielkiego zdumienia, a teraz stał się ponury.

— Mów! — rzucił Frankel ostro.

— Och... no, rozkazano nam zamrzeć w bezruchu, rzuciłem się więc na ziemię i okazało się, że upadłem na mrowisku. Podniosłem się na kolana, aby się nieco przesunąć, ale dostałem cios w plecy, który mnie powalił. A on jeszcze zaczął na mnie wrzeszczeć — no to zerwałem się i przyłożyłem mu, a on...

— DOŚĆ! — Kapitan Frankel wstał z krzesła. Wydawał się bardzo wielki, chociaż nie jest dużo wyższy ode mnie. Wbił wzrok w Hendricka.

— Ty... uderzyłeś... dowódcę swojej kompanii???

— Powiedziałem przecież. Ale on pierwszy mnie zdzielił i to z tyłu, nawet go nie widziałem. Nikomu nie pozwolę na to, więc mu dałem na odlew, a on znów mnie strzelił i wtedy...

— Zamilcz!

Hendrick przerwał. A potem dodał:

— Mam dość tej parszywej jednostki.

— Sądzę, że pójdziemy ci na rękę — powiedział Frankel głosem lodowatym. — I to szybko.

— Proszę o kawałek papieru. Złożę rezygnację.

— Chwileczkę. Sierżancie Zim.

— Tak jest, panie kapitanie. — Zim od dłuższego czasu nie wypowiedział ani słowa. Stał sztywny jak drąg, tylko widać było, że zaciska szczęki. Popatrzyłem, rzeczywiście miał siniaka. Hendrick musiał mu zdrowo przyłożyć. Ale on sam nic o tym nie powiedział, a kapitan Frankel nie pytał — może myślał, że Zim wpadł na drzwi i wyjaśni później.

— Czy odnośne artykuły, zgodnie z zarządzeniem, były podane do wiadomości pańskiej kompanii?

— Tak jest, panie kapitanie. Zostały ogłoszone i odczytywano je na apelu w każdą niedzielę rano.

Nagle przestało to być zabawne. Stuknąć Zima? I żeby cię mieli za to powiesić? Przecież każdy z nas w kompanii zamierzał się na sierżanta Zima. A niektórym nawet udało się go huknąć, gdy uczył nas prowadzić walkę wręcz. Do diabła! Shujumi przecież kiedyś tak go obrabiał, że Zim stracił przytomność. Bronski wylał na niego wiadro wody, a nasz sierżant wstał, podał Shujumiemu rękę, uśmiechnął się i rozłożył go na obie łopatkę. Kapitan Frankel rozejrzał się i wskazał na mnie.

— Ty. Kwatera Główna pułku na ekran. — Zrobiłem to, ale palce miałem jak z drewna. Cofnąłem się, kiedy ukazała się jakaś twarz.

— Adiutant — twarz się zameldowała. Frankel miał głos zachrypnięty.

— Komendant Drugiego Batalionu melduje się do dowódcy pułku. Proszę o wyznaczenie oficera do składu sądu.

Twarz spytała:

— Na kiedy jest potrzebny?

— Tak szybko jak to możliwe.

— Dobrze. Sądzę, że Jake jest w Kwaterze Głównej. Artykuł i nazwisko?

Kapitan Frankel podał dane Hendricka i zacytował numer artykułu.

Twarz na ekranie wydała gwizd i zasępiła się.

— Tak jest. Jak tylko dopadnę Jake'a. Sam też się stawię, tylko zamelduję Staremu.

Kapitan Frankel zwrócił się do Zima.

— Ta eskorta, czy mogą być świadkami?

— Tak jest.

— Czy szef jego sekcji też to widział? Zim sekundę zawahał się.

— Sądzę, że tak, panie kapitanie.

— Sprowadzić go. Frankel spytał Hendricka:

— Jakich świadków obrony chcesz powołać?

— Nie potrzebuję żadnych świadków. On dobrze wie, co zrobił! Proszę mi tylko dać kawałek papieru i wyniosę się stąd.

— Wszystko w swoim czasie.

Nie upłynęło i pięć minut, gdy zjawił się Mahmud, a po nim porucznik Spieksma.

— Dobry wieczór, kapitanie. Oskarżony i świadkowie obecni? Wszystko przygotowane? Magnetofon włączony?

— Tak jest.

— Doskonale. Hendrick, wystąp!

Hendrick zrobił to, był zdumiony do najwyższych granic i nerwy jakby zaczynały go zawodzić. Porucznik Spieksma oznajmił rażno:

— Polowy Sąd Wojenny zwołany na rozkaz majora F.X. Malloya, dowodzącego Trzecim Pułkiem Ćwiczebnym w Obozie Arthura Currie, zgodnie z paragrafem czwartym Zarządzenia Ogólnego, wydanego przez Dowództwo Generalne do Spraw

Szkolenia i Dyscypliny, w oparciu o Regulamin Sił Zbrojnych Federacji Ziemskiej. Oficer referujący: kapitan Ian Frankel, Piechota Zmechanizowana, odkomenderowany na dowodzącego Drugim Batalionem Trzeciego Pułku. Skład Sądu: porucznik Jacques Spieksma, P.Z., odkomenderowany na dowodzącego Pierwszym Batalionem Trzeciego Pułku. Oskarżony: Hendrick Theodore C. rekrut szeregowiec, nr 7960924, z artykułu 9080. Zarzut: Uderzenie oficera zwierzchnika, w czasie stanu pogotowia Federacji Ziemskiej.

Zdziwiło mnie, że to wszystko tak szybko poszło. Stałem się nagle urzędnikiem sądowym, miałem wprowadzać i usuwać świadków. Nie wiem doprawdy, jak mógłbym usunąć sierżanta Zima, gdyby nie chciał wyjść, ale on skinął na Mahmuda i obu rekrutów i wszyscy wyszli. W niespełna dwadzieścia minut złożyli zeznania, mówiąc prawie to samo, co powiedział Hendrick. Zima nie wzywano w ogóle.

Porucznik Spieksma spytał Hendricka:

— Chcecie zadać krzyżowe pytania świadkom? Sąd udzieli wam pomocy, jeśli macie takie życzenie.

— Nie.

— Stańcie na baczność i mówić Wysoki Sądzie, kiedy zwracacie się do Sądu.

— Nie, Wysoki Sądzie — oświadczył. — Chcę mieć adwokata.

— Prawo nie dopuszcza udziału doradcy prawnego w sądzie wojennym. Czy chcecie złożyć zeznania we własnej obronie? Nie macie tego obowiązku i w świetle dotychczasowych dowodów Sąd nie weźmie pod uwagę waszej odmowy. Ostrzega was jednak, że każde zeznanie, które złożycie, może być wykorzystane przeciwko wam.

Hendrick wzruszył ramionami.

— Nie mam nic do powiedzenia. Co by mi z tego przyszło?

— Sąd powtarza: Czy chcecie zeznawać w swojej własnej obronie?

— Nie, Wysoki Sądzie.

— Sąd domaga się od was odpowiedzi w kwestii formalnej. Czy został wam podany do wiadomości artykuł, na podstawie, którego zostaliście oskarżeni, przed tym, zanim popełniliście przestępstwo, za które odpowiadacie przed Sądem? Możecie odpowiedzieć tak albo nie, albo nie odpowiedzieć. Musicie jednak wziąć pod uwagę, że odpowiedź wasza podlega artykułowi 9167, dotyczącemu krzywoprzysięstwa.

— Och, chyba nam czytali, tyle tego czytają w każdą niedzielę.

— Czy był, czy nie był wam odczytany ten artykuł?

— Och... tak, Wysoki Sądzie. Był odczytany.

— Czy chcecie powiedzieć coś Sądowi w tej sprawie? Coś, co mogłoby zmniejszyć przypisywane wam przestępstwo. Że, na przykład, byliście chorzy, pod działaniem narkotyków lub medykamentów? W tym wypadku nie wiąże was przysięga i możecie powiedzieć wszystko, co może wam pomóc. Sąd pragnie dowiedzieć się, czy waszym zdaniem jest w tej sprawie coś nie w porządku. Jeśli tak, to co takiego?

— Ha! Oczywiście, że tak! Wszystko jest nie w porządku! On mnie uderzył pierwszy! Sami słyszeliście, uderzył mnie pierwszy!

— Czy coś jeszcze?

— Co? Nie, Wysoki Sądzie. A czy to nie wystarczy?

— Przewód sądowy jest zakończony. Rekrut szeregowy Theodore C. Hendrick, proszę wstać. — Porucznik Spieksma stał cały czas na baczność. Teraz wstał kapitan Frankel. Nagle powiało chłodem.

— Szeregowiec Hendrick — jesteście uznani winnym przestępstwa zgodnie z aktem oskarżenia.

Poczułem, że mi żołądek podchodzi do gardła. A więc zamierzają to zrobić... Chcą, żeby Ted Hendrick zadyndał. A ja dziś rano jeszcze jadłem z nim śniadanie...

— Sąd skazuje was — czytał dalej, a mnie robiło się niedobrze — na karę chłosty: dziesięć uderzeń biczem, oraz na usunięcie was z jednostki na skutek złego sprawowania.

Hendrick przełknął głośno ślinę.

— Chciałem złożyć rezygnację.

— Sąd nie zgadza się na złożenie przez was rezygnacji. Kara jest tak lekka, wyłącznie dlatego, że Sąd ten nie jest właściwy do orzekania kary wyższej. Gdyby sprawę rozpatrywał Generalny Sąd Wojenny, skazałby was niewątpliwie na karę śmierci przez powieszenie. — Porucznik Spieksma zrobił pauzę, a potem mówił dalej: — Wyrok zostanie wykonany jutro z samego rana. Do tego czasu skazany ma być zamknięty w więzieniu.

To ostatnie zdanie skierowane było do mnie, ale właściwie moja rola polegała jedynie na zawiadomieniu straży i wzięciu pokwitowania, gdy go zabrali.

Na południowym apelu chorych kapitan Frankel zwolnił mnie z obowiązków ordynansa i skierował do lekarza, a ten odesłał z powrotem do służby. Wróciłem do kompanii akurat w porę, żeby się przebrać i zdążyć na apel. Sierżant Zim wypatrzył małą plamkę na moim mundurze i ostro mi to wytknął. Ja widziałem duży siniac pod jego okiem, ale nie powiedziałem nic.

Na placu ćwiczeń stał wielki słup, na którym umieszczano rozkazy i różne ogłoszenia. Dzisiaj zamiast zwykłego porządku dziennego wywieszono wyrok sądu wojennego na Hendricka. Potem przyprowadzono Hendricka.

Strażnicy podnieśli mu ręce i umocowali kajdanki do haka wbitego wysoko na słupie. Potem zdjęli mu koszulę. Adiutant wydał komendę:

— Wykonać wyrok sądu!

Kapral-instruktor z drugiego batalionu wystąpił naprzód. Trzymał bicz. Sierżant-strażnik liczył.

Ted trzymał się aż do trzeciego razu, potem zaczął łkać.

Wtedy obraz mi się urwał i oprzytomniałem, gdy kapral Bronski wpatrywał się we mnie badawczo i klepał po policzku.

— Już w porządku? Wracać do szeregu! — Odmaszerowałem. Tego dnia nie jadłem obiadu. Nie ja jeden.

O moim zemdleńniu nikt słowem nie wspomniał.

6

Nie cenimy zbyt wysoko tego, co nabywamy tanio... Byłoby dziwne, doprawdy, gdyby tak niebiański artykuł, jakim jest WOLNOŚĆ, nie kosztował drogo.

— Thomas Pains

Noc, która nastąpiła po wylaniu Hendricka, była dla mnie najcięższą nocą w Obozie Currie, osiągnąłem prawie dno upadku.

Nie mogłem zasnąć, a trzeba przejść przez obóz rekrucki, aby to w pełni zrozumieć. Bolało mnie jeszcze wywichnięte ramię, na sercu leżał mi list od matki, a gdy tylko przyklnąłem oczy, widziałem Teda słaniającego się przy tym słupie i słyszałem świst bata.

Byłem stanowczo zdecydowany złożyć rezygnację. Gdyby nie to, że w środku nocy nie miałem pod ręką ani pióra, ani papieru, zrobiłbym to od razu.

Ted popełnił fatalny błąd. Mimo że nienawidził tej jednostki, starał się w pocie i znoju zdobyć prawo głosowania. Miał zamiar poświęcić się karierze politycznej. Wiele o tym mówił: — Jak już będę pełnoprawnym obywatelem, postaram się to i owo zmienić. Poczekajcie, zobaczycie.

Teraz ma z głowy. Nie będzie mógł piastować żadnego urzędu. Jest skończony. Skoro jemu się to przytrafiło, równie dobrze może się przytrafić i mnie. Jutro, może w przyszłym tygodniu. Jedno potknięcie i nawet nie będę mógł sam zrezygnować... Wywałą mnie z sinymi pręgami na plecach. Pora przyznać, że byłem w błędzie, a ojciec miał rację. Wrócę do domu i powiem to ojcu. Może jeszcze zgodzi się posłać mnie do Harvardu i pozwoli później pracować w firmie. Zaraz rano powiem sierżantowi Zimowi, że mam dość. Ale dopiero rano, bo sierżanta Zima nie wolno zbudzić pod żadnym pozorem. Chyba żeby zaszło coś takiego, co on sam uznałby za wydarzenie nie cierpiące zwłoki...

Sierżant Zim... On gnębił mnie tak samo jak Ted.

Gdy już skończyła się ta sprawa przed sądem i Teda odprowadzono, sierżant Zim zwrócił się do kapitana Frankla:

— Czy mogę z panem pomówić, panie kapitanie?

— Oczywiście. A i ja chciałem pana prosić o chwilę rozmowy. Proszę siadać.

Zim wskazał mnie wzrokiem. Kapitan spojrział i nie potrzebował mi nic mówić, sam spłynąłem. W przyległym pomieszczeniu znajdowało się tylko paru cywilnych urzędników. Nie śmiałem się oddalić, bo kapitan mógł mnie potrzebować. Znalazłem jakieś krzesło i usiadłem. Przez przepierzenie dokładnie słyszałem ich rozmowę. Nie chciałem podsłuchiwać... a właściwie może i tak.

Zim powiedział:

— Panie kapitanie, chciałem prosić o przeniesienie do jednostki bojowej.

— Nie słyszę, co mówisz, Charlie. Znów mi dokuczaj ucho. Zim:

— Mówię serio, panie kapitanie. Uważam, że nie nadaję się na instruktora.

Frankel powiedział lekko:

— Przestań, sierżancie, biadolić nad sobą. Co się takiego, u diabła, stało?

Zim ponuro:

— Kapitanie, ten chłopak nie zasłużył na chłostę. Na to Frankel:

— Oczywiście, że nie zasłużył. Obaj wiemy, kto skrewił.

— Tak, panie kapitanie, wiem.

— No więc? Wiecie, nawet lepiej niż ja, że te dzieciaki w tym stadium to dzikie zwierzęta. Wiecie, kiedy jest bezpieczniej udać, że się czegoś nie widzi, a kiedy należy reagować. Znać treść artykułu 9080 — i nie powinniście nigdy dawać im okazji, by ten artykuł mogli pogwałcić. Oczywiście, niektórzy próbują, ale przecież gdyby nie byli agresywni, nie nadawaliby się do Piechoty Zmechanizowanej. W szeregu stoją posłusznie, są też potulni, kiedy jedzą albo śpią... Ale kiedy wyprowadzi się ich na ćwiczenia, kiedy podniecą się i podskoczy im poziom adrenaliny, wtedy stają się wybuchowi jak rtęć piorunująca. Wiecie o tym doskonale. Wszyscy instruktorzy o tym wiedzą. Jesteście wyszkoleni, by zwracać na to uwagę, aby to wywąchać, zanim się zdarzy. Proszę mi wytłumaczyć, jak to było możliwe, aby jakiś rekrut podbił wam oko? Nie powinien was nawet dotknąć palcem. To wy powinniście sprać go na kwaśne jabłko, kiedy spostrzeżliście, na co się zanoszą. Dlaczego nie byliście w pogotowiu? Straciliście swój wigor?

— Nie wiem — odparł Zim powoli. — Chyba tak.

— Hmm! Jeżeli to prawda, jednostka bojowa jest ostatnim miejscem dla ciebie. Ale to nie jest prawda. A przynajmniej nie było prawdą trzy dni temu, kiedy pracowaliśmy razem. Gdzie więc popełniłeś błąd?

Zim ociągał się z odpowiedzią.

— Myślę, że uważałem go za jednego z tych bezpiecznych.

— Takich nie ma.

— Tak, panie kapitanie. Ale on był taki poważny, tak stanowczo zdecydowany dotrwać do końca, tyle w to wkładał wysiłku... Chyba wpłynęło to na moją podświadomość. — Zim milczał przez chwilę, potem dodał: — Pewnie stało się tak dlatego, że go lubiłem.

Frankel zachnął się.

— Instruktor nie może pozwalać sobie na uczucia.

— Wiem o tym, panie kapitanie. Ale tak się stało. To są dobrzy chłopcy. Śmieci już odpadły. Jedyną wadą Hendricka, poza tym, że był trochę niezdarny, była pewna zarozumiałość. Sądził, że ma odpowiedź na wszystko. Jest to jednak mankament młodego wieku, znamy go wszyscy. To dobrzy chłopcy, pełni zapału i dobrej woli, sprytni jak szczenięta collie. Wielu z nich wyrośnie na żołnierzy.

— A więc w tym tkwi twoja słabość. Lubisz ich... Dlatego nie poskromiłeś go w porę. No i skończył przed sądem. Dostał karę chłosty i wyrzucono go z paskudną opinią. Pięknie.

Zim odrzekł poważnie:

— Przysięgam na niebo, że gdyby był jakiś sposób, sam poniósłbym tę karę.

— Musiałbyś czekać w kolejce, ja przewyższam cię rangą. Jak myślisz, czego pragnąłem przez ostatnie godziny? Jak myślisz, czego bałem się najbardziej od chwili, gdy wszedłeś tutaj prezentując swój siniec? Robiłem wszystko co w mojej mocy, aby ten bałwan wykręcił się karą administracyjną. Nie przypuszczałem, że okaże się aż takim szaleńcem i wyskoczy z tym, że cię uderzył... Jest głupi. Już dawno powinieneś pozbyć się go z jednostki... zamiast niańczyć i doprowadzić do tego nieszczęścia. Ale powiedział mi to w oczy, przy świadkach i zmusił mnie do podjęcia oficjalnych kroków... No i to nas urządziło. Nie było sposobu, by wymazać to ze sprawozdania. Nie było sposobu, by uniknąć sądu. Nie było rady, musieliśmy przejść przez tę ponurą procedurę i zarobiliśmy jeszcze jednego cywila, który będzie przeciwko nam do końca swoich dni. On musiał być wychłostany. Ani ty, ani ja nie mogliśmy znaleźć się na jego miejscu. Pułk musi zobaczyć, co dzieje się, jeśli zostanie pogwałcony artykuł 9080. Nasza wina... a on otrzymał cięgi.

— Moja wina, panie kapitanie. Dlatego proszę o przeniesienie. Hmm, uważam, że tak będzie lepiej dla jednostki.

— Ach, ty tak uważasz? Ale ja tu decyduję, co jest dobre dla mego batalionu, nie wy, sierżancie. Charlie, przypomnij sobie, co było dwanaście lat temu? Byłeś wtedy kapralem. Pamiętasz, gdzie wtedy byłeś?

— Tutaj, jak pan doskonale sam wie, kapitanie. Tutaj, na tej przeklętej prerii... Obym nigdy na nią nie wrócił!

— I my wszyscy. Tak się jednak złożyło, że mamy do wykonania najważniejsze i najdelikatniejsze zadanie w Armii — zmienić niesfornych szczeniaków w żołnierzy. Kto był najniesforniejszym szczeniakiem w twojej sekcji?

— Hmm — odpowiedział wolno Zim — nie ośmieliłbym się posunąć aż tak daleko i powiedzieć, że to pan był najgorszy, kapitanie.

— Nie ośmieliłbyś się, taak? Ale długo musiałbyś myśleć, by wymienić innego kandydata. Nienawidziłem twojej siły i werwy, kapralu Zim.

Zim był jakby zdziwiony i trochę dotknięty.

— Doprawdy, kapitanie? Ja cię raczej lubiłem. Na pewno nie czułem nienawiści.

— No cóż, nienawiść jest drugim luksusem, na który instruktor nie może sobie pozwolić. Nie wolno nam ich nienawidzić i nie powinniśmy ich lubić. Musimy ich uczyć. Ale skoro mnie wtedy lubiłeś, to... hmm... w bardzo dziwny sposób okazywałeś to. Wciąż jeszcze mnie lubisz? Nie, nie odpowiadaj. Mniejsza o to. Wtedy gardziłem tobą, przemyślałem, w jaki sposób ci dopiec. Ty jednak byłeś czujny i nie dopuściłeś, by mnie skazano z artykułu 9080. Tak więc, dzięki tobie, znalazłem się tutaj. A przechodząc do twojej prośby: kiedy byłem rekrutem, wydawałeś często rozkaz, o, jakże mi nienawistny... Pamiętasz? Teraz ja wydam go tobie: — Żołnierz ma zamknąć gębę i odmaszerować!

— Tak jest, panie kapitanie.

— Nie odchodź jeszcze. Ta smutna historia nie poszła na marne. Każdy pułk rekrutki potrzebuje twardej lekcji, żeby przestrzegać artykułu 9080. Macie zebrać wszystkich instruktorów i udzielić im ostrzeżenia. Przez jakieś dwadzieścia cztery godziny te dzieciaki będą w szoku. Potem zaczną w nich narastać napięcie. Absolutnie nie życzę sobie, żeby znów jakiś rekrut został przywiązany do pala i wychłostany wskutek niedbalstwa któregoś z instruktorów. Odmaszerować.

— Rozkaz, panie kapitanie. Dobranoc, panie kapitanie.

— Jaka tam dobra. Charlie...

— Słucham, panie kapitanie.

— Jak nie macie zbyt wiele roboty, to może wpadniecie, powiedzmy koło ósmej, do mojej kwatery z miękkimi pantoflami i swoją matą, to sobie trochę potańcujemy.

— Rozkaz, panie kapitanie.

— To nie rozkaz, a zaproszenie. Jeśli naprawdę kapcaniejesz, dobrze ci zrobi, jak cię rozłożę na obie łopatki.

— Och, chciałby się pan kapitan założyć?

— Co to, to nie! Chyba że zgodzisz się walczyć z jedną nogą w kubie z cementem. Ale, mówiąc serio, Charlie, mieliśmy podły dzień i jeśli obaj przyłożymy sobie parę kuksańców i dobrze się spocimy, może uda nam się zasnąć w nocy, pomimo tych wszystkich maminsynków.

Sierżant Zim wyszedł tak szybko, że nie zdążyłem zerwać się z krzesła. Kapitan Frankel już krzyczał.

— Ordynans! Ordynans! ORDYNANS! Czy muszę wołać trzy razy? Jak się nazywacie? Dołączcie sobie godzinę karnej służby w pełnym umundurowaniu! Odszukajcie dowódców kompanii E, F i G, chcę z nimi mówić przed apelem. Potem skoczycie do mojego namiotu i przyniesiecie mi czysty mundur, czapkę, broń, buty i baretki. Zostawicie tutaj. Potem sporządzicie raport chorych, widziałem, że możecie pisać tą ręką, widocznie nie bardzo was boli. Macie trzynaście minut do apelu. Biegiem marsz!

Wykonałem wszystko... Rozkazy nie są niemożliwe do wykonania. Tak się tylko wydaje, gdyż są bliskie niemożliwości. Rozkładałem właśnie mundur kapitana Frankla, kiedy zatrąbiono na apel. Nie patrząc na mnie kapitan powiedział:

— Skreślam wam karną służbę. Odmaszerować. Zdażyłem biegiem na apel, aby zafasować karną służbę za mundur nie w porządku i zobaczyć bolesny koniec Teda Hendricka w Piechocie Zmechanizowanej.

Miałem więc wiele do myślenia leżąc w tę bezseną noc. Wiedziałem, że sierżant Zim ciężko pracował, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że może odczuwać coś innego niż całkowite zadowolenie z tego, co robi. Był zawsze elegancki, pewny siebie, w zgodzie z sobą i całym światem.

Fakt, że ten niepokonany robot poczuł się tak bardzo zhańbiony, że pragnął uciec i ukryć swą twarz pomiędzy obcymi, wstrząsnął mną chyba jeszcze bardziej niż widok chłostanego Teda.

A do tego kapitan Frankel zgadzał się z nim, uznawał wagę tej porażki i zrugął go! Byłem dotychczas przekonany, że sierżantów się nie beszta. To oni besztają innych, takie jest prawo natury.

Muszę przyznać, że to, co spadło na sierżanta Zima, co musiał przełknąć, jak został upokorzony i czego wysłuchał — brzmiało dla mnie jak najpiękniejsza pieśń miłosna. A przecież kapitan nawet głosu nie podniósł.

Ten cały incydent był tak nieprawdopodobny, że nie śmiałem o nim nikomu nawet wspomnieć. A sam kapitan Frankel... Oficerów nie mieliśmy okazji widywać zbyt często. Pojawiali się czasem, spacerując wolnym krokiem, na wieczornym apelu. Dokonywali raz na tydzień przeglądu, robiąc sierżantom uwagi, które potem skrupiały się na nas. Co tydzień też decydowali, która kompania będzie miała honor strzec pułkowego sztandaru.

Jeden albo kilku towarzyszyło nam zwykle na trasach marszu, a kapitan Frankel zademonstrował nam dwa razy swoje mistrzostwo w *la savate*. Oficerowie jednak nie pracowali tak naprawdę i nie mieli żadnych kłopotów, bo pod sobą mieli przecież sierżantów.

Teraz nagle okazało się, że kapitan Frankel pracował tak ciężko, że nie starczało mu czasu na posiłki. Był tak zajęty, że brak mu było ruchu i ćwiczeń fizycznych.

A jeśli chodzi o troski i kłopoty, to wydawał się zgnębiony tym, co przytrafiło się Hendrickowi, jeszcze bardziej niż sam Zim. A przecież nie znał Hendricka nawet z widzenia. Musiał zapytać o jego nazwisko.

Miałem głupie uczucie, że się kompletnie myliłem w ocenie świata, w którym obecnie żyłem. Tak jakby cała jego istota i każda część były czymś zupełnie innym, niż na to wyglądały. To tak jakby twoja własna matka okazała się nagle kimś obcym, jedynie w masce na twarzy.

Jednego tylko byłem pewien: wcale nie miałem ochoty przekonać się, czym naprawdę była Piechota Zmechanizowana. Jeśli była tak twarda i bezwzględna, że potrafiła sprawić, iż nawet tacy półbogowie jak sierżanci i oficerowie mogli czuć się nieszczęśliwi, to na pewno była zbyt bezwzględna i za twarda dla małego Johna! Jak można uchronić się od popełnienia błędów w jednostce, której nawet nie rozumiesz? Absolutnie nie uśmiechało mi się dyndanie na szubienicy, nie chciałem też ryzykować kary chłosty.

Nikt nigdy w mojej rodzinie nie był wychłostany. Nie było w niej kryminalistów ani nawet nikt nie był oskarżony o przestępstwo. Byliśmy rodziną dumną. Jedyne, czego nam brakowało, to obywatelstwo. Ale ojciec nie uważał tego za specjalny honor, a raczej za rzecz bezużyteczną. Gdybym jednak został wychłostany... och, na pewno dostałby zawału.

A przecież Hendrick nie zrobił nic innego niż to, o czym ja sam myślałem tysiąc razy. Czemu ja tego nie zrobiłem? Jestem bojaźliwy. Wiedziałem, że każdy z tych instruktorów mógł mnie stłuc do nieprzytomności. Trzymałem więc głowę na kłódkę i nie wychylałem się. Jesteś tchórzem, Johnnie. Ted Hendrick miał przynajmniej odwagę. Ja nie miałem... A człowiek pozbawiony odwagi nie ma czego szukać w wojsku.

Nie ma rady, Johnnie, najwyższy czas, żeby się stąd wymeldować.

List od matki tylko potwierdził słuszność mojej decyzji. Mogłem nie mieć serca dla swoich rodziców, dopóki się mnie wyrzekali, ale kiedy zmiękli... Oto, co mi napisała:

„Muszę ci jednak donieść z przykrością, że ojciec w dalszym ciągu nie chce o tobie słyszeć. Ale, mój najdroższy, w taki sposób wyraża się jego cierpienie, bo płakać nie potrafi. Musisz to zrozumieć, moje drogie dziecko, on kocha cię bardziej niż własne życie, bardziej niż mnie — a ty przecież zraniłeś go bardzo głęboko. Mówi ludziom, że jesteś dorosłym mężczyzną, odpowiedzialnym za swoje decyzje i że jest z ciebie dumny. Ale to przemawia jego miłość własna; mówi dumny człowiek, który został zraniony głęboko, w samo serce, przez tego, kogo kocha najbardziej.

Musisz to zrozumieć, Juanito, że nie mówi o tobie, nie napisał do ciebie, bo po prostu jeszcze nie może. Jego ból jest wciąż nie do zniesienia. Za jakiś czas złagodnieje, jestem pewna, i wtedy wstawię się za tobą i znów będziemy wszyscy razem.

A jeśli chodzi o mnie, to czy mój drogi chłopiec może zrobić coś, co by rozgniewało jego matkę? Możesz mnie zranić, ale nigdy nie będę cię mniej kochała. Gdziekolwiek jesteś, cokolwiek robisz, zawsze jesteś moim małym synkiem, który przybiega w ramiona swej matki po pociechę. Pamiętaj, że te ramiona zawsze czekają na ciebie, kiedy tylko pragniesz się w nich schronić. Mali chłopcy nigdy nie wyrastają na tyle, by nie potrzebować matczynej miłości, prawda kochanie? Mam nadzieję, że do mnie napiszesz i powiesz mi to.

Muszę dodać, iż ze względu na to, że tak bardzo długo nie pisałeś, będzie prawdopodobnie lepiej (póki cię nie zawiadomię, abyś robił inaczej), żeby twoje listy przychodziły pod adresem ciotki Eleonory. Będzie mi je przekazywała natychmiast. Rozumiesz?

Całuję Cię tysiąc razy, moje ukochane dziecko.

Matka”

Rozumiałem wszystko doskonale, i jeżeli ojciec nie mógł płakać, ja mogłem. I płakałem.

I wreszcie zasnąłem... I natychmiast zbudził mnie alarm. Pognano nas na poligon, mieliśmy symulowane ćwiczenia, bez amunicji. Byliśmy w pełnym uzbrojeniu, włącznie ze słuchawkami na uszach. Ledwie uformowaliśmy szyk rozwinięty, padł rozkaz, by zamrzeć w bezruchu.

Trwaliśmy tak przynajmniej z godzinę — naprawdę ledwie oddychając. Coś przebiegło tuż obok mnie, chyba jakiś kojot. Ani drgnąłem. Było mi okropnie zimno, ale nie przejmowałem się tym. Wiedziałem, że to ostatni raz.

Następnego dnia nieomal przespałem pobudkę. Ledwie zdążyłem na gimnastykę. Nie było sensu składać rezygnacji przed śniadaniem, bo musiałem najpierw zobaczyć się z Zimem. Poprosiłem Bronskiego o pozwolenie zameldowania się u dowódcy kompanii, a on odpowiedział:

— Ależ oczywiście, proszę bardzo — i nawet nie zapytał mnie po co.

Ale nie można widzieć się z kimś, kogo nie ma. Po śniadaniu wyruszyliśmy w drogę, a on wciąż się nie pokazywał. Obiad dostarczono nam helikopterem — nieoczekiwany luksus. Razem z posiłkiem przybył sierżant Zim i przywiózł pocztę... Nie oczekiwałem żadnego listu. Zdumiałem się, kiedy wywołał moje nazwisko i wręczył przesyłkę. Stuknąłem obcasami, odebrałem i odszedłem.

Zdumiałem się jeszcze bardziej, gdy okazało się, że był to list od pana Dubois, mego wykładowcy historii i filozofii moralności. Już prędzej oczekiwałbym listu od świętego Mikołaja.

Potem, gdy go czytałem, w dalszym ciągu wydawało mi się, że to jakaś pomyłka. Musiałem jeszcze raz sprawdzić adres, aby się upewnić, że to rzeczywiście do mnie.

„Mój drogi chłopcze, chciałem napisać do Ciebie znacznie wcześniej, by wyrazić radość i dumę, jaka mnie ogarnęła, gdy dowiedziałem się, że nie tylko zgłosiłeś się na ochotnika, ale że także wybrałeś tę samą służbę co ja. Nie dziwi mnie, że poszedłeś do wojska — oczekiwałem tego po Tobie. Dodatkową i bardzo osobistą przyjemność sprawiło mi to, że wybrałeś Piechotę Zmechanizowaną. Wybór takiego kierunku kariery nie zdarza się zbyt często, tym bardziej więc koronuje wszystkie wysiłki nauczyciela. Z konieczności przesiewamy wiele kamyków, mnóstwo piasku, by znaleźć jedną bryłkę złota stanowiącą dla nas jakże cenną nagrodę.

W tej chwili już chyba rozumiesz, dlaczego nie napisałem wcześniej. Wielu młodych ludzi, niekonieczne wskutek własnych, godnych nagany uchybień, odpada w okresie szkolenia rekruckiego. Oczekiwałem (mam zresztą wiadomości za pośrednictwem własnych kanałów), aż przejdiesz przez najgorsze, przekroczysz Rubikon i będzie pewność, pomijając nieszczęśliwy wypadek czy chorobę, że odbędziesz szkolenie i służbę obowiązkową. Przechodzisz obecnie najcięższy okres swej służby — najcięższy nie fizycznie, ale duchowo, głębokie wewnętrzne przemiany i przewartościowania, konieczne, by ukształtować z Ciebie przyszłego obywatela. Albo raczej powinieniem powiedzieć, że masz już za sobą najgorszy odcinek tej drogi, mimo iż są jeszcze przed Tobą bardzo ciężkie próby i przeszkody, które będziesz musiał pokonać. Ale właśnie to, co się liczy, to te próby i przeszkody — i znając Cię, młodzieńcze, wiem, że czekałem dość długo, by mieć pewność, że najgorsze poza Tobą. W przeciwnym razie byłbyś już teraz w domu.

Teraz, kiedy osiągnąłeś już te wyżyny duchowe, odczuwasz coś zupełnie nowego. Być może brak Ci słów, by to określić (ja też nie potrafiłem, kiedy byłem rekrutem), pozwolisz więc, że pomoże Ci starszy kolega. Oto są te słowa: Najgodniejszym celem życia człowieka jest możliwość postawienia swego śmiertelnego ciała w obronie ukochanego domu przeciw potwornościom wojny. To oczywiście, jak rozpoznałeś, nie są moje własne słowa. Zawiera się w nich jednak prawda, która, mimo przeobrażeń świata, pozostaje nie zmieniona przez wszystkie wieki, wszędzie, dla wszystkich ludzi i narodów.

Jeśli znajdziesz wolną chwilę w swym cennym wolnym czasie, by ją poświęcić starremu człowiekowi, to napisz do mnie parę słów. A jeżeli przypadkiem spotkasz któregoś z mych dawnych towarzyszy broni, to przekaż mu moje najserdeczniejsze pozdrowienia.

Powodzenia, piechurze! Jestem z Ciebie dumny!

Jean V. Dubois podpułkownik P.Z., w stanie spoczynku”

Podpis był równie zdumiewający jak cały list. Stary nudziarz — podpułkownikiem? Przecież dowódca naszego pułku był tylko majorem. Pan Dubois nigdy w szkole nie używał stopnia wojskowego. Przypuszczaliśmy, że musiał być jakimś kapralem, że go zwolniono, gdy stracił rękę, i dostał posadkę wykładowcy przedmiotu, z którego nawet nie trzeba było składać egzaminu. Wiedzieliśmy oczywiście, że był weteranem, ponieważ historię i filozofię moralności może wyklądać tylko ktoś posiadający obywatelstwo. Ale Piechota Zmechanizowana? Nie wyglądał na to. Pedantyczny, pogardliwy, typ nauczyciela tańca, a nie jeden z nas — goryli. W taki jednak sposób się podpisał.

Rozmyślałem nad tym, co mówił kiedyś pan Dubois: Najlepszych, najpiękniejszych rzeczy w życiu nie można nabyć za pieniądze, ich ceną jest serdeczna męka, gorące oddanie się... a ceną za rzecz najcenniejszą w życiu — jest samo życie. Najwyższa cena za najdoskonalszą wartość.

Rozmyślałem także nad jego niezwykłym listem w czasie drogi do obozu. Potem przestałem myśleć, bo orkiestra zaczęła grać, a my zaczęliśmy śpiewać francuskie piosenki...

I nagle zdałem sobie sprawę, że czuję się całkiem dobrze. Czy dlatego, że za parę godzin będziemy na miejscu i będę mógł złożyć rezygnację? Chyba nie.

Kiedy zdecydowałem się rzucić wojsko, rzeczywiście jakoś uspokoiłem się wewnętrznie, tak że mogłem zasnąć. Ale teraz to było coś innego i nie wiedziałem z jakiego powodu.

Nagle zrozumiałem: pokochałem swój garb.

Najgorsze było poza mną — jak napisał pułkownik Dubois. Teraz rozpościerała się przede mną prosta droga. Rynsztunek przestał mi tak bardzo ciążyć i zniknęły gdzieś wszystkie troski.

W obozie już nie chciałem rozmawiać z sierżantem Zimem, nie było o czym. Za to on skinął na mnie.

— Słucham, panie sierżancie?

— Mam do was osobiste pytanie... Nie musicie odpowiadać.

Zatrzymał się, a mnie przyszło do głowy, że pewnie podejrzewa, iż podsłuchiwałem, jak go kapitan ochrzanił, i zrobiło mi się strasznie głupio.

— Otrzymaliście dzisiaj list — powiedział. — Zauważyłem, przez czysty przypadek, nazwisko nadawcy. Jest to dość pospolite nazwisko w niektórych regionach, ale, to naprawdę osobiste pytanie i nie musicie odpowiadać, czy osoba, która napisała ten list, nie ma przypadkiem obciętej lewej ręki przy nadgarstku?

Opadła mi szczęka.

— Skąd pan wie, panie sierżancie?

— Byłem w pobliżu, kiedy to się stało. To pułkownik Dubois, prawda?

— Tak, panie sierżancie. — I dodałem: — Był moim wykładowcą historii i filozofii moralności w gimnazjum.

Chyba wtedy, jeden jedyny raz, zrobiłem wrażenie na sierżancie Zimie. Brwi podjechały mu do góry, a oczy rozszerzyły się.

— Ach, tak? Mieliście niezwykle szczęście. — I po chwili: — Gdy będziecie odpisywali na ten list, o ile nie sprawi wam to różnicy, to zechciejcie dołączyć wyrazy szacunku od sierżanta Zima ze statku kosmicznego.

— Tak jest, panie sierżancie. Och... Sądzę, że on przesłał panu wiadomość, panie sierżancie.

— Co takiego?

— Och, nie jestem pewien. — Wyjąłem list i przeczytałem: — „...jeśli przypadkiem spotkasz którego z mych dawnych towarzyszy broni, to przekaż mu moje najserdeczniejsze pozdrowienia...” To pewnie dla pana, panie sierżancie.

Zim zamysłony patrzył gdzieś poza mnie.

— Och, tak. Tak, dla mnie między innymi. Dziękuję. Dziękuję bardzo.

I nagle, jak gdyby nigdy nic, zawołał:

— Dziesięć minut do apelu. Pryszyć i przebrać się. Biegiem marsz!

7

*Rekrut to mięczak, to słaby gość
Chce z sobą skończyć — ma tego
dość. Utracił dumę i wiarę w brata
Została szmata.*

Kopią go co dzień, poniewierają,

Jednak on wstaje,

Wstaje, aż stanie pewnego dnia

W pełnym rynsztunku,

Po trudzie, znoju

Gotów do boju.

— Wg R. Kiplinga

Nie będę już więcej opowiadał o szkoleniu rekruckim — była to ciężka praca i dobrze dostałem w kość.

Chciałbym jednak powiedzieć coś o naszych zautomatyzowanych kombinezonach. Głównie dlatego, że byłem nimi zafascynowany, ale też dlatego, że miałem przez nie kłopoty. Nie, że bym się skarżył — dostałem, na co zasłużyłem.

Piechur Zmechanizowany funkcjonuje dzięki swemu kombinezowi, tak samo jak żołnierz z K-9 żyje dzięki swemu psu.

Piechota Zmechanizowana zawdzięcza swą nazwę w połowie tym właśnie zautomatyzowanym kombinezonom, dzięki którym nie jest zwyczajną piechotą. Druga połowa to statki kosmiczne, które nas katapultują, i kapsuły, w których jesteśmy zrzućani.

To właśnie kombinezony sprawiają, że mamy bystrzejsze oczy, lepsze uszy, silniejsze plecy, potężniejszą siłę ognia, większą wytrzymałość i odporność na zranienia i urazy, a także wyższą inteligencję (oczywiście inteligencję w znaczeniu militarnym).

Nasz kombinezon nie jest zbroją ani skafandrem kosmicznym, chociaż może spełniać jego funkcje.

Nie jest również czołgiem — ale pojedynczy szeregowiec P.Z. poradzi sobie z całym batalionem, jeśli znajdzie się taki idiota, który poprowadzi czołgi przeciwko P.Z.

Taki kombinezon nie jest statkiem międzygwiazdowym, ale można w nim latać na niewielkie odległości. Z drugiej strony — ani statki, ani bronie kosmiczne nie zdołają pokonać żołnierza w kombinezonie, chyba że dokonają intensywnego bombardowania całego rejonu. My natomiast możemy wykonać wiele zadań, których nie zdoła wykonać kosmiczny statek.

Jest tysiąc sposobów totalnego niszczenia, za pomocą statków i raket międzyplanetarnych, tak że wojna kończy się po prostu dlatego, że jakaś planeta przestaje istnieć. My jednak działamy w sposób całkowicie odmienny. Sprawiamy, iż wojna staje się rzeczą równie osobistą jak bójka dwóch uliczników.

Potrafimy dokonywać selekcji, stosować nacisk o odpowiednim natężeniu, w wybranym miejscu i oznaczonym czasie.

Pojawiamy się w określonym miejscu o godzinie X, okupujemy wyznaczony teren, wykurzamy wrogów z ich nor i muszą się poddać albo zginąć.

Nie ma potrzeby opisywać, jak taki kombinezon wygląda, bo widać go na różnych zdjęciach. Gdy człowiek w to się ubierze, przypomina ogromnego stalowego goryla. Gdyby jednak goryl zechciał zmagać się z piechurem w kombinezonie, zostałby zmiażdżony, a P.Z. — i jego kombinezon — nie byłby nawet draśnięty.

Prawdziwie genialnym osiągnięciem jest to, że nie trzeba nadzorować takiego kombinezonu. Jest jak ubranie, jak własna skóra.

Pojazd to pojazd, coś osobnego.

A taki kombinezon po prostu zwyczajnie się nosi.

Jakieś dwa tysiące funtów z pełnym wyposażeniem, a jednak natychmiast można w nim chodzić, biegać, skakać, kłaść się, podnieść jajko nie tłukąc skorupki, a także przeskoczyć przez najbliższy dom, lądując lekko jak piórko.

Całe wnętrze kombinezonu usiane jest receptorami nacisku, naciskasz piętą, kolaniem, łokciem czy ręką, a kombinezon to czuje. Posiada on sprzężenie zwrotne, które umożliwia mu dopasowanie się do każdego twojego ruchu. Tyle że ruch ten wykonany jest z o wiele większą siłą. Z siłą kontrolowaną... ale ty wcale nie musisz o tym myśleć.

Głowa jest jedyną częścią ciała nie mającą łączności z receptorami nacisku, którym podlegają mięśnie kombinezonu. Ruchy głowy, żuchwy, podbródka, szyi działają jak specjalna nastawnia.

Do podbródka należy manipulacja wrażeniami wizualnymi, do żuchwy zaś — słuchowymi. Wszystkie obrazy rzucane są na ekranik przed twym czołem, zarówno to, co dzieje się przed tobą, nad tobą jak i z tyłu.

Jeśli podrzucisz głową jak koń, to noktowizory, czułe na promienie podczerwone, podjadą ci w górę, na czoło. Gdy potrząsniesz znowu — opadną.

Gdy uruchamiasz miotacz ognia, twój kombinezon cofa cię automatycznie.

Nie wspominam już o rozmaitych lejkach do płynów, aparatach dostarczających powietrze, żyroskopach i tysiącach innych urządzeń, których pierwszym zadaniem jest pozostawienie ci wolnych rąk.

To wszystko wymaga oczywiście długotrwałej praktyki. No więc ćwiczysz, dopóki włączenie każdego potrzebnego obwodu nie odbywa się tak odruchowo, jak na przykład czyszczenie zębów.

Jak już mówiłem, zakochałem się od pierwszej chwili w zautomatyzowanym kombinezonie, mimo że na wstępie naszej znajomości wywichnąłem sobie ramię. Każdy dzień, kiedy mieliśmy ćwiczenia w kombinezonach, był dla mnie wielkim dniem.

Tego dnia, kiedy powinęła mi się noga, miałem symulowaną rangę sierżanta, pełniłem symulowaną funkcję dowódcy pododdziału i byłem uzbrojony w symulowane rakiety atomowe, by użyć je w symulowanych ciemnościach przeciwko symulowanemu nieprzyjacielowi.

Z tym był kłopot — wszystko było symulowane, a ty musiałeś postępować tak, jakby to działo się naprawdę.

Cofaliśmy się właśnie na z góry upatrzone pozycje, gdy instruktor, za pomocą radia, przerwał obieg prądu w kombinezonie jednego z moich ludzi. Uczyniło to z niego bezradną ofiarę wojny.

Zgodnie z przepisami P.Z. należało go zabrać i powinien to zrobić mój zastępca. Ja jednak pospieszyłem się i w zapale walki sam wydałem rozkaz. Potem zabrałem się do rozciągania symulowanej zasłony dymnej, by przeszkodzić symulowanemu kontratakowi wroga.

Mój pododdział otworzył ciągły ogień poszerzany w lewo i prawo. Musiałem nim jednak tak kierować, by podmuch nie szkodził żołnierzom. Oczywiście wszystko to odbywało się w skoku. Poruszanie się w terenie i sama taktyka były zawczasu przedyskutowane, tak że warianty mogły być spowodowane jedynie nieszczęśliwymi wypadkami.

Przepisy nakazywały, bym dokładnie zlokalizował tych żołnierzy, którzy mogli być ewentualnie porażeni wybuchem. Należało to wykonać błyskawicznie, a ja nie umiałem jeszcze tak szybko odczytywać tych maleńkich sygnałów radarowych.

Dopuściłem się więc małego szachrajstwa i podniosłem noktowizory, żeby rozejrzeć się gołym okiem.

W odległości prawie połowy mili dostrzegłem jednego z moich, którego można było spisać na straty, a wokół duży obszar był czysty.

Cholera! Pozostała mi tylko jedna malutka rakietka atomowa — powodowała więcej dymu i hałasu niż strat. Niewiele myśląc, wybrałem niedaleki cel i wypuściłem ją.

Potem odskoczyłem, zadowolony z siebie, że nie straciłem ani sekundy.

Gdy byłem w powietrzu, wyłączono mi obwód energetyczny. Opadłem, przykucnąłem, wyprostowałem się dzięki żyroskopowi i już nie mogłem się poruszyć. Bo jak można się poruszyć, będąc zatopionym w tonie metalu i mając wyłączony prąd?

Kląłem na czym świat stoi, bo skąd mogłem przypuszczać, że zrobią ze mnie ofiarę wojny, skoro miałem być dowódcą.

Nie wziąłem, niestety, pod uwagę, że sierżant Zim będzie miał dowódcę pododdziału na monitorze.

Przyskoczył do mnie i powiedział mi w oczy, co miał do powiedzenia. Zaproponował, bym rozejrzał się za robotą śmieciarza, bo nie nadaję się nawet na pomywacza — jestem zbyt głupi, niezdarny i bezmyślny. Wyraził swoje zdanie o mojej przeszłości, prawdopodobnej przyszłości oraz poruszył parę innych spraw, o których wolałbym nie słyszeć. Na zakończenie spytał, czy chciałbym, aby pułkownik Dubois dowiedział się, co zrobiłem. Potem mnie zostawił.

I czekałem tam, skulony wewnątrz, przez dwie godziny, aż skończyły się ćwiczenia. Wreszcie wrócił po mnie, włączył energię i podskoczyliśmy obaj, z największą szybkością, do dowództwa batalionu.

Kapitan Frankel powiedział mało, ale przypiekl mi do żywego.

Potem zrobił pauzę i spytał matowym głosem, jak zwykli mówić oficerowie cytując paragrafy regulaminu:

— Możecie zażądać rozprawy przed sądem wojennym. Czy takie jest wasze życzenie?

Przełknąłem z trudem i odparłem:

— Nie, panie kapitanie!

Do tego momentu właściwie nie zdawałem sobie sprawy, w jakich znalazłem się tarapatach. Zdawało mi się, że kapitanowi Franklowi nieco ulżyło.

— Zobaczymy w takim razie, co będzie miał do powiedzenia dowódca pułku. Sierżancie, odprowadzić więźnia.

Pomaszerowaliśmy szybko do sztabu pułku. Po raz pierwszy zobaczyłem z bliska dowódcę i przeszły mnie ciarki, bo byłem już pewny, że sąd mnie nie minie. Przypomniałem sobie Teda i nie odezwałem się ani słowem.

Major Malloy powiedział do mnie w sumie pięć słów. Po wysłuchaniu sierżanta Zima wymówił trzy z nich:

— Czy to prawda? Odpowiedziałem:

— Tak jest, panie majorze — i na tym skończyła się moja rola.

Major Malloy zwrócił się do kapitana Frankla:

— Czy da się jeszcze coś z niego zrobić?

— Sądzę, że tak — odparł Frankel. Major Malloy zdecydował:

— Spróbujemy zastosować karę administracyjną. — Potem zwrócił się do mnie i rzekł: — Pięć batów.

Trzeba przyznać, że nie zostawili mi czasu na medytację.

Po piętnastu minutach lekarz zakończył badanie mego serca, a dowódca straży przyodział mnie w specjalną koszulę, której nie trzeba zdejmować przez głowę, bo ma suwak od szyi wzdłuż ramion aż do rąk.

Akurat zagrała trąbka na apel. Czułem się, jakbym był od tego daleko, jakby to nie o mnie chodziło... Dowiedziałem się kiedyś potem, że w ten sposób objawia się koszmarne strach.

Do namiotu straży wszedł sierżant Zim. Spojrzał na podoficera dyżurnego, a był nim kapral Jones — i Jones wyszedł. Zim podszedł do mnie i wsunął mi coś do ręki:

— Gryź to — powiedział spokojnie. — To pomaga. Wiem.

Była to gumowa nakładka, jaką wkładamy do ust, żeby w czasie ćwiczeń bokserskich nie powybić sobie zębów. Zim wyszedł. Włożyłem nakładkę.

Potem zakuli mnie w kajdanki i wyprowadzili.

Uzasadnienie wyroku brzmiało:...w symulowanej bitwie dopuścił się wielkiego zaniedbania, którego wynikiem mogła być śmierć towarzysza broni.

Potem ściągnęli mi koszulę i przywiązali do słupa.

I nastąpiła rzecz bardzo dziwna — okazało się, że kara chłosty jest mniej straszna, gdy się ją odbiera, niż gdy się na nią patrzy. No, nie chcę powiedzieć, że to przyjemność. Bolało mnie bardziej, niż mogłem sobie wyobrazić. I okropne było to oczekiwanie między uderzeniami. Gorsze od samych razów.

Wkładka na zęby rzeczywiście pomagała i zdołałem powstrzymać skowyt.

A potem druga dziwna rzecz — nikt nigdy przy mnie o tym nie wspomniał, nawet inni rekruci. Zim i instruktorzy traktowali mnie tak samo jak przedtem. Od momentu kiedy lekarz posmarował mi plecy i kazał wracać do służby, wszystko było skończone na amen. Zjadłem nawet trochę kolacji i próbowałem gadać przy stole.

Jeszcze jedno, co dotyczy kary administracyjnej: nie pozostawia ona żadnego śladu w aktach. Po zakończeniu służby rekruckiej zostaje zatarta i wychodzisz czysty.

Pozostaje jednak jeden ślad. Ten, który najbardziej się liczy: ty sam nigdy nie zapomnisz.

8

*Wdrażaj chłopca w prawidła jego drogi, a nie zejdzie z niej
i w starości.*

— Księga Przysłów, 22, 6

Zdarzały się też inne przypadki chłosty, ale nie było ich wiele. Z naszego oddziału tylko Hendrick został skazany na chłostę wyrokiem sądu wojennego, pozostali, w tym także ja, otrzymywali jedynie kary administracyjne. Zgodę na chłostę musiał wyrazić dowódca oddziału, jego zastępcy zaś wcale nie było pilno zwrócić się do niego z takim wnioskiem, gdyż doskonale zdawał sobie sprawę, że major Malloy znacznie chętniej dyscyplinarnie zwolniłby winnego żołnierza, niż zezwolił na wykonanie kary cielesnej. Zwykła kara administracyjna świadczy o tym, że twój zwierzchnik bierze pod uwagę mało prawdopodobną możliwość, iż w przyszłości uda ci się jednak wyrosnąć na dobrego żołnierza i obywatela.

Tylko ja otrzymałem maksymalną karę, nikomu też bardziej niż mnie nie groziło zwolnienie do cywila. Z pewnością jest to jakieś wyróżnienie, ale nikomu takiego nie życzę.

Zdarzył się jeszcze jeden przypadek, znacznie gorszy od mojego albo Teda Hendricka. Nawet teraz, kiedy o tym myślę, robi mi się niedobrze. Pewnego dnia postawiono szubienicę.

Chciałbym, żeby nie było wątpliwości: ta sprawa nie miała nic wspólnego z armią. Przestępstwo nie zostało popełnione na terenie Obozu Currie, a oficer, który przyjął tego chłopca do wojska, powinien natychmiast zostać zdegradowany.

Chłopak zdezerterował, i to zaledwie dwa dni po naszym przybyciu do obozu. Kompletnie bez sensu, ma się rozumieć, ale w tej sprawie wszystko było bez sensu. Dlaczego po prostu nie poprosił o zwolnienie? Rzecz jasna, dezercja należy do najważniejszych wykroczeń, jakie można popełnić, ale armia bardzo rzadko karze za nią śmiercią, chyba że mają miejsce jakieś nadzwyczajne okoliczności, na przykład jeżeli znajdzie zastosowanie paragraf „w obliczu nieprzyjaciela” albo zajdą inne ważne fakty, zmieniające klasyfikację prawną tego czynu.

Armia nawet nie stara się chwycić dezertarów, i to ma sens. Przecież wszyscy jesteśmy ochotnikami, trafiliśmy do wojska, ponieważ tego chcieliśmy, jesteśmy z tego dumni, a wojsko jest dumne z nas. Jeżeli ktoś tak nie myśli, to wolałbym nie mieć go obok siebie, kiedy zaczną się kłopoty. Chcę wiedzieć, że koledzy będą ratować moją skórę, ponieważ jestem żołnierzem, tak samo jak oni, i moja skóra znaczy dla nich tyle samo co ich własna. Nie interesują mnie pseudowojaczy, wlokący się ciągle gdzieś z tyłu i szukający bezpiecznej kryjówki, jak tylko zrobi się trochę bardziej gorąco. Znacznie bezpieczniej jest nie mieć nikogo na skrzydle, niż jakiegoś malkontenta obarczonego kompleksem poborowego. Jeśli więc uciekają, to proszę bardzo, szerokiej drogi; łapanie ich to tylko strata czasu i pieniędzy.

Rzecz jasna, większość wraca, choć czasem dopiero po paru latach. Nikt ich wtedy nie wiesz, tylko dostają po pięćdziesiąt razy i mogą sobie iść, dokąd zechcą. Wydaje mi się, że człowiek bardzo szybko spala się nerwowo, wiedząc, że jest uciekinierem wśród uczciwych obywateli, nawet jeśli policja nie czyni najmniejszego wysiłku, aby go schwycić. „Grzesznicy umykają w popłochu, nawet gdy nikt za nimi nie bieży”. Pokusa, żeby się ujawnić, dostać swój przydział cięgów, a potem móc oddychać pełną piersią, musi być ogromna.

Ale ten chłopak nie zgłosił się z własnej woli. Nie było go już cztery miesiące i mocno wątpię, czy koledzy z jego kompanii w ogóle go pamiętali, bo służył z nimi zaledwie przez parę dni. Był po prostu nazwiskiem bez twarzy, fiszką z napisem „Dillinger, N.L.”, o którym codziennie na porannym apelu należało meldować, że jest „nieobecny nie usprawiedliwiony”.

A potem zabił dziewczynkę.

Miał zostać osądzony i skazany przez sąd cywilny, ale wyszło na jaw, że jest dezertarem, powiadomiono więc Departament i naszego generała, a ten natychmiast interweniował. Dezertar trafił do nas, ponieważ jurysdykcja wojskowa ma pierwszeństwo przed cywilną.

Dlaczego generał zawracał sobie głowę? Dlaczego nie zostawił sprawy w rękach miejscowego szeryfa?

Czyżby po to, żeby „dać nauczkę”?

Wcale nie. Jestem święcie przekonany, że generał wcale nie uważał, że jeśli nie urządzi swoim chłopcom odrażającego spektaklu, to będą gromadnie zabijali dziewczynki. Teraz uważam nawet, że chętnie oszczędziłby nam tego widoku, gdyby tylko mógł.

Otrzymaliśmy jednak nauczkę, choć wtedy nikt o tym nie wspomniał. Była to nauka z rodzaju tych, które muszą długo wsiąkać w podświadomość, zanim zaczną dawać owoce.

Wojsko zajmuje się swoimi ludźmi bez względu na okoliczności.

Dillinger wciąż jeszcze był jednym z nas. Mimo że go nie chcieliśmy, mimo że tak naprawdę nigdy go nie zaakceptowaliśmy, mimo że najchętniej w ogóle byśmy się do niego nie przyznawali, to jednak on wciąż należał do naszego oddziału. Nie mogliśmy po prostu wzruszyć ramionami i pozwolić, żeby zajął się nim szeryf z jakiejś dziury odległej o tysiąc mil stąd. Jeżeli trzeba zastrzelić psa, właściciel zrobi to sam — naturalnie, jeśli jest prawdziwym mężczyzną. Do takich rzeczy nie wynajmuje się byle kogo.

W dokumentach stało jak wół, że Dillinger jest nasz, więc my byliśmy za niego odpowiedzialni.

Tego wieczoru w wolnym tempie pomaszrowaliśmy na plac apelowy (zaledwie sześćdziesiąt kroków na minutę, prawie nic w porównaniu z zazwyczaj stosowanym tempem sto czterdzieści), podczas gdy orkiestra grała *Lament żałobny*. Potem wyprowadzono Dillingera w kompletnym mundurze, orkiestra zaczęła grać *Donny Deever*, jemu zaś poodrywano wszystkie dystynkcje i odznaki, aż wreszcie został w jasnoblękitnym kombinezonie, który już w niczym nie przypominał munduru. Rozległ się łoskot werbli, a chwilę później było już po wszystkim.

Szybkim krokiem wróciliśmy do kwater. Nie wydaje mi się, żeby ktoś zemdłał, i chyba nawet nikogo nie chwyciły torsje, choć tego wieczoru wielu zrezygnowało z kolacji, a w stołówce po raz pierwszy panowała niemal całkowita cisza. Jednak, choć sprawa rzeczywiście była paskudna (większość z nas, w tym także ja, po raz pierwszy widziała na własne oczy śmierć), nie wstrząsnęła nami tak bardzo jak chłosta Teda Hendricka; chyba dlatego, że nie sposób było postawić się w miejscu Dillingera albo powiedzieć sobie: „To mogłem być ja”. Oprócz dezercji Dillinger dopuścił się co najmniej czterech poważnych przestępstw. Nawet gdyby jego ofiara żyła, i tak zadyndałby na szubienicy za porwanie, żądanie okupu albo jeszcze za coś innego.

Nie współczułem mu wówczas, i teraz także mu nie współczuję. Stare porzekadło „Zrozumieć znaczy przebaczyć” to całkowita bzdura. Istnieją rzeczy, które im lepiej się rozumie, tym bardziej się ich nienawidzi. Swoje współczucie zarezerwowałem dla Barbary Anny Enthwaite, której nigdy w życiu nie widziałem, oraz dla jej rodziców, którzy już nigdy nie zobaczą córeczki.

Jak tylko orkiestra odłożyła instrumenty, rozpoczął się trzydziestodniowy okres żałoby, którym chcieliśmy uczcić pamięć ofiary Dillingera: na sztandarach pojawiła się czarna krepa, a defilady odbywały się bez muzyki. Tylko raz usłyszałem, jak ktoś się na to skarży, ale natychmiast ktoś inny zapytał go, czy chce dostać po głowie. Z pewnością nie ponosiliśmy odpowiedzialności za tragiczne wydarzenie, lecz prawdą było również to, że mieliśmy chronić małe dziewczynki, nie zabijać. Nasz oddział okrył się niesławą, więc musieliśmy ponieść karę. Nie tylko byliśmy, ale i czuliśmy się zhańbieni.

W nocy starałem się wymyślić sposób, który pozwoliłby w przyszłości uniknąć podobnych wypadków. Prawda, że zdarzają się niezmiernie rzadko, ale nawet jeden jedy-

ny raz to i tak za wiele. Niestety, nie udało mi się dojść do żadnego satysfakcjonującego wniosku. Ten Dillinger... Przecież wyglądał całkiem zwyczajnie, a jego zachowanie ani przeszłość z pewnością nie budziły wątpliwości, bo wówczas nigdy nie zjawiłby się w Obozie Currie. Przypuszczam, że stanowił kliniczny przypadek patologicznej osobowości — takiej, co to nie wywołuje podejrzeń aż do chwili, kiedy jest już za późno.

Cóż, skoro raz nie udało się zapobiec nieszczęściu, istniał tylko jeden sposób, w jaki można było uzyskać pewność, że tragedia się nie powtórzy — właśnie tego skorzystaliliśmy.

Jeżeli Dillinger zdawał sobie sprawę, co robi (choć wydawało się to niemożliwe), wówczas dostał dokładnie to, na co zasłużył. Szkoda tylko, że nie cierpiał w połowie tak bardzo jak mała Barbara Anna — szczerze mówiąc, nie cierpiał prawie wcale.

Przypuśćmy jednak, że był tak szalony, iż najzwyczajniej w świecie nie wiedział, że robi coś złego. Co wtedy?

Cóż, chyba zabija się wściekłe psy, prawda?

Owszem, ale przecież szaleństwo jest chorobą...

Widziałem tylko dwie możliwości: albo nie miał szans na wyleczenie — więc zarówno ze względu na niego, jak i na innych było lepiej, że nie żyje — albo miał, i wówczas po odpowiednim leczeniu mógł zostać przywrócony społeczeństwu. Gdyby jednak zaczął rozmyślać nad tym, co zrobił będąc chorym, czy pozostałoby mu inne wyjście z sytuacji niż samobójstwo? Czy mógłby normalnie żyć z taką świadomością?

A gdyby uciekł przed zakończeniem kuracji i znowu popełnił taki sam czyn? A potem jeszcze raz? Co należałoby wtedy powiedzieć zrozpaczonym rodzicom?

Wszystko wskazywało na to, że jednak zastosowaliśmy właściwe rozwiązanie.

Przypomniałem sobie dyskusję podczas zajęć z historii i filozofii moralności. Pan Dubois opowiadał o niepokojach, jakie w XX wieku poprzedziły rozpad Republiki Północnoamerykańskiej. Według niego, na krótko przed tym, jak zapanował powszechny chaos, zbrodnie podobne do popełnionej przez Dillingera były niemal na porządku dziennym. Terror zapanował nie tylko w Ameryce Północnej; Rosja, Wyspy Brytyjskie, a także wiele innych rejonów przeżywały dokładnie to samo. Jednak największe nasilenie osiągnął właśnie w Ameryce, tuż przed ostatecznym rozpadem.

— Wieczorem nikt nie odważył się wejść do parku, gdyż mógł zostać zaatakowany przez bandę złożoną z dzieci uzbrojonych w łańcuchy, noże, pałki i broń palną domowej roboty — opowiadał Dubois. — Oznaczało to na pewno ciężkie pobicie, utratę pieniędzy, a być może nawet śmierć. Taka sytuacja trwała całymi latami, do samej wojny między Sojuszem rosyjsko-angloamerykańskim a Chińską Hegemonią. Morderstwa, handel narkotykami, kradzieże, napady oraz akty wandalizmu stanowiły wówczas chleb powszedni, zresztą nie tylko wieczorem w parkach, ale także w biały dzień na ulicach, a nawet w szkołach. Jednak najbardziej niebezpieczne były z pewnością właśnie parki, w związku z czym uczciwi ludzie omijali je z daleka.

Próbowałem sobie wyobrazić, że coś podobnego dzieje się w naszych szkołach, ale nie mogłem. Albo w parkach. Przecież park jest po to, żeby tam wypoczywać, a nie zbierać cięgi albo stracić życie!

— Panie Dubois, czy oni nie mieli policji i sądów?

— Policjantów było wtedy znacznie więcej niż obecnie. Podobnie sądów. Wszystkie pracowały bez chwili przerwy.

— To ja już zupełnie nic nie rozumiem.

— Gdyby w naszym mieście jakiś chłopiec zrobił coś choćby w połowie tak złego, nie tylko on, ale i jego ojciec zostaliby bezzwłocznie wychłostani. Jednak, ma się rozumieć, do czegoś takiego jeszcze nigdy nie doszło.

— Zdefiniuj pojęcie „młodociany przestępca” — zażądał pan Dubois.

— No... To jeden z dzieciaków, które napadały na ludzi.

— Błąd.

— Jak to? Przecież w książce jest napisane, że...

— Wybacz mi, masz rację: w książce istotnie jest tak napisane, ale gdyby autor napisał, że ogon psa jest jego piątą łapą, chyba nie wierzyłbyś mu na słowo, prawda?

W określeniu „młodociany przestępca” kryje się sprzeczność, definiująca problem i jednocześnie wyjaśniająca, dlaczego nie udało się go wówczas rozwiązać. Czy miałeś kiedyś pieska?

— Tak, proszę pana.

— Zapewne starałeś się go nauczyć, żeby załatwiał potrzeby fizjologiczne na dworzu?

— Tak, proszę pana. Jak tylko trochę podrośł.

Na to jednak trzeba było czekać tak długo, że matka kategorycznie sprzeciwiła się obecności psów w domu.

— Ach, tak. Czy gniewałeś się na niego, kiedy zdarzyło mu się pomylić?

— No, nie... Przecież to tylko szczeniak.

— I co wtedy robiłeś?

— Mówiłem mu, że niedobrze zrobił, wtykałem mu nos w kałużę i dawałem klapsa.

— Myślisz, że rozumiał, co do niego mówisz?

— Oczywiście, że nie, ale na pewno wiedział, że się na niego gniewam!

— Przed chwilą powiedziałeś, że się nie gniewałeś.

Pan Dubois miał doprowadzający do szału zwyczaj robienia nas w balona.

— Zgadza się. Chodziło o to, żeby on myślał, że się na niego gniewam. Przecież musiał się nauczyć, prawda?

— Prawda. Skoro jednak dałeś mu już do zrozumienia, że jesteś niezadowolony z jego postępowania, jak mogłeś być tak okrutny, by karać go cieleśnie? Przecież sam mówisz, że biedny zwierzak nie miał pojęcia, iż zrobił coś nie tak, jak należy. Mimo to zadałeś mu ból. Wyjaśnij swoje postępowanie. A może jesteś sadystą?

Wtedy nie wiedziałem jeszcze, kto to jest sadysta, ale za to wiedziałem, jak należy postępować ze szczeniakami.

— Panie Dubois, tak po prostu trzeba robić! Nakrzyczeć na niego, żeby wiedział, że źle zrobił, wetknąć mu nos w kałużę, żeby wiedział, co zrobił, i dać klapsa, żeby zapamiętał, że nie wolno tego robić. Jeżeli nie ukarze go pan od razu, potem nie ma to żadnego sensu, bo nic z tego nie zrozumie. Jedna lekcja na pewno nie wystarczy, więc trzeba je powtarzać, za każdym razem zwiększając karę. Samo łajanie niewiele by dało. Założę się, że pan nigdy nie wychowywał szczeniaka.

— Wychowałem mnóstwo szceniąt, a teraz mam jamnika i szkolę go dokładnie według twojej metody. Wróćmy jednak do naszych młodocianych przestępców... Najgroźniejsi z nich często bywali młodsi od was, a przestępczą karierę rozpoczynali zaraz po tym, jak nauczyli się chodzić. Czy karcono ich? Oczywiście: policja codziennie aresztowała całe bandy. Czy wtykano im nosy w to, co zrobili? Bardzo rzadko. Prasa i władze nawet nie ujawniali ich nazwisk, gdyż zakazywało tego obowiązujące wtedy prawo. Czy dostawali klapsa? Nigdy! Wielu z nich nigdy w życiu nie dostało w skórę, gdyż według popularnego przekonania stosowanie kar cielesnych mogło wyrządzić trwałe, niekorzystne wpływy na psychikę dziecka.

(Pomyślałem sobie, że mój ojciec z pewnością nie słyszał o tej teorii.)

— Prawo zabraniało bicia uczniów — ciągnął pan Dubois. — Publiczna chłosta była przewidziana w kodeksie karnym tylko jednej, niewielkiej prowincji, Delaware, a i to sięgano po nią niezmiernie rzadko, gdyż była „okrutna i uwłaczająca godności człowieka”. Mimo że sędzia powinien być pełen dobrych chęci, kara, jaką wyznacza, musi powodować cierpienie, gdyż w przeciwnym razie nie jest karą. Ból jest znakomitym mechanizmem obronnym, w jaki wyposażyła nas ewolucja, ostrzegającym o sytuacjach zagrożających naszej egzystencji. Dlaczego społeczeństwo nie miałooby z niego korzystać? Niestety, w tamtych czasach bardzo często dawano posłuch najróżniejszym pseudonaukowym bzduram.

Co się tyczy „uwłaczania godności człowieka”, to kara także musi to czynić, jeżeli ma spełnić swoje zadanie. — Dubois wycelował kikut ręki w któregoś z moich kolegów. — Co by się stało, gdybyś bił psiaka co godzinę?

— Eee... Pewnie by oszalał!

— Całkiem możliwe, a już na pewno niczego byś go w ten sposób nie nauczył. Kiedy po raz ostatni dyrektor waszej szkoły polecił wychłostać ucznia?

— Bo ja wiem? Jakies dwa lata temu. Ten chłopak...

— Nieważne, co przeskrobał. Ważne, że było to dawno temu. Tak niezwykle i rzadko stosowana kara zmusza do zastanowienia i jednocześnie uczy. Jeżeli chodzi o naszych młodocianych przestępców... Jako małe dzieci z pewnością nie dostali ani jednego klapsa, a później nie byli chłostani za swoje zbrodnie. Za pierwszym razem otrzymywali tyl-

ko ustną reprimendę, nawet bez rozprawy sądowej. Potem, kiedy zostali schwytani po raz piąty czy szósty, dostawali wyrok więzienia w zawieszeniu. Prawdziwa kara spotykała ich dopiero za n-tym razem, przy czym była to zazwyczaj kara więzienia, którą odsiadywali wraz z podobnymi sobie rzezimieszkami, od których uczyli się nowych sposobów popełniania przestępstw. Ci, co mieli dość oleju w głowie, żeby zachowywać się poprawnie podczas odbywania kary, mogli liczyć na przedterminowe zwolnienie.

Czasem ta farsa ciągnęła się całymi latami, podczas gdy nasz delikwent popełniał coraz cięższe i bardziej okrutne zbrodnie, przedzielane kolejnymi odsiadkami. Aż nagle, w dniu swoich osiemnastych urodzin, przestawał być młodocianym przestępcą, stawał się zaś przestępcą dorosłym, by od razu trafić do celi śmierci, gdzie przez kilka tygodni lub miesięcy oczekiwał na wykonanie wyroku.

— Ty... — Pan Dubois ponownie wskazał na mnie. — Przypuśćmy, że tylko beształeś szczeniaka, ale nigdy go nie uderzyłeś, pozwalając, aby wciąż załatwiał się w domu, i tylko od czasu do czasu zamykałeś go w składziku. Szybko jednak go stamtąd wypuszczałeś, przykazując surowo, żeby tym razem lepiej się sprawował. Pewnego dnia dostrze-głeś jednak, że to już nie bezradne szczenię, tylko dorosły pies, który wciąż brudzi w domu, więc po prostu wyjąłeś pistolet i zastrześliłeś go. Co o tym myślisz?

— Że... Że to najgłupszy sposób wychowywania psa, o jakim sły-szałem!

— Zgadzam się z tobą. Albo dziecka. Kogo obarczyłbyś winą?

— No... Chyba siebie.

— Ponownie się zgadzam.

— Panie Dubois! — nie wytrzymała jedna z dziewcząt. — Dlaczego oni postępowali w taki sposób? Dlaczego nie karali odpowiednio dzieci, kiedy były jeszcze małe, i nie sięgali po pasek, kiedy już podrosły? To znaczy, jeżeli zrobiły coś naprawdę złego. Dlaczego?

— Nie wiem — odparł z ponurą miną. — Nie wiem nic oprócz tego, że pewnej pseudonaukowej kategorii ludzi zwanych siebie „pracownikami opieki społecznej” lub „psychologami dziecięcymi” zupełnie nie trafiały do przekonania sprawdzone metody wszczepiania w młode umysły poszanowania prawa i szacunku dla społeczeństwa. Przypuszczalnie uważali, że jest to zbyt proste, ponieważ każdy mógł postępować w ten sposób, odwołując się jedynie do cierpliwości i zdecydowania, tak istotnych w procesie wychowywania młodego psa. Czasem zastanawiam się, czy podświadomie wręcz nie dążyli do stworzenia jak największego bałaganu, ale wydaje mi się to mało prawdopodobne; w swoim postępowaniu dorośli niemal zawsze kierują się jakimiś „racjami nadrzędnymi”, często nie mającymi nic wspólnego z ich uczynkami.

— Na litość boską! — wykrzyknęła dziewczyna. — Nie powiem, że bym lubiła dostawać lanie, ale kiedy sobie na nie zasłużyłam, nigdy mnie nie minęło. Raz dostałam w skórę wtedy, kiedy mama dowiedziała się, że w szkole zostałam ukarana chłostą, ale

to było okropnie dawno temu; najadłam się takiego wstydu, że ani mi się śni przeżyć tego jeszcze raz. Zresztą jeśli ktoś zachowuje się poprawnie, takie rzeczy po prostu mu się nie zdarzają. Naprawdę nie widzę w naszym systemie niczego niewłaściwego — przynajmniej nikt nie boi się wychodzić po zmroku na ulicę.

— Całkowicie się z tobą zgadzam, młoda damo. Korzenie tragicznego błędu, jaki popełnili ci żywiący jak najlepsze intencje ludzie, sięgają znacznie głębiej: oni nie wypracowali żadnej naukowej teorii moralności. To znaczy, mieli swoją teorię i starali się do niej stosować, ale ta teoria była błędna. W połowie stanowiła zbiór pobożnych życzeń, a w połowie szarlatańskich pomysłów powleczonej cienką warstwą racjonalności. Im bardziej się starali, tym gorzej im wszystko wychodziło. Najgorsze ze wszystkiego było to, iż uwierzyli, że człowiek ma instynktowne poczucie moralności.

— Proszę pana... Wydaje mi się, że wszyscy je mamy.

— Nieprawda, moja droga: mamy starannie ukształtowane i wyćwiczone sumienie. Człowiek nie posiada instynktownego poczucia moralności, nie rodzi się z nim, podobnie jak nie rodzi się z nim szczenię. Wszystkiego musimy się uczyć poprzez zbieranie doświadczeń i ciężką umysłową pracę. Ci nieszczęśliwi młodociani przestępcy po prostu nie mieli szansy, żeby wykształcić w sobie coś takiego jak poczucie moralności. Zresztą co to właściwie jest? Jedną z manifestacji instynktu przetrwania. Instynkt przetrwania jest na stałe wszczepiony w osobowość człowieka i z niego właśnie wywodzą się wszystkie jej cechy. To, co mu się sprzeciwia, prędzej czy później doprowadzi do wyeliminowania danego osobnika, dzięki czemu niepożądana cecha nie pojawia się w następnych pokoleniach. Prawdziwości tego twierdzenia można dowiedzieć w sposób matematyczny, wszędzie i o każdej porze. Jest to jedyny, wieczny imperatyw, odciskający swoje piętno na wszystkim, co robimy.

Jednak na glebie instynktu przetrwania można wyhodować motywacje znacznie bardziej subtelne i złożone niż brutalne, ślepe dążenie jednostki do utrzymania się przy życiu. Młoda damo, to, co nazywasz „instynktownym poczuciem moralności”, zostało ci wpojone przez rodziców, którzy w swoich działaniach wychowawczych respektowali zasadę, iż przeżycie, jako takie, miewa znacznie szersze znaczenie niż przedłużenie egzystencji jednostki — w grę może na przykład wchodzić przeżycie rodziny, dzieci, jeśli je masz, albo narodu, jeżeli będziemy mieli ochotę wspiąć się na sam szczyt skali. Naukowa teoria moralności musi być zakotwiczona w jednostkowym instynkcie przetrwania, opisując w rzetelny i prawdziwy sposób motywacje, z jakimi mamy do czynienia na każdym z jego licznych poziomów.

Teraz dysponujemy już teorią, dzięki której jesteśmy w stanie rozwiązać każdy problem na dowolnym poziomie. Miłość własna, troska o rodzinę, obowiązki wobec ojczyzny, odpowiedzialność za losy ludzkości... Obecnie opracowujemy zasady etyki, które będą regulować nasze stosunki z innymi rasami. Wszystkie moralne problemy da się zi-

lustrować jednym, trochę zmodyfikowanym cytatem: „Żaden człowiek nie okaże większej miłości niż kotka broniąca swoich dzieci”. Kiedy zrozumiecie, czym w swoim postępowaniu kieruje się ta kotka, będziecie gotowi zająć się własnymi sprawami, a przy okazji przekonać się, jak wysoko potraficie się wspiąć po drabinie moralności.

Tamci młodzi przestępcy pozostali na jednym z najniższych szczebli. Urodziwszy się z instynktem przetrwania, zdołali zaledwie wyrobić w sobie poczucie lojalności wobec grupy rówieśników tworzących uliczną bandę. Poprawiacze dusz ludzkich odwoływali się do ich „lepszey natury”, starali się do nich „dotrzeć” i „wykorzystać tłącą się iskierkę moralności, aby rozpalic potężny płomień”. Bzdura! Ci młodzieńcy nie mieli żadnej „lepszey natury”, doświadczenie nauczyło ich, że trzeba robić wszystko, żeby przetrwać. Szczeniak nigdy nie dostał klapsa, w związku z czym wszystko, co robił, sprawiało mu przyjemność.

Podstawą każdej moralności jest poczucie obowiązku, które dla grupy ma takie samo znaczenie co korzyść własna dla jednostki. Tym dzieciakom nikt nie starał się wpoić poczucia obowiązku w taki sposób, żeby to zrozumieli — czyli za pomocą klapsów — a jednocześnie społeczeństwo, w którym żyli, bez przerwy trąbiło im o ich „prawach”.

Rezultat powinien być łatwy do przewidzenia, jako że człowiek nie ma żadnych praw wynikających automatycznie z faktu, że się urodził.

Pan Dubois umilkł na chwilę i natychmiast jeden z uczniów chwycił przynętę.

— Proszę pana, a co z „życiem, wolnością i dążeniem do szczęścia”?

— Ach, tak: „prawa niezbywalne”. Co roku trafia mi się ktoś, kto przytacza fragment tej znakomitej poezji. Życie? A jakież prawo do życia ma człowiek topiący się w Pacyfiku? Ocean nie zlituje się, słysząc jego krzyki. Jakie prawo do życia ma człowiek, który musi zginąć, aby ocalić swoje dzieci? A jeśli zdecyduje się ratować własne życie, czy uważacie, że robi to ze względu na jakieś „prawo”? Jeśli dwaj ludzie głodują, a jedyne wyjście z sytuacji stanowi kanibalizm, prawo którego z nich należy uznać za niezbywalne? I czy to w ogóle jest prawo? Jeżeli chodzi o wolność, to bohaterowie, którzy złożyli podpisy na tym wspaniałym dokumencie, zobowiązali się zapłacić za wolność życiem. Trzeba za nią płacić bez przerwy krwią patriotów, gdyż w przeciwnym razie po prostu zniknie. Spośród wszystkich tak zwanych „praw naturalnych”, jakie kiedykolwiek wymyślono, prawo do wolności jest bezwzględnie najbardziej kosztowne.

A trzecie „prawo” — dążenie do szczęścia? Istotnie, można je uznać za niezbywalne, choć z pewnością nie jest żadnym prawem, a jedynie powszechnym stanem świadomości, którego tyrani nie są w stanie odebrać, a patrioci zdobyć. Wrzucicie mnie do lochu, spalicie na stosie albo uczynicie królem, a ja wciąż będę dążył do szczęścia, choć ani bogowie, ani święci, ani mędracy lub najbardziej wyrafinowane narkotyki nie zagwarantują mi, że kiedykolwiek je osiągnę.

Pan Dubois odwrócił się w moją stronę.

— Powiedziałem ci, że pojęcie „młodociany przestępca” jest wewnętrznie sprzeczne. „Przestępca” może oznaczać także „tego, który odstąpił od wykonania swoich obowiązków”, a przecież obowiązkowość stanowi cechę ludzi dorosłych. Młodzieniec staje się mężczyzną dopiero wówczas, kiedy zaczyna rozumieć, co to jest poczucie obowiązku i uznaje jego pierwszeństwo przed dążeniem do zaspokojenia własnych interesów, z którym przyszedł na świat. Nigdy nie było i nie będzie kogoś takiego jak „młodociany przestępca”, ale na każdego, kto mógłby nim być, przypada jeden lub więcej dorosłych, co albo nie wiedzą, na czym polegają ich obowiązki, albo nie są w stanie ich wykonywać.

To właśnie jest ów wrzód, który rozrastał się, by wreszcie zniszczyć kulturę pod wieloma względami z pewnością godną podziwu. Młodzi niegodziwcy buszujący po ulicach stanowili tylko jeden z objawów znacznie bardziej groźnej choroby: wszyscy obywatele z bałochwalczym uwielbieniem wpatrywali się w panteon swoich „praw”, zaniebując obowiązki. W takich warunkach nie zdołałby przetrwać żaden naród.

Byłem bardzo ciekaw, w jaki sposób pułkownik Dubois sklasyfikowałby Dillingera: czy jako godnego pożałowania młodocianego zbrodniarza, nad którym można było się ulitować, choć jednocześnie koniecznie należało się go pozbyć, czy też jako dorosłego przestępcę zasługującego jedynie na pogardę?

Nie wiem i nigdy się tego nie dowiem. Mogłem być pewien tylko jednego: że Dillinger już nigdy nie zamorduje żadnej dziewczynki.

W zupełności mi to wystarczyło. Wkrótce potem zasnąłem.

9

Nie ma w naszej jednostce miejsca dla tych, co przegrywają, choćby z uśmiechem. Potrzebni nam są silni i twardzi, którzy uderzą i zwyciężą!
— Admirał Jonas Ingram, 1926

Kiedy już przećwiczyliśmy wszystko, co może zdziałać piechota na równinie, przetransportowano nas w góry, gdzie mieliśmy osiągnąć szczyty swoich możliwości. Znaleźliśmy się w Kanadyjskich Górach Skalistych, pomiędzy Górą Dobrej Nadziei a Górą Waddingtona.

Obóz Sierżanta Spooky Smitha przypominał zupełnie Obóz Currie, tyle że był o wiele mniejszy. Ale też i Trzeci Pułk był o wiele mniejszy, liczył niecałe czterysta osób, choć zaczęliśmy od ponad dwóch tysięcy.

Kaprali-instruktorów było teraz więcej niż sekcji, a sierżant Zim, mając na głowie tylko pięćdziesięciu żołnierzy, nie spuszczał z nas swych argusowych oczu. Gdy tylko ktoś popełnił najdrobniejsze wykroczenie, okazywało się, że on akurat był tuż obok.

Mieliśmy też o wiele częstszy kontakt z kapitanem Frankiem, który teraz nas szkolił. Znał nas wszystkich z wyglądu i z nazwiska i wiedział o nas wszystko. Nie był taki surowy jak Zim, mówił łagodnie i rzadko schodził mu z twarzy przyjazny uśmiešek. Były to jednak pozory, pod którymi kryła się twardość diamentu.

A więc ćwiczyliśmy... Skoki w kombinezonie były łatwe na równym gruncie. Jasne, że w górach kombinezon skacze równie wysoko i lekko. Jest jednak niewątpliwa różnica, gdy masz wykonać skok do góry przy pionowo wznoszącej się granitowej skale, pomiędzy blisko rosnącymi świerkami i pamiętać o wyłączeniu w odpowiedniej chwili silnika odrzutowego. Mieliśmy trzy poważne wypadki, dwa śmiertelne i jedno zwolnienie ze służby na podstawie orzeczenia lekarskiego.

Uprawialiśmy również wspinaczkę bez kombinezonów, obwiązani linami, uczepleni do haków. Nie mogłem pojąć po co to nam, ale nauczyłem się trzymać buzię zamkniętą na kłódkę i robić to, co każą.

Jeszcze rok temu roześmiałybym się prosto w twarz każdemu, kto by mi powiedział, że będę wlaził na prostopadłą skałę, gładką jak ściana budynku, mając jedynie młotek, parę głupich stalowych gwoździ i zwój liny. Jestem typem równinnym.

Korekta: byłem typem równinnym. Obecnie dokonały się pewne zmiany.

Sam zaczynałem dostrzegać, jak bardzo się zmieniłem. W Obozie Sierżanta Spooky Smitha mieliśmy swobodę, to znaczy mogliśmy chodzić do miasta. Och, po pierwszym miesiącu służby mieliśmy również swobodę w Obozie Currie. W niedzielę po południu, jeśli się nie miało służby, można było zameldować się u podoficera dyżurnego i wyjść poza obóz, pamiętając jednak by wrócić na wieczorny apel. Ale tam, poza obozem, nie było nic, pomijając dzikie króliki — żadnych dziewcząt, teatrów, sal tańca. W ogóle nic.

W Obozie Spooky mogliśmy wybrać się do miasta. Do Vancouver chodziły pociągi wahadłowe w niedzielę rano i wracały tuż przed kolacją. Instruktorzy mogli nawet spędzić w mieście noc z soboty na niedzielę a czasem udawało im się zdobyć trzydniową przepustkę.

Pierwszy raz, ledwo wysiadłem z pociągu, zdałem sobie sprawę, że się zmieniłem. Johnnie już do mnie nie pasował, to znaczy cywilne życie. Wszystko wydawało się zdumiewająco skomplikowane i niewiarygodnie nieporządne.

Nie, żebym chciał coś ująć temu miastu: Vancouver jest ładne, położone w pięknej okolicy, a ludzie mili, przyzwyczajeni do P.Z. i chętnie widzą w mieście żołnierzy. W śródmieściu jest dla nas centrum rozrywkowe. Co tydzień dancing i młode dziewczęta, z którymi można tańczyć. Seniorki-gospodynie dbają, aby każdy, nawet nieśmiały chłopak, miał partnerkę. Tego pierwszego razu na przepustce nie poszedłem do centrum. Chodziłem i gapiłem się jak głupi — na piękne domy, na wystawy wypełnione różnymi niepotrzebnymi rzeczami i na tych wszystkich ludzi, spieszących, przechadzających się, robiących, co im się podoba, a każdy inaczej ubrany... No i na dziewczęta.

Zwłaszcza na dziewczęta. Nie zdawałem sobie sprawy, że one są takie śliczne. Adorowałem dziewczyny już od chwili, kiedy zorientowałem się, że różnica między nami nie polega tylko na odmiennym stroju. Nigdy nie przechodziłem takiego okresu, kiedy chłopcy wiedzą, że dziewczęta są inne, ale nie lubią ich. Ja zawsze je lubiłem.

Dziewczęta są po prostu cudowne. Samo stanie na rogu i patrzenie, jak przechodzą, sprawiało rozkosz. One nie chodzą, a przynajmniej nie robią tego tak jak my. U nich wszystko się kołysze i to w różnych kierunkach... To wspaniałe!

Może i stałbym tam dotychczas, gdyby nie przechodzący policjant.

— Jak się macie, chłopcy? — zapytał. — Dobrze się bawicie? Czemu nie idziecie do centrum rozrywkowego?

Dał nam adres, wskazał kierunek i poszliśmy — Pat Leivy, Kociak Smith i ja. Zawołał jeszcze za nami:

— Przyjemnej zabawy, chłopcy... i nie naróbcie sobie kłopotów!

Dokładnie to samo powiedział nam sierżant Zim, kiedy wsiadaliśmy do pociągu. Wcale jednak tam nie poszliśmy. Pat Leivy mieszkał w Seattle, gdy był małym chłopcem, i zapragnął zobaczyć swoje rodzinne miasto. Miał pieniądze i zaproponował, że zafun-

duże nam przejazd pociągiem, jeśli z nim pojedziemy. Mnie było wszystko jedno, Smith też zdecydował się jechać.

Seattle nie różniło się specjalnie od Vancouver. Tam też było dużo dziewczyn. Podobało mi się. Ale ludzie w Seattle nie byli przyzwyczajeni do łączących gromadami żołnierzy z P.Z. W dość podrzędnej restauracji, którą wybraliśmy, żeby zjeść obiad, nie powitano nas zbyt entuzjastycznie.

Podkreślam, że nie piliśmy. No, Kociak Smith wziął jedno, powtarzam — jedno piwo do obiadu, i cały czas zachowywał się miło i sympatycznie.

Byliśmy jedynymi umundurowanymi na sali. Większość gości stanowili faceci ze statków handlowych. Wtedy tego nie wiedziałem, ale ci z Powietrznej Floty Handlowej nie lubią nas. Po części dlatego, że ich związek bezskutecznie starał się, aby włączono ich do Służby Fedralnej. Wydaje mi się, że jest to stara historia, wlokąca się od stuleci.

Było między nimi paru młodych w wieku akurat odpowiednim do służby wojskowej. Tylko że oni nie poszli służyć, mieli długie włosy, wyglądali brudno i niechlujnie. Właściwie to ja też tak wyglądałem, zanim wstąpiłem do wojska.

Przy stoliku za nami dwaj cywile zaczęli wymieniać uwagi przeznaczone dla nas. Wolę ich nie powtarzać.

Udawaliśmy, że nie słyszymy. Niebawem uwagi ich stały się bardziej osobiste, a śmiechy głośniejsze. Wszyscy na sali zamilkli i przysłuchiwali się. Kociak szepnął do mnie:

— Chodźmy stąd.

Spojrzałem na Pata. Skinął głową. Rachunek już zapłaciliśmy. Wstaliśmy więc i wyszliśmy. Oni poszli za nami. Pat powiedział szeptem:

— Uważajcie.

Szliśmy dalej nie oglądając się.

Zaatakowali nas.

Rąbnąłem mego przeciwnika z boku w szyję i przerzuciłem za siebie. Chciałem pomóc kolegom, ale było po wszystkim. Czterech nas napadło i czterech leżało. Kociak załatwił dwóch, Pat owinął przeciwnika wokół latarni.

Ktoś, zapewne właściciel knajpy, musiał wezwać policję gdy tylko wstaliśmy, żeby wyjść, bo nie zdążyliśmy nawet otrząsnąć się po tym, co się stało, a już byli. Dwóch. Starszy proponował, żebyśmy wniesli oskarżenie, ale żaden z nas nie chciał. Zim powiedział, żebyśmy nie narobili sobie kłopotów. Wtedy Kociak odezwał się bezczelnie:

— Chyba potknęli się i upadli.

— Tak, widzę — zgodził się policjant i wyjął mojemu koledze nóż z ręki. Złamał jego ostrze o krawędź chodnika. — No, chłopcy, zmykajcie... daleko stąd.

Zmyśliśmy się. Byłem zadowolony, że ani Pat, ani Kociak nie chcieli dalej rozrabiać. Mogłaby wyjść poważna sprawa — cywil obraził członka Sił Zbrojnych — ale po kiego licha? Zaatakowali nas, dostali za swoje. Koniec, kropka.

Dobrze jednak, że nigdy na przepustkę nie chodzimy z bronią... i że nauczono nas, jak unieszkodliwić przeciwnika nie zabijając go. Nie spodziewałem się, że nas napadną, ale potem wszystko robiłem automatycznie.

Zrozumiałem wtedy, po raz pierwszy, jak bardzo się zmieniłem.

Poszliśmy na stację i złapaliśmy akurat pociąg do Vancouver.

Ćwiczenie zrzutów rozpoczęliśmy natychmiast po przeniesieniu się do Obozu Spooky — kolejno, oddziałami. Podwożono nas na poligon, na północ od Walia Walia, ładowano do pojazdu, a potem — w przestrzeń — katapultowanie i na sygnał powrotny: do domu. Cały dzień pracy, Treningi odbywały się co tydzień, a do tego w coraz trudniejszych warunkach — obszary góryste, lody Arktyki i pustynie australijskie.

Przed zakończeniem szkolenia katapultowano nas na powierzchnię Księżyca. To znaczy, w odległości stu stóp od powierzchni kapsuła eksplodowała i musiałeś lądować w samym kombinezonie, bez spadochronu. Niezręczne lądowanie mogło skończyć się śmiercią.

Niektórzy absolutnie nie chcieli wejść do kapsuły. Nie byli zresztą z tej przyczyny szykanowani, tego samego wieczoru otrzymywali wypłatę i usuwano ich.

Zdarzyło się też, że nawet ten, który już parę razy był zrzucany, raptem wpadał w panikę i odmawiał..

Instruktorzy traktowali takiego łagodnie, jak przyjaciela, który zachorował i już nigdy nie wyzdrowieje.

Nie zdarzyło mi się odmówić wejścia do kapsuły — ale dostawałem trzęsionki. Za każdym razem trząsałem się i bałem śmiertelnie. Wciąż się boję.

Nie możesz być szeregowcem w Piechocie Zmechanizowanej, jeśli cię nie katapultowano. Opowiadają historyjkę, zapewne nieprawdziwą, o pewnym szeregowcu, który zwiedzał Paryż. Kiedy znalazł się w Pałacu Inwalidów, spojrzął na grobowiec Napoleona i spytał strażnika:

— Kto to?

Francuz był bardzo zgorzony.

— Monsieur, pan nie wie!? To jest sarkofag Napoleona! Napoleona Bonaparte — największego żołnierza jaki żył kiedykolwiek!

Szeregowiec zamyślił się, a potem zapytał:

— Tak? A gdzie go zrucano?

Na pewno to bujda, bo przecież jest tam ogromna tablica, na której wypisano dokładnie, kim był Napoleon. Ale szeregowiec P.Z. mógłby tak się zachować.

Wreszcie nasze szkolenie zostało zakończone.

Widzę teraz, że pomiąłem prawie wszystko. Ani słowa o większości rodzajów uzbrojenia, nic o tym, jak porzuciliśmy wszystko i przez trzy dni gasiliśmy pożar lasu, ani wzmianki o alarmie ćwiczebnym, który okazał się prawdziwy, ale my dowiedzieli-

śmy się o tym, jak już wszystko się skończyło. Nie opowiedziałem też, jak kiedyś huragan porwał namiot mieszczący kuchnię...

Właściwie bardzo mało miejsca poświęciłem pogodzie, a pogoda to niezmiernie ważny czynnik w życiu piechura, szczególnie deszcz i błoto.

Podczas promocji major Malloy wygłosił krótkie przemówienie, każdy z nas otrzymał świadectwo, przedfilowaliśmy po raz ostatni i pułk został rozwiązany. Sztandary przechowywano pieczołowicie, na wypadek gdyby jeszcze kiedyś były potrzebne i — stało się to w trzy tygodnie później.

Byłem teraz wyszkolonym żołnierzem, miałem prawo umieszczać przed swym seryjnym numerem literkę O — obywatel, zamiast R, czyli rezydent. Wielki dzień.

Największy dzień jaki przeżyłem.

10

Drzewo wolności musi być od czasu do czasu zraszane krwią patriotów...

— Thomas Jefferson, 1787

To znaczy myślałem, że byłem wyszkolonym żołnierzem do chwili, gdy zameldowałem się na swoim statku. Czy jest jakieś prawo przeciwko błędnej opinii?

Nie wspomniałem jeszcze, że w tym czasie Federacja Ziemska przeszła od pokoju w stan pogotowia, a następnie wojny. Ja sam nie odczułem tego zbyt wyraźnie.

Kiedy zaciągałem się do wojska, trwał okres pokoju, panowały normalne warunki, przynajmniej ludzie tak myśleli. Potem, kiedy przebywałem w Currie, ogłoszono stan pogotowia, ale to do mnie nie docierało. Ważniejsza była bowiem opinia kaprała Bronskiego na temat mego umundurowania, ostrzyżenia włosów i musztry, a także to, co sierżant Zim o tym myślał. W każdym razie stan pogotowia to jednak jeszcze pokój.

Kiedy zameldowałem się w swojej pierwszej jednostce — a była to Kompania K Trzeciego Pułku, Pierwszej Dywizji Piechoty Zmechanizowanej, zwana też czasami Żbikami Williego — i załadowałem się razem z innymi na pokład Valley Forge, walki trwały już od paru lat.

Historycy nie zdecydowali się dotąd, czy wojnę tę nazwać Trzecią Wojną Kosmiczną, czy też dać jej nazwę Pierwsza Wojna Gwiazdowa. Dla nas była to po prostu wojna z Pluskwo-Pajęczakami.

W każdym razie wojna zaczęła się na dobre, gdy już byłem w jednostce i na pokładzie statku. To, co działo się przedtem, to drobne incydenty, akcje patrolowe czy akcje policyjne. Zmarłemu chyba jednak nie robi różnicy, czy zabito go podczas incydentu, czy po wypowiedzeniu wojny.

Kiedy Kociak Smith, Al Jenkins i ja przyłączyliśmy się w Bazie Lunarnej do Żbików Williego, to oni wszyscy mieli już za sobą przynajmniej po jednym zrzucie bojowym. Byli żołnierzami, a my jeszcze nie.

Kaprale i sierżanci nie rugali nas, co było dziwne po tym, jaki terror stosowali poprzednio nasi instruktorzy.

Okazało się, że po prostu mieli nas za nic. Nie warto było nas nawet ochrzaniać, dopóki nie zostaniemy katapultowani, póki nie sprawdzimy się i nie będzie wiadomo, czy możemy zastąpić Żbika, który poległ w walce, a którego koję obecnie zajmujemy.

Muszę przyznać, że byłem wtedy bardzo naiwny. Kiedyś w Bazie Lunarnej spotkałem przypadkowo dowódcę swego pododdziału. Był w lśniącym, śliskim uniformie, gdyż szykował się do zrzutu.

W lewym uchu miał maleńki kolczyk — złotą, pięknie wykonaną czaszkę z wiązką maleńkich złotych kości — tak małych, że trudno było je dostrzec.

Dawniej, w domu, oczywiście nosiłem kolczyki i inną biżuterię, zwłaszcza kiedy szedłem na randkę. Miałem piękne klipsy z wielkimi rubinami, które kiedyś należały do dziadka mojej matki. Lubię biżuterię i przykro mi było z nią się rozstawać, kiedy wstąpiłem do wojska...

To jednak był rodzaj klejnociku, który widocznie pasował do munduru. Nie miałem przekłutych uszu, matka uważała to za niestosowne dla chłopców, ale mogłem nosić klipsy. Zostało mi też jeszcze trochę pieniędzy.

— Panie sierżancie? Gdzie pan dostał takie kolczyki? Bardzo ładne.

Nie uśmiechnął się, ale powiedział:

— Podobają ci się?

— Bardzo! — Czyste złoto podnosiło blask naszywek i szamerunku na mundurze, bardziej chyba niż jakiegokolwiek szlachetne kamienie. Pomyślałem, że para kolczyków ze zwyczajnie skrzyżowanymi pieszczelami wyglądałaby jeszcze ładniej. — Czy tu, w bazie, mają takie?

— Nie, w bazie ich nie sprzedają. — I dodał: — Nie sądzę zresztą, byś mógł je kupić, ale wiesz co? Jak znajdziemy się w takim miejscu, gdzie będziesz mógł je nabyć, to ci powiem. Przyrzekam.

Wkrótce potem miałem okazję nabyć je dla siebie i przekonałem się, że cena była przesadnie wygórowana jak na taką zwykłą ozdobę.

Była to operacja Pluskwo-Pajęczaki, pierwsza odnotowana w książkach do historii bitwa o Klendathu, w jakiś czas po tym jak zostało zniszczone Buenos Aires.

Trzeba było dopiero zburzenia tego miasta, by Ziemiańskie zdali sobie sprawę, że coś się dzieje w kosmosie. Ludzie, którzy nigdy tam nie byli, tak naprawdę nie wierzyli w istnienie innych planet.

Jednak to, co stało się z Buenos Aires, rzeczywiście wstrząsnęło cywilami i zaczęto głośno domagać się ściągnięcia wszystkich sił powietrznych do domu i umieszczenia ich na orbicie wokół Ziemi, by nie dopuścić żadnego intruza na obszar Federacji Ziemskiej. Oczywiście była to głupota. Wojen nie wygrywa się dzięki obronie, ale przez atak. Wtedy jednakże nikt nie pytał mnie o zdanie — miałem słuchać rozkazów. Pomijając niemożność ściągnięcia do domu naszych jednostek ze względu na zobowią-

zania traktatowe i bezpieczeństwo planet będących koloniami Federacji, byliśmy wówczas zajęci czymś zupełnie innym. Prowadzeniem wojny z Pluskwo-Pajęczakami.

Myślę, że zburzenie Buenos Aires dotknęło mnie nieco mniej niż innych. Byliśmy wtedy oddaleni od Ziemi o kilka parseków, pędziliśmy z prędkością Czerenkowa i wiadomość ta dotarła do nas z innego statku, gdy już tę prędkość wytracaliśmy.

Pomyślałem wtedy: „Och, jakież to straszne” i przykro mi było ze względu na pewnego chłopaka, Parteno, który znajdował się w naszej załodze.

Jednak okazało się, że strata Buenos Aires miała dla mnie ogromne znaczenie i w dużym stopniu zmieniła moje życie. Ale o tym przekonałem się dopiero w parę miesięcy później.

Wówczas całą moją uwagę pochłaniał zbliżający się atak na Klendathu, planetę Pluskwo-Pajęczaków.

Czas bezpośrednio przed katapultowaniem spędziliśmy unieruchomieni pasami w kojach, nakarmieni narkotykami i nieprzytomni. Sztuczna grawitacja w Valley Forge została wyłączona, aby zaoszczędzić energii i mieć później większą szybkość.

Kiedy przyszła pora zrzutu, wyznaczono mnie jako nadliczbowego przy kapralu Dutchu Bamburgerze. Udało mu się ukryć przyjemność, jaką sprawiła mu ta nowina i gdy tylko sierżant odszedł, warknął do mnie:

— Słuchajcie, szeregowy, macie trzymać się za mną i nie wchodzić mi w drogę. Jak będziecie mi przeszkadzać, to rozwalę wam ten głupi łeb!

Skinałem tylko głową i zacząłem sobie zdawać sprawę, że to nie będzie zrzut ćwiczebny. Potem zaczęło mną trząść, a potem znaleźliśmy się na dole.

Operacja Pluskwo-Pajęczaki powinna się nazywać operacja Dom Wariatów. Wszystko poszło źle.

Była zaplanowana jako uderzenie zmasowane mające powalić wrogów na kolana, umożliwiając natychmiastowe zajęcie stolicy, obiektów kluczowych na całej planecie i zakończenie wojny. Zamiast tego niewiele brakowało, abyśmy wojnę przegrali.

Nie krytykuję generała Diennesa. Nie wiem, czy to prawda, że domagał się zwiększenia liczebności sił wojskowych i większego poparcia, a ustąpił pod presją Marszałka Nieba. Zresztą to nie mój interes. Wątpię też czy ci wszyscy, co mądrzą się poniewczasie, znali rzeczywiste fakty.

Ja zaś wiem, że generał został katapultowany razem z nami, że dowodził nami na dole i kiedy sytuacja stała się krytyczna, sam poprowadził manewr, który nas uratował.

Na Klendathu pozostały tylko jego radioaktywne szczątki, jest o wiele za późno, by postawić go przed sądem wojennym, po co więc o tym mówić?

Mam jednak co nieco do powiedzenia tym strategom, co wygniatają tyłkami fotele, a sami nigdy nie dokonali zrzutu.

Tak, zgadzam się, że planetę Pluskwo-Pajęczaków można było zasłać bombami wodorowymi. Ale czy dzięki temu wygralibyśmy wojnę?

Pluskwo-Pajęczaki to nie to co my. Te pseudopajęczaki nie są nawet podobne do pajaków. Są antropoidami i wyglądają jak olbrzym w oczach wariata. Są inteligentne, lecz swą organizacją społeczną i psychologiczną bardziej przypominają mrówki czy termity. Tworzą grupy komunalne, rojowiska poddane bezwzględnej władzy dyktatorskiej.

Zbombardowanie ich planety spowodowałoby śmierć żołnierzy i robotników, ale ocalałyby kasty mózgowców i królowe. Wątpię, czy nawet dobrze wycelowane uderzenie wodorową rakietą ryjącą zdołałoby zabić królową. Nie wiemy, jak głęboko ma ona swoje siedlisko. I wcale mi nie spieszo dociec prawdy... Żaden z chłopców, którzy zapuścili się w te jamy, nie wyszedł żywy.

Przypuśćmy nawet, że zniszczylibyśmy produkcyjną powierzchnię Klendathu. Pozostałyby im statki powietrzne i kolonie na innych planetach, a ich Naczelne Dowództwo funkcjonowałoby dalej.

Dopóki się nie poddadzą — nie ma końca wojny. Wtedy jeszcze nie mieliśmy bomb nowa i nie mogliśmy rozłupać Klendathu jak orzecha. Skoro dostają w skórę, a nie chcą się poddać, wojna musi trwać.

Gdyby mogli się poddać...

Ich żołnierze poddać się nie mogą, a robotnicy nie mogą walczyć — można stracić nie wiadomo ile czasu i amunicji strzelając do robotników, a oni nie potrafią prosić o łaskę! Kasta żołnierzy nigdy się nie poddaje.

Nie należy jednak popełniać błędu i sądzić, że Pluskwo-Pajęczaki są równie głupie, jak na to wyglądają.

Ich wojownicy są zręczni, wyszkoleni i agresywni — pod warunkiem, że zaczną strzelać pierwsi. Wtedy możesz mu spalić jedną nogę, dwie, trzy nogi, a on będzie posuwał się dalej. Spal mu cztery nogi, a on przewróci się na grzbiet i będzie wciąż strzelał. Musisz dobrać się do jego komory nerwowej i gdy ją uszkodzisz, to przeleci obok ciebie, strzelając byle gdzie, aż wpadnie na jakieś mury czy kamienie.

Zrzut był od początku pechowy. W naszej eskadrze znajdowało się pięćdziesiąt statków, które miały wyjść z prędkości Czerenkowa w doskonale skoordynowanej formacji, trafić na orbitę z prędkością odrzutową, a potem zrzucić nas w przewidzianym z góry miejscu. Na pewno łatwe to nie było, ale jak coś nawali, konsekwencje zawsze spadają na **P.Z.** Okazało się, że mieliśmy wielkie szczęście. Statek Valley Forge pędząc w ściśniętej formacji zderzył się z Ypres i oba statki zostały zniszczone. Nam jednak, choć nie wszystkim, udało się wydostać z kanałów wyrzutowych, bo mimo tej kolizji statek wciąż wystrzeliwał kapsuły.

Wewnątrz kokonu spadającego w dół nie byłem tego świadom. Przypuszczam, iż dowódca naszej kompanii wiedział, że statek jest stracony, a wraz z nim połowa załogi. Był katapultowany jako pierwszy i nagle stracił łączność obwodową z pilotem.

Spytać go jednak nie można, bo z wyprawy nie powrócił.

A mnie stopniowo zaczęło świtać, że z nami mogiła.

Następne osiemnaście godzin to był koszmar. Niewiele z tego pamiętam, jakieś wyrywki, mrozące krew w żyłach sceny.

Nigdy nie lubiłem pajaków. Zwykły domowy pająk przyprawiał mnie o gęsią skórę. O tarantuli nie mogłem wprost pomyśleć i nie jadałem homarów, krabów ani innego takiego świństwa. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem Pluskwo-Pajęczaka, mózg mi po prostu stanął i zacząłem nieprzytomnie wrzeszczeć. Dopiero po chwili zorientowałem się, że go zabiłem i przestałem krzyczeć. Chyba to był robotnik, bo przecież wówczas nie byłem w stanie zmierzyć się z wojownikiem.

Ale i tak znajdowałem się w lepszej sytuacji niż ci z Korpusu K-9. Mieli być zrzućeni, gdyby rzut się udał, na obrzeżu pola naszego ostrzału. Neopsy powinny ustawić się na zewnątrz i służyć taktycznymi wskazówkami sekcjom zabezpieczającym peryferie.

Neopies słyszy, widzi, węszy i przekazuje swemu panu wiadomości odebrane przez radio. Przy sobie ma tylko radio i ładunek wybuchowy. Jeśli zostanie poważnie ranny lub schwytany, sam wysadza się w powietrze.

Biedne psy odczuwają wobec Pluskwo-Pajęczaka jeszcze większy wstręt niż ja. Są oczywiście takie neopsy, które od małości przyzwyczajają do widoku i smrodu Pluskwo-Pajęczaka, lecz te akurat nie były jeszcze tresowane.

Ale nie dość tego. Właściwie wszystko szło źle, choć niezupełnie zdawałem sobie z tego sprawę. Trzymałem się tuż za Dutchem starając się zabijać i razić ogniem wszystko, co się ruszało i do każdej spostrzeżonej jamy wrzucałem granaty.

Wkrótce doszedłem do tego, że mogłem zatłuc Pluskwo-Pajęczaka nie marnując ani amunicji, ani mieszanki napędowej umożliwiającej skoki. Nie nauczyłem się jednak rozróżniać, które były szkodliwe, a które nie. Tylko jeden na pięćdziesięciu jest wojownikiem, ale jest taki wściekły, że nadrabia za tamtych czterdziestu dziewięciu.

Ich przyboczne uzbrojenie nie jest ani w połowie ciężkie jak nasze. Jest to jednak broń śmiertelna — wypuszczają wiązki specjalnych promieni, które przenikają przez zbroję i tną ciało, jakby to było jajko ugotowane na twardo.

A co gorsza mózg kierujący ich działaniami nie znajduje się tam, gdzie mógłbyś go osiągnąć — mieści się głęboko, w jednej z tych jam.

Przez dłuższy czas Dutchowi i mnie sprzyjało szczęście. Młóciliśmy co się dało na przestrzeni jakiejś mili kwadratowej, zapychaliśmy dziury bombami i zabijaliśmy wszystko, co pojawiło się na powierzchni. Oszczędzaliśmy przy tym, na wszelki wypadek, paliwo do swoich silników odrzutowych.

Zadaniem naszym było oczyszczenie tego obszaru, żeby bez przeszkód mogli przybyć posiłki i ciężki sprzęt bojowy.

To nie był rajd — to była bitwa.

Mieliśmy utworzyć przyczółek desantowy i utrzymać go, aby przybywające jednostki mogły zająć i spacyfikować całą planetę.

Tylko że to się nam nie udało.

Nasza własna sekcja sprawiała się jak należy. Znajdowała się jednak w niewłaściwym miejscu i nie miała kontaktu z innymi sekcjami. Dowódca oddziału i sierżant zostali zabici i nie byliśmy w stanie dokonać przegrupowania. Trzymaliśmy się jednak twardo i gdyby przybyły posiłki, moglibyśmy przekazać im zdobyty teren.

Tylko że nie przybyły.

Zostały zrzucone tam, gdzie nas powinni byli zrzucić. Napotkali opór wrogich krajowców i ugrzęźli.

Nigdy ich już nie zobaczyliśmy.

Trwaliśmy więc tam, gdzie byliśmy. Zaczęły padać ofiary. Wyczerpywała się amunicja, mieszanka pozwalająca na skoki i energia obsługująca kombinezony.

Wydawało się, że trwa to już całe wieki.

Śmigaliśmy razem z Dutchem wzdłuż jakiegoś muru w stronę, z której dochodziło wołanie o ratunek. Nagle przed Dutchem otworzyła się otchłań, wyrzwał z niej Pluskwo-Pajęczak, a Dutch upadł.

Rzuciłem granat do otworu i odwróciłem się, żeby zobaczyć, co się stało Dutchowi. Leżał, ale nie wyglądał na rannego. Nie odpowiedział jednak, kiedy go zawołałem. Temperatura ciała była bardzo niska, a wskaźniki oddychania, bicia serca i pracy mózgu stały na zerze. Nie najlepiej, ale miałem nadzieję, że to tylko awaria kombinezonu. Zacząłem go wydobywać z tej zbroi...

Raptem usłyszałem wezwanie: *Sauve qui peut!* Ratuj się, kto może!

— Do domu! Zbierać się i do domu! Sygnał do wszystkich — sześć minut! Ratować siebie i towarzyszy! *Sauve qui...*

Zacząłem się spieszyć.

Dutch nie dawał znaku życia... Zostawiłem go więc i pogałem.

Wtedy usłyszałem sygnał do odwrotu. Ale nie ten sygnał, który powinien zabrzmieć, gdyby pochodził z Valley Forge. Grano melodię, której nie znałem. Zresztą mniejsza o to, dobrze, że był sygnał. Nie żałowałem mieszanki napędowej, pędziłem jak szalony, wpadłem na pokład, gdy już mieli zamykać właz i znalazłem się w Voortreku, w stanie takiego szoku, że nie mogłem sobie przypomnieć swojego numeru seryjnego.

Usłyszałem potem, że odnieśliśmy strategiczne zwycięstwo...

Ale ja tam byłem i wiem, że dostaliśmy zdrowe lanie.

Po sześciu tygodniach, a czułem się wtedy o sześć lat starszy, w Bazie na Sanctuary zameldowałem się u sierżanta Jelala na statku Rodger Young.

W lewym uchu miałem złoty kolczyk — czaszkę z jedną kością. Al Jenkins był ze mną i też miał taki. Kociaka już nie było... Tych paru Dzikich Żbików, którzy przeżyli, porozdzielano po różnych jednostkach.

Sierżant Jelal powitał nas serdecznie, powiedział, że znaleźliśmy się w doskonałej jednostce, najlepszej we Flocie, na świetnym statku i zdawał się nie dostrzegać naszych kolczyków. Później przedstawił nas Porucznikowi, który potraktował nas po ojcowsku. Al Jenkins i ja zdjęliśmy swoje złote czaszki, bo zauważyliśmy, że żaden Byczy Kark Raszaka ich nie nosił.

Nie nosili ich, bo tu nie miało żadnego znaczenia, ilu bojowych zrzutów dokonałeś ani jakie one były. Albo byłeś Byczym Karkiem, albo nie. A jeśli nie, to nic ich nie obchodziło, kim jesteś.

Ponieważ przybyliśmy do nich jako weterani, którzy brali udział w bitwie, przyjęli nas, owszem, z grzecznością, ale taką jaką należy się gościom nie będącym członkami rodziny.

Jednak po tygodniu, po akcji bojowej, w której razem braliśmy udział, staliśmy się jedną rodziną: prawdziwymi Byczymi Karkami. Mówiono do nas po imieniu i ochrzczano bez urazy z jednej czy drugiej strony.

My również, poza służbą oczywiście, zwracaliśmy się po imieniu nawet do podoficerów. Sierżant Jelal przeważnie był na służbie, ale czasem można go było spotkać gdzieś po drodze — wtedy był Jelly i zachowywał się tak, jakby jego ranga nie miała znaczenia między nami, Byczymi Karkami.

Porucznik jednak był zawsze Porucznikiem — nigdy panem Raszakiem ani nawet porucznikiem Raszakiem. Po prostu — Porucznik i mówiło się do niego i o nim w trzeciej osobie. Nie było innego boga oprócz Porucznika, a sierżant Jelal był jego prorokiem. Jelly mógł powiedzieć nie w swoim własnym imieniu i mogło to podlegać dyskusji, ale jeśli powiedział: „Porucznikowi to by się nie podobało”, mówił *ex cathedra* i sprawa była definitywnie zakończona.

Porucznik troszczył się o każdego z nas. Nie umiem pojąć, jak mógł mieć nas wszystkich na oku. Ale gdy tylko zaczynała się jakaś chryja, zaraz przez przewód komendanci dochodził jego śpiewny głos: „Johnson! Sprowadź szóstą sekcję! Smitty jest w kłopotach”.

Czuliśmy się wtedy, jakby nas kto miodem smarował, że właśnie pierwszy dostrzegł to Porucznik, a nie na przykład dowódca sekcji Smitha.

Poza tym miałeś całkowitą pewność, że póki żyjesz, Porucznik nie da sygnału ewakuacji i że bez ciebie nie wejdą na pokład statku.

W wojnie z Pluskwo-Pajęczakami były przypadki, że żołnierze dostawali się do niewoli. Ale nigdy spośród Byczych Karków Raszaka.

Jelly był nam bliski i dbał o nas, jednak wcale nas nie rozpieszczał, chociaż nie składał na nas raportów do Porucznika. Rzadko kiedy przydzielał karną służbę, miał inne sposoby, żeby nas mieszać z błotem.

Potrafił w czasie inspekcji obrzucić cię wzrokiem od góry do dołu i powiedzieć:

— W Marynarce Wojennej wyglądałbyś nawet nieźle. Czemu się nie przeniesiesz? — i osiągał rezultaty.

Rodger Young był statkiem koedukacyjnym. Szefem-komandorem była kobieta. Dziewczyny były oficerami-pilotami, a także członkami załogi.

Na dziobie, przed ładownią, był kraj damski. Dwóch uzbrojonych P.Z. dzień i noc trzymało straż przed jedynymi drzwiami prowadzącymi do tej części statku.

Przywilej wejścia tam przysługiwał oficerom na służbie i wszyscy oficerowie, włącznie z Porucznikiem, jadali we wspólnej damsko-męskiej mesie. Nie marudzili tam. Zjadali i wychodzili. Możliwe, że na innych transportowcach panowały odmienne zwyczaje — na Rodgerze Youngu obowiązywała jednak taka segregacja. Tego życzył sobie i Porucznik, i pani komandor Deladrier.

Pełnienie służby wartowniczej przed tamtymi drzwiami było wyróżnieniem. Dobrze było tak stać na rozstawionych nogach, z założonymi rękami i nie myśleć o niczym... mieć jednak zawsze miłą świadomość, że lada chwila może się ukazać postać kobieca.

Moim codziennym obowiązkiem, poza sprzątaniami, była obsługa wyposażenia elektronicznego.

W Piechocie Zmechanizowanej obowiązywała generalna zasada: wszyscy walczą, wszyscy pracują. Roboty mieliśmy pod dostatkiem, a przecież dokonywaliśmy też i zrzutów. Ale żadnej walnej bitwy nie było. Działaliśmy samotnie, napadając, niszcząc i gnębiąc. Prowadzono bowiem akcję nękania wrogów — małe statki, między nimi Rodger Young, starały się być wszędzie, w każdym momencie.

Był to najszczęśliwszy okres w moim życiu, choć wówczas nie zdawałem sobie z tego sprawy. Narzekałem oczywiście, jak inni, ale miałem też dużo radości.

Pierwszy cios, jaki na nas spadł, to śmierć Porucznika.

To były chyba najgorsze chwile, jakie przeżyłem. Już i tak byłem w złej formie z powodów osobistych.

Moja matka znajdowała się w Buenos Aires w czasie najazdu Pluskwo-Pajęczaków i zniszczenia miasta. Dostałem kartkę od mojej ciotki Eleonory: trzy gorzkie wiersze. Winiła mnie za śmierć matki. Nie było co prawda jasne czy dlatego, że byłem w Siłach Zbrojnych i powinienem był zapobiec tej napaści, czy też dlatego, że — jej zdaniem — matka wyjechała do Buenos Aires, bo mnie nie było w domu. Tak czy inaczej, wina spadała na mnie. Trudno... Podarłem list i starałem się o nim zapomnieć. Byłem przekonany, że oboje rodzice nie żyją, bo przecież ojciec nigdy nie puściłby matki samej w tak daleką podróż.

W parę godzin później wezwał mnie Porucznik i spytał, bardzo przyjaźnie i łagodnie, czy nie chciałbym wziąć urlopu i zostać na Sanctuary, gdy statek wyruszy na następny patrol. Nie mam pojęcia, skąd mógł wiedzieć, że straciłem kogoś z bliskiej rodziny, ale wiedział. Powiedziałem, że nie, że dziękuję i że raczej poczekam, aż cała jednostka będzie miała wolne.

Cieszę się, że tak postąpiłem, bo w przeciwnym razie nie byłoby mnie, kiedy się stało z Porucznikiem...

Jakże wtedy mógłbym to znieść?

Wypadek miał miejsce tuż przed ewakuacją.

W trzeciej sekcji został ranny żołnierz, nie bardzo ciężko, ale przewrócił się. Zastępca dowódcy pododdziału pospieszył mu na pomoc i sam oberwał.

Porucznik, jak zwykle, miał oko na wszystko — musiał mieć zdalne odczyty stanu fizycznego każdego z nas, ale tego się już nie dowiemy. W każdym razie sam pognał, podniósł ich obu i zarzucił sobie na ramiona.

Nieomal w ostatniej sekundzie wciągnięto rannych na statek, a wtedy, nagle, obsunęła się tarcza osłonowa i ugodziła Porucznika.

Zginął na miejscu...

Celowo nie podaję nazwisk tego szeregowca i zastępcy dowódcy pododdziału. Porucznik do ostatniego tchu ratowałby każdego z nas. Nie miało znaczenia, kto to był.

Znaczenie miało dopiero to, że została odrąbana głowa prawdziwej rodziny. Rodziny, której nazwisko nosiliśmy.

Kiedy już nie było porucznika, pani komandor Deladrier zaprosiła sierżanta Jelalę do wspólnego stołu, razem z innymi dowódcami. Ale on się wymówił.

W stosunku do nas stał się tylko troszkę bardziej stanowczy, a jak już musiał powiedzieć: „Porucznikowi to by się nie podobało”, mało kto był w stanie to wytrzymać. Jelly zresztą nie powtarzał tego często.

Organizacja naszej jednostki bojowej pozostała prawie nie zmieniona, nastąpiło zaledwie kilka drobnych przesunięć, a ja zostałem kapralem.

Jelly cały czas zachowywał się tak, jakby Porucznik był tylko chwilowo nieobecny, i on spełnia jego rozkazy. Jak zwykle.

To nas ocaliło.

11

Nie mogę wam obiecać nic poza tym, że będziecie przelewać krew i łzy, będzie się pocić i mozolić.

— W. Churchill, XX-wieczny żołnierz i mąż stanu

Kiedy wróciliśmy na statek po rajdzie na Skórniaki — po tym rajdzie, w którym załatwili Dizzy Floresa i który był pierwszym zrzutem sierżanta Jelala jako dowódcy oddziału — jakiś wartownik, stojący akurat przy przedsiönku śluzy, zagadnął mnie:

— Jak poszło?

— Jak zwykle — uciałem. Zapytywał zapewne z przyjaznego zainteresowania, ale ja nie pozbierałem się jeszcze i nie miałem ochoty gadać.

A poza tym jak można rozmawiać o zrzucie z kimś, kto nigdy w nim nie brał udziału?

— Tak? — niby się zdziwił. — Wam to dobrze. Wałkonicie się przez trzydzieści dni, a pracujecie trzydzieści minut. Nie to co ja: wachta na trzy zmiany i tak na okrągło.

— Rzeczywiście — zgodziłem się. — Niektórzy są w czepku urodzeni.

Było w tym jednak trochę prawdy. My, powietrzni piechociarze podobni byliśmy do lotników z okresu wczesnych wojen zmechanizowanych — w długiej i pracowitej karierze wojskowej mogło zawierać się tylko parę godzin rzeczywistej walki, twarzą w twarz z wrogiem. Reszta to treningi, stan pogotowia, loty patrolowe i bojowe, powroty, naprawy, remonty i przygotowania do następnych lotów i ćwiczenia, ćwiczenia, ćwiczenia.

Następny zrzut wypadal dopiero za trzy tygodnie, na inną planetę krążącą wokół innej gwiazdy — na kolonię Pluskwo-Pajęczaków.

W tym czasie dostałem belki kaprała. Do awansu podał mnie Jelly, a zatwierdziła pani komandor Deladrier, w zastępstwie oficera z naszej jednostki.

Musiałem teraz jakoś załatwić tę sprawę z Acem, ponieważ Jelly zrobił mnie zastępcą dowódcy pododdziału. Nie było to dobre. Człowiek powinien przejść wszystkie szczeble drabiny. Jelly naturalnie o tym wiedział, ale pragnął utrzymać naszą jednostkę w możliwie takiej samej formie jak za życia Porucznika.

To postawiło mnie wobec delikatnego problemu: Wszyscy trzej kaprale zależni od mnie jako dowódcy sekcji byli starszymi niż ja żołnierzami. A gdyby na przykład sierżant Johnson został zdmuchnięty w następnym zrzucie, wtedy ja musiałbym zostać dowódcą pododdziału.

Teraz moim problemem był Ace, kapral zawodowy. Gdyby Ace mnie zaakceptował, nie miałbym żadnych kłopotów z pozostałymi dowódcami sekcji.

Póki co, niby wszystko było w porządku. Po tym jak zabraliśmy razem Floresa, zachowywał się przyzwoicie. Na pokładzie nie mieliśmy jednak tyle styczności, by mogło powstać jakieś spięcie. Ale to się czuje. Nie traktował mnie jak kogoś, od kogo przyjmuje się rozkazy.

Odszukałem go więc po zajęciach. Leżał w koi i czytał. — Ace. Chcę z tobą pogadać. Spojrzał w górę.

— Tak? Zszedłem już z pokładu. Jestem po służbie.

— Chcę z tobą pomówić. Zaraz. Odłóż książkę.

— Cóż takiego pilnego? Muszę skończyć ten rozdział.

— Och, ja to czytałem, mogę ci opowiedzieć.

— Tylko spróbuj! — Ale książkę odłożył i usiadł. Powiedziałem:

— Ace, chodzi o tę organizację pododdziału, jesteś starszym ode mnie żołnierzem i to ty powinieneś być zastępcą dowódcy.

— Och! Znowu to samo!

— Tak. Uważam, że powinniśmy pójść razem do Johnsona, żeby załatwił to z Jellem.

— Rzeczywiście? Słuchaj, mały, pozwól, że powiem ci otwarcie — fakt, że dobrze spisałeś się wtedy, gdy musieliśmy zabierać Floresa. To muszę ci oddać. Ale jak chcesz mieć sekcję, to ją sobie wykop choćby spod ziemi, ale od mojej się odchrzań. Poza tym nic do ciebie nie mam.

— To twoje ostatnie słowo?

— Tak, to moje pierwsze i ostatnie słowo. Westchnąłem.

— Tak też myślałem, ale wolałem się upewnić. No to sprawa załatwiona. Mam jednak jeszcze coś. Zauważyłem, że warto byłoby posprzątać w umywalni... Pomyślałem, że może zrobimy to razem. Odłóż więc książkę... Podoficerowie są zawsze na służbie, jak twierdzi Jelly.

Nie zerwał się od razu. Powiedział spokojnie.

— Naprawdę uważasz, mały, że to konieczne? Powiedziałem przecież, że nic przeciwko tobie nie mam.

— Na to wygląda.

— Myślisz, że dasz radę?

— Mogę spróbować.

— No dobra.

Poszliśmy do umywalni, przegnaliśmy szeregowca, który miał zamiar wziąć prysznic, i zamknęliśmy drzwi. Ace spytał:

— Życzysz sobie, mały, żebyśmy stosowali jakieś ograniczenia?

— No... nie mam zamiaru cię zatłuc.

— Zgoda. Nie będziemy sobie łamać kości... chyba że niechcący. Odpowiada ci?

— Odpowiada — zgodziłem się. — Och, chyba zdejmę koszule.

— Nie chcesz, żeby się splamiła krwią — rzucił lekko. Zacząłem się rozbierać, a on kopnął mnie w kolano, nawet bez zamachu, płasko, całą stopą. Noga mi zdrętwiała.

Prawdziwa walka trwa sekundę albo dwie, bo tyle czasu potrzeba, żeby zabić człowieka lub powalić go bez przytomności. Ale my postanowiliśmy nie zrobić sobie krzywdy. To zmieniało sprawę.

Obaj byliśmy młodzi, w doskonałej kondycji, wyćwiczeni i przyzwyczajeni do otrzymywania razów. W tych warunkach walka musiała trwać, dopóki któryś nie został tak zbity na kwaśne jabłko, że nie mógł się ruszać. Albo mogła zakończyć się przez jakiś przypadek. Obaj jednak byliśmy zawodowcami i uważaliśmy, aby żaden przypadek się nie zdarzył. No i tak to trwało. Nie przytaczam szczegółów, bo były równie banalne jak bolesne. W jakiś czas potem leżałem na plecach, a Ace polewał mnie wodą. Popatrzył na mnie, postawił mnie na nogi i oparł o ścianę.

— Przyłóż mi! — powiedział.

— Co? — Kręciło mi się w głowie i dwoiło w oczach.

— Johnnie... przyłóż mi!

Jego twarz pływała przede mną w powietrzu. Postarałem się ją umiejscowić i grzmotnąłem. Zamknął oczy i osunął się na ziemię, a mnie z najwyższym wysiłkiem udało się nie pójść w jego ślady. Zebrał się powoli i wstał.

— W porządku, Johnnie — powiedział. — Dostałem nauczkę i nie będę więcej py-skował... i nikt w mojej sekcji. No to już zgoda?

Skinałem głowę. Okropnie zabolalo.

— Dasz grabę?

Podaliśmy sobie ręce i to też zabolalo.

Nieomal każdy przeciętny człowiek wiedział więcej o toczącej się wojnie niż my. Był to okres, kiedy Pluskwo-Pajęczaki zlokalizowały naszą rodzinną planetę (zresztą dzięki Skórniakom) i dokonały najazdu niszcząc Buenos Aires. To przekształciło lokalne incydenty w otwartą wojnę.

Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że Ziemską Federacja wojnę przegrywa. Nie wiedzieliśmy też nic o ogromnych wysiłkach, by rozbić zawiązane przeciwko nam przymierze i przeciągnąć Skórniaków na naszą stronę. Coś na ten temat można by wywnioskować z instrukcji, jakich nam udzielano — na przykład przed najazdem, w czasie którego poległ Flores, polecano nam oszczędzać Skórniaków. Niszczyć wszystkie obiekty stałe, ale nie zabijać mieszkańców, chyba że będzie to nieuniknione.

Naprawdę nie wiedzieliśmy, że przegrywamy. Byliśmy Byczymi Karkami Raszaka, najlepszą, niepowtarzalną jednostką w całym pułku. Właziliśmy do kapsuł na rozkaz Jelly'ego i po zrzucie walczyliśmy, bo tego od nas oczekiwano.

Nasi najgorsi wrogowie, Pluskwo-Pajęczaki, składały jaja. Nie tylko składały, ale także przetrzymywały je w zapasie i wysiadywały w razie potrzeby. Jeśli zabiliśmy jednego wojownika albo tysiąc, albo parę tysięcy — natychmiast wykluwały się nowe rzesze gotowych do walki.

Można sobie wyobrazić, że na przykład jakiś dyrektor od spraw ludnościowych Pluskwo-Pajęczaków wydaje przez telefon polecenie gdzieś tam na dół i powiada: „Joe, ogrzej dziesięć tysięcy wojowników, żeby byli gotowi na środe... i każ przygotować rezerwowe inkubatory, bo wzrasta zapotrzebowanie”.

Nie twierdze, że dzieje się dokładnie tak, ale takie są wyniki. Błędne też byłoby mniemanie, że pobudką ich działania jest instynkt, jak u termitów czy mrówek. Postępują równie inteligentnie jak my, ale w sposób o wiele bardziej skoordynowany. Potrzeba przynajmniej roku, by wyszkolić rekruta — Pluskwo-Pajęczak już lęgnie się gotów do walki.

A jednak powoli uczyliśmy się z nimi walczyć.

Nauczyliśmy się odróżniać robotników od wojowników: jeżeli rzuca się na ciebie — to wojownik, jeśli ucieka — możesz go zlekceważyć. Nauczyliśmy się też nie marnować amunicji nawet na wojowników, chyba że w obronie własnej. Zamiast tego szukaliśmy jam i wrzucaliśmy bombę z gazem porażającym system nerwowy Pluskwo-Pajęczaków. Dla nas był on nieszkodliwy. Potem, następnym granatem, blokowaliśmy wyjście z jamy.

Nie wiadomo było, czy gaz dociera aż tak głęboko, by zabić ich królowe, ale dzięki wiadomościom uzyskanym przez nasz wywiad i od Skórniaków, mieliśmy pewność, że ta taktyka bardzo im się nie podobała.

Między jedną potyczką a drugą przyszedł rozkaz awansowania Jelly'ego na porucznika. Na miejsce Raszaka. Jelly starał się nie nadawać temu rozgłosu, ale pani komandor Deladrier rozkaz ten ogłosiła i zażądała, by Jelly jadał na dziobie statku, razem z innymi oficerami. Resztę czasu spędzał z nami, na rufie.

Dokonałiśmy już z nim jako dowódcą oddziału kilku zrzutów, jednostka przyzwyczaiła się do braku Porucznika — wciąż odczuwaliśmy to jako bolesną stratę, ale już nie tak bardzo. Po awansie Jelala zaczęliśmy przemyśliwać, że pora, byśmy przybrali nazwę od naszego obecnego szefa. Tak jak inne jednostki.

Sierżant Johnson wziął mnie ze sobą jako podporę moralną i miał przedstawić tę sprawę Jelalowi.

— Co tam? — mruknął Jelly.

— Hmm, panie sierżancie... to jest, panie poruczniku, pomyśleliśmy sobie...

— Cóż takiego?

— No, chłopcy przemyśleli to i uważają... no, mówią, że jednostka powinna się nazywać: Jaguary Jelly'ego.

— Tak myślą? Hę? A ilu z nich głosuje za tym?

— Wszyscy — odpowiedział Johnson po prostu.

— Tak? A więc pięćdziesięciu dwóch za... a jeden przeciw. Przegłosowano — przeciw.

Nikt już nigdy więcej nie podniósł tej kwestii.

W jakiś czas potem cały pluton dostał dziesięć dni wolnego i przetransportowano nas do baraków akomodacyjnych w Bazie na Sanctuary.

Było to wymarzone miejsce na spędzenie paru dni urlopu. Ludność miejscowa wiedziała, że jest wojna. Prawie połowa była zatrudniona w Bazie albo w przemyśle zbrojeniowym, a reszta w rolnictwie i przemyśle spożywczym, pracującym głównie na potrzeby Floty. Można powiedzieć, że czerpali zyski z wojny, toteż poważali mundur i szanowali żołnierzy.

Ale najważniejsze, że połowę tych cywilów stanowiły kobiety.

Trzeba być długo w koszarach albo w dalekim locie patrolowym, aby to w pełni docenić. Z tych cudownych pięćdziesięciu procent większość pełniła różne funkcje w Służbie Federalnej. Czy można sobie wyobrazić piękniejszą scenerię w całym wszechświecie?

Na baraki akomodacyjne też nie można było narzekać — żadnego luksusu, ale wygodne. A jedzenie podawali przez dwadzieścia pięć godzin na dobę.

Ja i Ace mieliśmy wspólny pokój w kwaterach dla podoficerów. Pewnego ranka, kiedy urlop się kończył, a ja właśnie odbywałem drzemkę, Ace szarpnął za moje łóżko.

— Prędej! Wstawaj! Pluskwo-Pajęczaki atakują! Powiedziałem mu, gdzie mam Pluskwo-Pajęczaki.

— Wstawaj! — upierał się. — Idziemy w miasto.

— *No dinero.* — Poprzedniego wieczoru miałem randkę z czarującą chemiczką ze Stacji Badawczej. Była wiotka, rudowłosa i miała kosztowne gusta. W rezultacie musiałem iść na piechotę do domu. Ale było warto. Po co są zresztą pieniądze?

— Nieważne — odparł Ace. — Wspomogę cię. No więc wstałem i ogoliłem się.

Było gorąco i Ace zdecydował, żeby wstąpić do kantyny na Churchill Road.

Rozmawialiśmy o tym i o owym i Ace zamówił następną kolejkę. Wziąłem sok truskawkowy. Ace popatrzył w swoją szklankę i powiedział:

— Myślałeś kiedyś, żeby przepchać się na oficera?

— Co? Zwariowałeś?

— Wcale nie. Słuchaj, Johnnie, ta wojna może jeszcze potrwać. Szarych ludzi karmią propagandą, ale my wiemy swoje: Pluskwo-Pajęczaki nie mają zamiaru skapitulować. Powinieneś pomyśleć o przyszłości. Jak już trzeba grać w orkiestrze, to lepiej machać pałeczką, niż nosić ciężki bęben.

Byłem zaskoczony, tym bardziej że słyszałem to od Ace'a.

— A ty? Też chcesz zabiegać o stopień oficerski?

— Ja? — zdziwił się. — Sprawdź swoje połączenia obwodowe, chłopie, otrzymujesz błędne informacje. Przecież nie mam wykształcenia i jestem od ciebie o dziesięć lat starszy. Ty masz możliwość zdania egzaminów wstępnych i twój współczynnik inteligencji na pewno zrobi na nich wrażenie. Gdy zdecydujesz się zostać zawodowcem, zaraz zrobią cię sierżantem, a następnego dnia oficerem dowodzącym.

— Teraz widzę, że naprawdę oszalałeś!

— Posłuchaj staruszka i nie miej mi za złe, że to mówię, ale jesteś w dostatecznym stopniu głupi, pełen zapału i szczerości, aby być z ciebie oficer, za którym pójda ludzie. A ja... Ja jestem z usposobienia podoficerem. Mam właściwą dozę pesymizmu wobec wyskoków takich entuzjastów jak ty. Kiedyś pewnie zostanę sierżantem... Odsłużę swoje dwadzieścia lat, pójdę na emeryturę i dostanę jakąś ciepłą posadkę, może w policji. Ożenię się z tłąstą, sympatyczną babką, będę łowił ryby i spokojnie się wykończę.

Ace przerwał, by zaczerpnąć powietrza.

— Ale ty? — ciągnął dalej. — Zostaniesz w wojsku, będziesz wysoko awansował i zginiesz na polu chwały. A ja przeczytam o tym i będę się chwalił: Znałem go, pożyczalem mu nawet forszę, byliśmy razem kapralami. Co ty na to?

— Nigdy mi to nie przyszło do głowy — odparłem z wolna. — Miałem zamiar tylko odsłużyć okres służby wojskowej.

Skrzywił się kwaśno.

— I nadal spodziewasz się odrobić to w dwa lata. Widziałeś dziś takiego?

Miał rację. Jak długo trwała wojna, okres nie miał końca — przynajmniej dla szeregowców z cenzusem. Ale jednak my, ochotnicy, mogliśmy mówić: Jak tylko skończy się ta cholerna wojna, to... Zawodowiec nie mógł tego powiedzieć, jego czekała tylko emerytura, o ile on jej doczekał.

— Przecież ta wojna nie będzie trwała wiecznie.

— Nie będzie?

— To chyba niemożliwe.

— Licho wie. Mnie zresztą nikt o takich sprawach nie informuje. Ale ty, Johnnie, masz pewnie inny problem. Dziewczyna czeka, co?

— Nie. No, miałem taką jedną — odpowiedziałem ociągając się — ale zaczęła mnie w listach częstować Drogim Johnem. — Było to oczywiście kłamstwo, ale wiedziałem, że Ace tego po mnie oczekiwał. Carmen nie była moją dziewczyną i nigdy na nikogo nie czekała — jednak rzeczywiście pisała Drogi Johnie, jeśli zdarzyło jej się do mnie napisać.

Ace pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Takie już one są. Wolą wyjść za mąż za cywila, byle tylko mieć kogoś koło siebie. Ale nie martw się, synku, jak pójdziesz na emeryturę, będziesz mógł w nich przebierać

jak w ulęgakach. Poza tym mężczyzna w pewnym wieku lepiej sobie radzi z kobietami. Małżeństwo dla młodego to nieszczęście, dla starego — wygoda. — Spojrzał na moją szklankę. — Niedobrze mi się robi, jak widzę, że pijesz takie pomyje.

— Mnie też, jak patrzę na to, co ty pijesz. Wzruszył ramionami.

— Są różne gusta. Przemyśl sobie.

Poszedłem się przejść. Musiałem sobie to i owo uporządkować w głowie.

Iść na zawodowca? Pomijając kwestię stopnia oficerskiego, czy chciałem być zawodowcem? Przeszedłem przecież przez to wszystko, żeby dostać prawo głosu, a gdy wybiorę karierę wojskową, to przywilej głosowania będzie dla mnie tak samo nieosiągalny, jakbym nigdy nie zgłaszał się na ochotnika... bo jak długo chodzi się w mundurze, nie wolno głosować. Jest to oczywiście słuszne. Gdyby, na przykład, pozwolono głosować Byczym Karkom, to ci idioci opowiedzieliby się zapewne przeciwko dokonywaniu rzutów. A tak nie może być. W każdym razie poszedłem do wojska, by zdobyć prawo głosu. Ale czy naprawdę o to mi chodziło?

Czy kiedykolwiek zależało mi na głosowaniu? Nie, tu chodziło raczej o prestiż, o dumę, o status obywatela.

A przecież Porucznik był obywatelem w najprawdziwszym znaczeniu tego słowa, chociaż nie dożył możliwości podejścia z kartą do urny. Głosował za każdym razem, gdy był katapultowany.

I ja również!

Zabrzmiały mi w myśli słowa pułkownika Dubois: Obywatelstwo wyraża się postawą, stanem umysłu, emocjonalnym przekonaniem, że całość większa jest od części... i że ta część powinna z dumą i pokorą poświęcić się, by całość mogła żyć.

Teraz chyba już rozumiem, o czym mówił pułkownik Dubois.

Piechota Zmechanizowana zastąpiła mi rodzinę, którą opuściłem, a koledzy braci, których nigdy nie miałem. Gdybym ich porzucił, byłbym zgubiony.

Czemu więc nie miałbym zostać zawodowcem?

No dobrze... ale co z tym stopniem oficerskim?

Mogłem sobie wyobrazić, jak to opisywał Ace, że za dwadzieścia lat pójdę na emeryturę, będę nosił medale na piersi i ciepłe pantofle na nogach... że będę spędzał wieczory w Klubie Weteranów, wspominając z kolegami dawne dobre czasy.

Ale żeby zostać oficerem dowodzącym? Przypomniałem sobie, jak Al Jenkins kiedyś gardłował: „Jestem szeregowcem i zostanę szeregowcem! Gdy jesteś szeregowcem to niczego po tobie nie oczekują. Kto by chciał zostać oficerem? Czy nawet sierżantem? Oddychamy tym samym powietrzem, no nie? Jemy to samo żarcie. Tak samo nas katapultują. Ale żadnych zmartwień”.

Al miał rację. Co mi przyszło z tego ostatniego awansu? Tylko parę sińców i guzów. Wiedziałem jednak, że zostanę sierżantem, jeśli mnie mianują. Ochotnik nie ma nic do gadania. Staje na baczność i przyjmuje rozkaz. Zawodowiec zapewne też.

Ale kim ja właściwie jestem, żeby móc przypuszczać, iż stanę się podobny do Porucznika Raszaka?

Tak spacerując doszedłem do Oficerskiej Szkoły Kandydackiej, chociaż nie miałem zamiaru iść tamtędy. Na placu ćwiczyła kompania kadetów. Wyglądali zupełnie tak samo jak rekruci w czasie szkolenia podstawowego.

Obserwowałem przez chwile, jak się pocili i jak ich sierżant ochrzaniał. Potrząsnąłem głową i odszedłem stamtąd...

Wróciłem do baraków akomodacyjnych, odszukałem Jelly'ego w skrzydle oficerskim. Był u siebie. Trzymał nogi na stole i czytał jakiś tygodnik.

Zapukałem we framugę drzwi. Spojrzał i warknął:

— Kto tam?

— O co chodzi?

— Chcę iść na zawodowego. Spuścił nogi.

— Podnieś prawą rękę.

Przyjął od mnie przysięgę, sięgnął do szuflady biurka i wyjął moje papiery.

Miał już te papiery przygotowane. Czekają na mnie gotowe do podpisu.

Ace'owi jednak nic nie powiedziałem.

12

Nie wystarczy, aby oficer posiadał zdolności... Powinien być również dżentelmenem, mieć wszechstronne wykształcenie, odznaczać się doskonałymi manierami, wyszukaną grzecznością oraz skrupulatnym poczuciem honoru... żaden chwalebny czyn podwładnego nie powinien ująć jego uwagi, gdyby nawet nagrodą miało być tylko słowo pochwały. I na odwrót — nie powinien być ślepy na najmniejsze uchybienie podwładnego. Mimo niezbitej słuszności zasad politycznych, o które obecnie walczymy... na okrętach panować musi system absolutnego despotyzmu. Ufam, iż uwidoczniliście wam ogrom ciężącej na was odpowiedzialności... Musimy osiągnąć wszystko co możliwe, środkami jakie posiadamy.

— John Paul Jones. 14 września, 1775.

Wyjątki z listu do komitetu powstańczego Marynarki Północnej.

Rodger Young znów wracał do Bazy po uzupełnienie brakujących kapsułek i ludzi. Al Jenkins odszedł na wieczny spoczynek zbierając rannych... W akcji tej zginął też Padre. Oprócz tego i ja miałem być zastąpiony.

Nosiłem teraz nowiutkie odznaki szarży sierżanckiej. Byłem przekonany, że gdy tylko zejdem ze statku, otrzyma je Ace. Wiedziałem, że Jelly awansował mnie raczej symbolicznie, żebym miał lepsze wejście do Oficerskiej Szkoły Kandydackiej.

Mimo to byłem dumny. Kroczyłem z nosem zadartym do góry przez wyjście z ładowiska, w stronę urzędnika stemplującego karty kwarantanny.

Kiedy odchodziłem od okienka, usłyszałem uprzejmy, pełen szacunku głos:

— Przepraszam, panie sierżancie, ale czy ta rakietka pokładowa, która właśnie wylądowała, to z Rodgera?

Odwrociłem się, by spojrzeć na pytającego. To był drobny, trochę przygarbiony kapral, z pewnością jeden z...

— Ojczel!!!

Kapral objął mnie ramionami i przylgnął do mnie.

— Juan! Juan! Och, mój mały Johnnie!

Całowałem go, ścisnąłem i zacząłem płakać. Gdy już obaj wytarliśmy oczy i wysiękaliśmy nosy, powiedziałem:

— Ojczy, chodź, znajdziemy jakiś ką, usiądziemy i porozmawiamy. Chcę się dowiedzieć... no, wszystkiego. — Nabrałem tchu. — Myślałem, że nie żyjesz.

— Żyję. Raz czy dwa byłem bliski śmierci. Muszę jednak... synu... sierżancie, czy ta łódź pokładowa to z...

— Och, tak, z Rodgera Younga. Ja właśnie... Na jego twarzy odmalował się ogromny zawód.

— W takim razie muszę się natychmiast zameldować. — Ale zaraz dodał rażno: — Ty wrócisz na pokład, prawda, Juanito? A może idziesz na urlop?

— Och, nie. — Moje myśli goniły jedna drugą. Że też to tak musiało się ułożyć! — Słuchaj, ojczy, znam rozkład lotów. Masz jeszcze przynajmniej godzinę do wejścia na pokład. Muszą przecież zatankować paliwo.

Miał wątpliwości:

— Rozkazano mi zameldować się niezwłocznie u pilota pierwszej rakiety pokładowej.

— Ojczy, ojczy! Czy musisz być takim rygorystą? Przecież tej dziewczynie, co pilotuje tę landarę, jest wszystko jedno, czy wsiądziesz teraz, czy jak już będzie ze wszystkim gotowa. A zresztą statek zacznie nadawać sygnał do powrotu na sześć minut przed startem. Na pewno się nie spóźnisz!

Pozwolił mi zaciągnąć się do pustego kąta, a gdy usiedliśmy, zapytał:

— Czy ty wracasz tą samą rakieta, czy później?

— Och... — Pokazałem mu swoje rozkazy. Wydało mi się, że to najprostszy sposób przekazania mu tej wiadomości.

Co za historia: jak dwa okręty mijające się w ciemnościach nocy! Przeczytał, łyzy mu się zakręciły w oczach, a ja powiedziałem szybko:

— Słuchaj, ojczy, będę się starał wrócić... Nie znam lepszej jednostki niż Bycze Karki, a jak jeszcze ty tam będziesz... Och, wiem, że to dla ciebie zawód, ale...

— Nie jestem zawiedziony, Juanie.

— Jak to?

— Jestem dumny. Mój chłopak będzie oficerem. Mój mały Johnnie... Och, naturalnie, jest mi też trochę przykro. Tak czekałem na ten dzień. Ale poczekamy jeszcze trochę.

— Uśmiechnął się przez łyzy. — Wyrosłeś, mój chłopczy. I zmężniałeś.

— Chyba tak. Ale nie jestem jeszcze oficerem, ojczy, i może tylko parę dni nie będzie mnie na statku. Mogą mnie nie przyjąć albo bardzo szybko wyrzucić...

— Dość tego, młodzieńcze!

— Hmmm?

— Z pewnością dasz sobie radę i nie mówmy już o tym. — Roześmiał się. — Po raz pierwszy mam okazję powiedzieć sierżantowi, żeby się zamknął.

— Tak, ojcze, będę się starał.

— Wiem. A jeśli nawet mamy dla siebie tylko tę jedną godzinę, to należy ją dobrze wykorzystać. Jestem bardzo z ciebie dumny, Johnnie. Jak ci się wiodło?

— Doskonale, naprawdę świetnie. — Pomyślałem, że rzeczywiście nie było tak źle. I pomyślałem, że będzie mu lepiej wśród Byczych Karków niż w jakiejś innej jednostce. Wszystko to moi przyjaciele... Zaopiekują się nim. Będę to musiał przekablować Ace'owi — ojciec na pewno nawet nie wspomni, że jest moim krewnym. — Jak dawno jesteś w wojsku, ojcze?

— Minał rok.

— I już jesteś kapralem!

Ojciec uśmiechnął się gorzko.

— W dzisiejszych czasach szybko się awansuje. — Nie musiałem pytać, co miał na myśli. Ofiary wojenne.

— Ale, ojcze, czy nie jesteś... czy twoje lata pozwalają ci na czynną służbę w wojsku? Może w Kwatermistrzostwie albo...

— Chciałem dostać się do Piechoty Zmechanizowanej i dostałem się! — powiedział z emfazą. — Nie jestem starszy od wielu sierżantów. To, że mam o dwadzieścia dwa lata więcej od ciebie, synu, nie znaczy jeszcze, iż mam siedzieć w fotelu na kółkach. Starszy wiek ma też swoje zalety.

Coś w tym bez wątplenia jest. Przypominam sobie, że sierżant Zim zawsze przy awansach dawał pierwszeństwo starszym. Ojciec na pewno nie popełniłby w czasie szkolenia takich kretyńskich błędów, jakie mnie się zdarzały — kara chłosty to nie dla niego. Z pewnością od razu został wytypowany na podoficera. Jeszcze zanim skończył zasadnicze szkolenie.

Nie potrzebowałem go pytać, dlaczego wybrał P.Z. ani dlaczego i jak znalazł się wśród załogi mojego statku — zrobiło mi się ciepło koło serca i odczułem to jako najwyższy wyraz uznania z jego strony. Nie chciałem też pytać, czemu zgłosił się do wojska. Wiedziałem. Matka. Żaden z nas nawet nie wspomniął o niej. To jeszcze zbyt bolesne.

Zmieniłem więc temat.

— Powiedz mi, jak u ciebie. Gdzie byłeś, co robiłeś?

— No cóż, odbywałem szkolenie w Obozie San Martin.

— Tak? A nie w Currie?

— To nowy obóz. Ale te same stare piły. Tyle że trwa o dwa miesiące krócej. Potem prosiłem o przydział na Rodgera Younga. Nie dostałem i znalazłem się w Korpusie Ochotniczym McSlattery. Dobra jednostka.

— Tak, wiem. — Mieli opinię twardych, wytrwałych i bezlitosnych, prawie tak dobrą jak Bycze Karki.

— Dokonałem z nimi paru zrzutów, wielu chłopców przekreśliło się, a ja otrzymałem to. — Spojrzał na swoje belki. — Byłem już kapralem, kiedy katapultowano nas na Sheol.

— To ty tam byłeś? Ja też! — W nagłym przypiływie uczucia poczułem się bliższy ojcu niż kiedykolwiek.

— Wiem. To znaczy, wiedziałem, że była tam twoja jednostka. My znaleźliśmy się o jakieś pięćdziesiąt mil na północ od was. Wykrwawiliśmy się w tym ataku, bo oni wyłazili bezustannie gromadami jak szczury z nor. — Ojciec wzdrygnął się. — Gdy się skończyło, nie pozostało nas nawet tylu, żeby sformować sekcję. Odesłano mnie więc tutaj, bo miał przylecieć Rodger Young z wolnym miejscem dla kaprała. No i jestem.

— Ale kiedy wstąpiłeś do wojska? — Za późno zorientowałem się, że to niezręczne pytanie.

Ojciec odpowiedział spokojnie.

— Wkrótce po Buenos Aires.

— Och, rozumiem.

Milczał przez parę sekund. Potem odezwał się miękko.

— Nie jestem pewien, czy rozumiesz, synu.

— Ach, tak?

— Hmm... nie będzie mi to łatwo wyjaśnić. Utrata twojej matki miała na to oczywiście wielki wpływ. Ale nie zaciągnąłem się, żeby ją pomścić, chociaż to też leżało mi na sercu. Ale stało się to głównie z twojego powodu...

— Z mojego?!

— Tak, synu. Zawsze rozumiałem to, co robisz. Lepiej niż twoja matka. Ale nie gań jej, nigdy nie była w stanie objąć umysłem więcej niż świergocząca ptaszyna. I, być może, wtedy rozumiałem lepiej niż ty sam, dlaczego to zrobiłeś. I przynajmniej połowa mego gniewu na ciebie płynęła z urazy. Z urazy, że ja sam powinienem zrobić to, co ty zrobiłeś. — Na chwilę przerwał — Nie byłem w najlepszej formie, kiedy wstąpiłeś do wojska. Odwiedzałem dość regularnie mego hipnoterapeutę, nie podejrzewałeś tego, prawda? Ale nie osiągnęliśmy nic więcej, poza rozeznaniem, że byłem z siebie ogromnie niezadowolony. Po twoim odejściu winę zacząłem oczywiście przypisywać tobie. Wiedziałem jednak, że to nie jest prawda i mój terapeuta też to wiedział. Miałem świadomość, znacznie wcześniej niż inni, że szykuje się coś niedobrego — na miesiąc przed ogłoszeniem stanu wyjątkowego kazano nam przestawić produkcję na cele wojskowe. Przez pewien czas czułem się lepiej. Zapracowywałem się na śmierć i już nie chodziłem do lekarza. Potem znów wróciła depresja, głębsza niż kiedykolwiek... Znów zrobił przerwę.

— Śmierć twojej matki zwolniła mnie z dotychczasowych obowiązków... chociaż naprawdę byliśmy sobie bliżsi niż wiele małżeństw. Jej odejście pozostawiło mi swobodę działania. Przekazałem przedsiębiorstwo Moralesowi...

— Staremu Moralesowi? Czy on da sobie radę?

— Da. Musi sobie dać. Wielu u nas robi to, czego się nie spodziewało. Resztę majątku podzieliłem na dwie części: jedną przekazałem Córom Miłosierdzia, a druga czeka na ciebie.

Zatrzymał się, a potem powiedział dobitnie:

— Musiałem dowieść sobie samemu, że jestem mężczyzną. Nieprodukująco-konsumującym zwierzęciem, ale... mężczyzną!

W tym momencie, zanim zdołałem mu cokolwiek odpowiedzieć, z megafonów rozległ się śpiew... *na sławę imienia, na sławę imienia Rodgera Younga* i dziewczęcy głos dodał:

— Personel Rodgera Younga! Przygotować się do obsadzenia statku. Wejście H. Dziewięć minut.

Ojciec zerwał się i chwycił swój żołnierski worek.

— Pora na mnie! Uważaj na siebie, synu. I zdaj te egzaminy!

— Zdam, ojcze.

Uściskał mnie w pośpiechu.

— Do zobaczenia, gdy wrócimy. — I już go nie było.

W Komendanturze zameldowałem się u sierżanta, który z wyglądu bardzo przypominał sierżanta Ho. Wyrecytowałem:

— Sierżant Juan Rico z transportowca melduje się według rozkazu.

Rzucił okiem na zegar.

— Wasza rakietka pokładowa przybyła siedemdziesiąt trzy minuty temu. No więc?

Powiedziałem mu, jak było, wyciągnął wargi w dziób i przyglądał mi się w zamyśleniu.

— Słyszałem już różne wymówki, ale to coś nowego. Ojciec, wasz własny ojciec zameldował się na waszym starym statku akurat wtedy, gdy wy go opuściliście?

— To szczerą prawdą, panie sierżancie. Może pan sprawdzić: kapral Emilio Rico.

— Nie sprawdzamy tu oświadczeń młodych dżentelmenów. Możemy ich najwyżej wykopać, jeśli okaże się, że nie powiedzieli prawdy. No dobrze, chłopcze, niewiele wart byłby ktoś, kto poniechałby własnego ojca ze względu na parę minut spóźnienia. Nie mówmy już o tym.

— Dziękuję, panie sierżancie. Czy mam teraz zameldować się panu dowódcy?

— Właśnie mu się meldujesz. — Odfajkował mnie na liście. — Proszę, macie tu skierowanie i kartę przyjęcia — a na początek możecie zdjąć te naszywki. Ale zachowajcie je, mogą przydać się później. A od tej chwili nie jesteście sierżantem, tylko panem.

— Tak jest, proszę pana.

— To nie wy macie mi mówić: proszę pana. Ja wam będę mówił: proszę pana. Ale nie jestem pewny, czy będziecie tym zachwyceni.

Nie będę opisywał Oficerskiej Szkoły Kandydackiej. Było tam podobnie jak na szkoleniu podstawowym, a jeszcze na dokładkę stos książek.

Rano — musztra. Ochrzaniono nas za byle co. Sierzanci klęli. Po południu byliśmy kadetami i dżentelmenami, i mieliśmy wykłady z nie kończącej się listy przedmiotów: matematyka, nauki przyrodnicze, galaktografia, ksenologia, hipnopedia, logistyka, strategia i taktyka, łączność, prawo wojskowe, terenoznawstwo, bronie specjalne, psychologia i dowodzenie... W ogóle wszystko, począwszy od wyposażenia i żywienia rekrutów do powodów przegrania wojny przez Kserksesa.

Szczególny nacisk kładziono na wystawianie się na niebezpieczeństwo i równoczesne nie spuszczenie z oczu pięćdziesięciu podwładnych, dbanie o nich, przewożenie im, ratowanie z opresji, ale nigdy nie niańczenie!

Wieczorami i w każdą niedzielę uczyliśmy się, aż piekły oczy i bolały uszy, a potem zasypialiśmy z hipnopedycznymi głośnikami pod poduszką.

Nie przypominam sobie jednak, że bym czuł się nieszczęśliwy. Za dużo było roboty i stale towarzyszył nam strach, żeby nie zawalić jakiegoś egzaminu.

Martwiło mnie zwłaszcza moje słabe przygotowanie z matematyki. Na szczęście mój współlokator — przesiedleńca z Hesperusa, o dziwnym imieniu Anioł, siedział ze mną noc po nocy i udzielał mi korepetycji.

Sądzę, że szczytowym punktem mojej całej kariery kadeckiej była wizyta pani podporucznik Ibanez, o czarnych ogromnych oczach, z transportowej korwety Mannerheim.

Moja klasa miała akurat zbiórkę przed kolacją, kiedy pojawiła się Carmencita. Wyglądała niewiarygodnie elegancko w mundurze, niczym biała, mała papierowa laleczka. Przeszła wzdłuż szeregu, a wszystkim oczy na wierzch wychodziły, skierowała się wprost do oficera dyżurnego i spytała o mnie czystym, przenikliwym głosem.

Oficer dyżurny, kapitan Chandar, mający opinię największego ponuraka, rozpromienił się cały w uśmiechu i przyznał, że ja istnieję... Wtedy Carmen zamrugała do niego nieprawdopodobnie długimi czarnymi rzęsami, wyjaśniła, że jej statek jest doładowywany i zapytała, czy może zabrać mnie na kolację.

I oto znalazłem się, na skutek absolutnie bezprecedensowego pogwałcenia regulaminu, w posiadaniu przepustki na trzy godziny.

Stara, sekretna broń zastosowana przez Carmen okazała się tak skuteczna, że nie tylko cudownie spędziłem czas, ale też wzrósł niebotycznie mój prestiż wśród kolegów.

Jedynym przedmiotem teoretycznym, któremu pragnę poświęcić trochę miejsca, była historia i filozofia moralności.

Byłem zdziwiony znajdując ten przedmiot w rozkładzie zajęć. Doszedłem do wniosku, że wykłady są powtórzeniem tych ze szkoły, a więc nie będę się przemęczał i odsapnę nieco. Myliłem się jednak. Wprawdzie po zakończeniu kursu nie było egzaminu na stopień, ale trzeba było wypełnić różne kwestionariusze, odpowiedzieć na mnóstwo pytań i najważniejsze — otrzymać opinię instruktora, czy w ogóle nadajesz się na oficera.

Historia i filozofia moralności działała jak bomba z opóźnionym zapłonem. Budziłem się w środku nocy i myślałem: co on przez to chciał powiedzieć? I nic tu nie pomagały wykłady z gimnazjum. Wtedy po prostu nie rozumiałem, o czym pułkownik Dubois mówił. Uważałem za idiotyzm zaliczać te wykłady do nauk ścisłych — cóż mogły mieć wspólnego z fizyką albo chemią? Słuchałem ich z pewną uwagą tylko dlatego, że argumentacja była interesująca. Później, gdy już zdecydowałem się walczyć, pojąłem, że pan Dubois próbował mi właśnie wyjaśnić, dlaczego mam walczyć.

No więc dlaczego powinienem walczyć?

— Panie Rico! — zapytał kiedyś major Reid prowadzący wykłady. — Czy tysiąc zatrzymanych w niewoli jeńców jest wystarczającym powodem do podjęcia lub wznowienia wojny? Proszę nie zapominać, że w wojnie zginą niemal na pewno miliony niewinnych ludzi.

Nie zawahałem się ani chwili.

— Tak, proszę pana! Jest więcej niż wystarczającym powodem.

— Więcej niż wystarczającym. Bardzo dobrze. A czy jeden jeńiec nie zwolniony przez wroga może być wystarczającym powodem do wszczęcia lub wznowienia wojny?

Zawahałem się. Znałem odpowiedź P.Z. — ale nie sądziłem, by takiej odpowiedzi żądał. Powiedział ostro:

— No prędej, prędej, mój panie! Mamy górną granicę — tysiąc. Pan ma określić dalszą. Czy nie byłoby przestępstwem narażać cały kraj, dwa kraje w istocie, by ocalić jednego człowieka? Tym bardziej że być może on wcale na to nie zasługuje? Albo mógł tymczasem umrzeć? Tysiące ludzi ginie każdego dnia w wypadkach... czemu więc zastanawiać się nad jednym? Proszę odpowiadać: tak albo nie! Trzyma pan całą klasę!

Zirytował mnie. Dałem mu odpowiedź szeregowca-piechura.

— Tak, proszę pana!

— Co tak?

— Nie ma znaczenia, czy chodzi o tysiąc, czy o jednego. Trzeba walczyć.

— Aha! Liczba jeńców jest nieważna. Dobrze. Proszę teraz udowodnić swoje stanowisko.

Zatkało mnie. Wiedziałem, że odpowiedź jest właściwa. Ale nie wiedziałem dlaczego. A on mnie popędział.

— Proszę, niech pan mówi, panie Rico. To jest wiedza ścisła, musi pan przeprowadzić matematyczny dowód.

A może już dostatecznie wyczerpał pan swój mózg jak na jeden dzień? Proszę przynieść jutro pisemną odpowiedź na moje pytanie. Ma to być logiczny wywód. A teraz pan Salomon — wywołał następnego. — Czy może mi pan podać powód, nie historyczny ani teoretyczny, ale praktyczny, dlaczego prawo głosu przysługuje dzisiaj tylko weteranom zwolnionym ze służby?

— Och, ponieważ są to ludzie wybrani. Inteligentniejsi.

— Horrendalne!

— Słucham?

— Czy to za długie dla pana słowo? Twierdzę, iż jest to idiotyczne przekonanie. Wojskowi wcale nie są bystrzejsi od cywilów. W wielu wypadkach cywile odznaczają się większą inteligencją. Ale uczeni bywają ludźmi tak egocentrycznymi, że brak im odpowiedzialności społecznej. Dałem panu wskazówkę, czy ją pan dostrzega?

Sally odpowiedział:

— Och, wojskowi są zdyscyplinowani. Major Reid starał się nie tracić cierpliwości.

— Bardzo mi przykro, ale teoria ta, aczkolwiek nęcąca, nie jest oparta na faktach. Ani panu, ani mnie nie wolno głosować, dopóki pozostajemy w służbie czynnej, a nie zostało sprawdzone, czy dyscyplina wojskowa wyrabia w człowieku samodyscyplinę na przyszłość. — Major Reid uśmiechnął się. — Zadałem panu podchwytliwe pytanie. Przyczyną trwania naszego systemu jest jego zadowalające działanie. Wielu narzeka, ale nikt się nie buntuje. Panuje największa w historii wolność osobista, podatki są niskie, standard życia na tyle wysoki, na ile pozwala poziom produkcji, przestępczość spada. Dlaczego? Nie dlatego, że głosującymi są ludzie mądrzejsi, ten argument już obaliliśmy.

Przerwał, a po chwili dodał:

— Ponieważ dość już mamy błędnych przypuszczeń, powiem jasno: w naszym systemie każda osoba, zarówno głosująca, jak i piastująca urzędy, dowiodła swoją ochotniczą i ciężką służbą, że dobro grupy społecznej stawia wyżej niż własne korzyści!

Major Reid zatrzymał się, stuknął w kopertę staroświeckiego zegarka, koperta odskoczyła, a on spojrzał na wskazówki.

— Czas wykładu kończy się, a mamy jeszcze określić moralne powody naszego sukcesu. Otóż głosować, to znaczy dzierżyć władzę i to władzę najwyższą, od której wszystkie inne pochodzą, także i moja władza, pozwalająca mi zatruwać wam życie raz na dzień. Korzystanie z prawa wyborczego jest egzekwowaniem przemocy, bez względu na to, czy władzę polityczną sprawuje dziesięciu ludzi, czy dziesięć milionów. Nasz wszechświat, jak wiadomo, składa się z elementów dualistycznych. Co znajduje się na przeciwnym biegunie władzy? Pan Rico!

Udało mi się. Zadał pytanie, na które potrafiłem odpowiedzieć.

— Odpowiedzialność, panie wykładowco.

— Brawo. Zarówno z powodów praktycznych, jak i matematycznie sprawdzonych przyczyn moralnych władza i odpowiedzialność muszą się równoważyć. Prawo do głosowania jest prawem najwyższym. Dlatego też musimy mieć pewność, że wszyscy, którzy je dzierżą, godzą się na podjęcie także najwyższej społecznej odpowiedzialności. Żądamy, aby każda osoba, która pragnie sprawować władzę, narażała swe własne życie w imię dobra państwa. W ten sposób najwyższa odpowiedzialność jest zrównoważona najwyższym przywilejem. Sytuacja stabilna i doskonała.

Major Reid nie pozwalał nam leniuchować...

Przed zakończeniem szkoły każdy z nas musiał odbyć służbę na statku kosmicznym pod doświadczonym okiem oficera bojowego.

Był to rodzaj egzaminu końcowego — twój instruktor pokładowy mógł zdecydować, że się nie nadajesz. Mogłeś oczywiście odwołać się do dowództwa, ale nie słyszałem, aby ktoś się na to odważył. Kadeci albo wracali ze statku z plusem, albo nie oglądaliśmy ich więcej na oczy.

Cały czas byliśmy w pogotowiu, worki żołnierskie spakowane — kiedyś, w czasie obiadu, powołano wszystkich oficerów-kadetów z mojej kompanii.

Po dwóch dniach przyszła moja kolej. Szedłem zameldować się u komendanta z workiem na ramieniu i radością w sercu. Miałem już dość ślęczenia nad książkami i kompromitowania się podczas odpowiedzi w klasie. Parę tygodni w zgranej kompanii na statku bojowym, tego właśnie Johnnie potrzebował!

W komendanturze było jeszcze dwóch kadetów — Hassan i Byrd. Wprowadzono nas do Świętego Przybytku. Komendant siedział w fotelu na kółkach — w pozycji stojącej widywaliśmy go tylko na inspekcji i defiladzie. Przypuszczam, że chodzenie musiało mu sprawiać ból.

Pułkownik Nielssen, bo to był on, podniósł wzrok i rzekł:

— Dzień dobry panom, proszę, rozgośćcie się. Usiadłem, ale nie czułem się gościem. Przesunął się do termosu z kawą i wyjął cztery filiżanki. Nie miałem ochoty na kawę, ale czy może kadet odmówić komendantowi? Umoczył usta.

— Mam dla panów rozkazy — oznajmił — oraz tymczasowe przydziały. Chciałbym mieć pewność, że panowie rozumieją swój status.

Już nam to kładziono do głowy. Mieliśmy być oficerami na tyle, na ile to było potrzebne, by nas nauczyć i wypróbować. Nadliczbowi, czasowi i na próbę. Po powrocie będziemy znów kadetami i każdy oficer będzie mógł nas zwymyślać i postawić do raportu.

Mieliśmy zostać kadetami-podporucznikami, czyli tymczasowymi podporucznikami — ranga tak samo potrzebna jak nogi rybie. Wetknięto nas pomiędzy sierżantów a prawdziwych oficerów, ale jeśli zdarzyło się, że ktoś zasalutował kadetowi-podporucznikowi, to pewnie tylko w zupełnych ciemnościach.

— Wasz patent oficerski określa was jako kadeta-podporucznika — kontynuował — ale pobory pozostają bez zmiany i nie przysługuje wam też żaden tytuł wojskowy. Jedyna zmiana to mała gwiazdka na naramienniku. Podlegacie w dalszym ciągu rygorom szkolenia, bowiem nie zdecydowano jeszcze, czy zdolni jesteście pełnić funkcję oficera. — Pułkownik uśmiechnął się. — Dlaczego więc ta nazwa kadet-podporucznik?

Sam się zastanawiałem. Po co te hece z awansami, skoro żadnych awansów nie ma?

— Jak pan sądzi, panie Byrd? — spytał komendant.

— Ach... aby włączyć nas do zespołu oficerów dowodzących, panie pułkowniku.

— No właśnie — komendant wyprostował się. — To będzie Chwila Prawdy, panowie. Po eliminacjach została was niewielka grupa. Macie przed sobą jeszcze jedną najważniejszą próbę. Musicie wykazać, że posiadacie to nieokreślone coś, co w bitwie odróżnia dowódcę... od oficera bez prawdziwego powołania. Możecie tego dowieść na polu bitwy. Panowie! — zapytał po chwili. — Czy jesteście gotowi złożyć przysięgę?

Nastąpiło milczenie, a potem Hassan odrzekł zdecydowanie:

— Tak, panie pułkowniku. — Birdie i ja zawtórowaliśmy jak echo.

Pułkownik zmarszczył brwi.

— No dobrze. Proszę wstać i podnieść prawą rękę. Zerwaliśmy się na nogi. Po trzydziestu sekundach byliśmy oficerami — nadliczbowymi, czasowymi i na próbę.

Pomyślałem, że da nam teraz gwiazdki na naramienniki i puści nas. Tych gwiazdek nie musieliśmy zdobywać, były one taką samą pożyczką jak ten tymczasowy awans, który reprezentowały.

On jednak usadowił się z powrotem w fotelu i wyglądał nieomal po ludzku.

— Słuchajcie, chłopcy — powiedział — uprzedzam was, że może być okropnie. Martwcie się na zapas. Planujcie każde posunięcie, które należy podjąć, by uniknąć najgorszych okoliczności, jakie mogą się zdarzyć. Musicie mieć pełną świadomość, że wasze życie należy do waszych żołnierzy i nie możecie go narażać w samobójczym gonieniu za sławą... Ale też nie możecie go oszczędzać, jeśli zajdzie potrzeba. Teraz, przed zrzutem, możecie się martwić i zagryzać. W obliczu niebezpieczeństwa musicie jednak zachować kamienny spokój. — Przerwał i przyjrzał się nam uważnie. — I jeszcze jedno — dodał. — Czy jest coś, co może was ocalić, co może wam pomóc, jeśli ciężar odpowiedzialności okaże się nie do udźwignięcia? Kto powie?

Nikt nie odpowiedział.

— No, śmiało! Nie jesteście rekrutami. Pan Hassan!

— Rada sierżanta, panie pułkowniku — powiedział z namysłem.

— Naturalnie. Jest od was starszy, bardziej doświadczony i na pewno zna swój odział lepiej niż wy. Ponieważ nie ciąży na nim ta okropna, paraliżująca odpowiedzialność komenderowania, zdolny jest także myśleć jaśniej niż wy. Pytajcie go o radę. To nie zmniejszy jego szacunku dla was. Gdybyście nie szukali jego rady, uznałby was za głup-

ców i zarozumiałców. I miałyby rację. Nie musicie zawsze stosować się do tego, co mówi. Czasem jego słowa naprowadzą was na nowy pomysł, zainicjują inne rozwiązanie: do was należy decyzja i wydanie rozkazu. Jest tylko jedna, jedyna rzecz, która może przerazić dobrego sierżanta — jeśli uzna, że jego zwierzchnik jest niezdecydowany. Nie było i nie ma jednostki, w której oficerowie i żołnierze byłiby bardziej wzajemnie od siebie zależni, jak to jest w Piechocie Zmechanizowanej. A sierżanci są spoiwem łączącym nas razem. Nigdy o tym nie zapominajcie.

Komendant podjechał na fotelu do szafki koło biurka. Wyciągnął pudełko i otworzył.

— Pan Hassan! Te gwiazdki nosił kapitan Terence O’Kelly w czasie swego ćwiczebnego lotu. Chce je pan nosić?

— Tak jest, panie pułkowniku!

— Proszę podejść. — Pułkownik Nielssen przypiął mu je i powiedział: — Oby nosił je pan tak godnie jak on... ale proszę przynieść je z powrotem. Rozumie pan?

— Tak jest, panie pułkowniku. Postaram się.

— Jestem o tym przekonany. Aerobus już czeka na pana na dachu. Pańska rakietka pokładowa startuje za dwadzieścia osiem minut. Wypełnić rozkaz!

Hassan zaszalutował i odszedł. Komendant odwrócił się i wziął następne pudełko.

— Panie Byrd, czy jest pan przesądny?

— Nie, panie pułkowniku.

— Naprawdę? Bo ja trochę. W takim razie nie będzie pan miał nic przeciwko noszeniu gwiazdek, które należały kolejno do pięciu oficerów zabitych w akcji?

Birdie leciutko się zawahał.

— Nie, panie pułkowniku.

— Dobrze. Proszę podejść. Gwiazdkę z brunatną plamą należy nosić na lewym ramieniu, i proszę nie starać się jej wyczyścić! Niech pan tylko dba, by na drugiej nie powstała taka sama plama. Chyba że byłoby to konieczne. Tutaj jest lista tych, co nosili je poprzednio. Ma pan trzydzieści minut do odlotu aerobusu. Niech pan pobiegnie do Domu Pamięci Narodowej i sięgnie do dokumentów.

— Tak jest, panie pułkowniku.

— Wykonać rozkaz.

Zwrócił się do mnie i popatrzył mi w oczy. Potem odezwał się:

— Panie Rico, otrzymałem list od jednego z pańskich nauczycieli, oficera w stanie spoczynku. Prosił, aby przydzielono panu te gwiazdki, które on nosił będąc kadetem-podporucznikiem. Przykro mi było, że musiałem odmówić.

Sprawiło mi przyjemność, że pułkownik Dubois wciąż się mną interesuje.

— Bo nie mogę spełnić jego prośby! Gwiazdki te wydałem dwa lata temu... i nie wróciły. Hmm... — Wziął pudełko i spojrział na mnie. — Dostanie pan nową parę. Metal nie jest ważny, ważna jest prośba pańskiego wykładowcy.

— Tak jest, panie pułkowniku.

— Albo — trochę ociągając się wyjął inne pudełko — mógłby pan dostać te. Były noszone pięć razy... Czterech ostatnich kandydatów nie sprawdziło się, nic niehonorowego, ale pieskie szczęście. Chciałby pan przełamać tego pecha? Żeby stały się to szczęśliwe gwiazdki?

Wolałbym raczej popieścić się z rekinem. Ale odpowiedziałem:

— Tak jest, panie pułkowniku. Spróbuję.

— Doskonale. — I przypiął mi je. — Dziękuję, panie Rico. Widzi pan, ja pierwszy je nosiłem... i byłbym ogromnie rad, gdyby wróciły bez ciężającej na nich złej sławy. Życzę panu powodzenia i dyplomu.

Poczułem, że urosłem.

— Postaram się, panie pułkowniku.

— Wiem. Może się pan teraz zameldować, zgodnie z rozkazem. Ten sam aerobus zabiera pana i Byrda. Jeszcze chwileczkę... czy ma pan w worku książki do matematyki?

— Co takiego? Nie, panie pułkowniku.

— Proszę je zabrać. Kontroler bagażu na statku został zawiadomiony, że pański worek będzie miał nadwagę.

Zasalutowałem i odmaszerowałem. Na wzmiankę o matematyce znów skuliłem się do dawnych rozmiarów.

Książki do matematyki leżały na moim pulpicie związane razem, a za sznurek wtknięta była kartka z codziennym przydziałem materiału do przerobienia.

Pułkownik Nielssen wszystko potrafił z góry zaplanować — wiedzieliśmy zresztą o tym.

Birdie czekał na dachu. Rzucił okiem na książki i uśmiechnął się.

— Okropność. Ale cóż, jak będziemy na tym samym statku, to cię przepytam. Jaki statek?

— Tours.

— Szkoda, ja mam Moskwę.

Wsiedliśmy, zamknąłem drzwi i wóz ruszył. Birdie dodał:

— Mogło być gorzej. Hassan zabrał nie tylko matematykę, ale jeszcze dwa inne przedmioty.

Birdie odznaczał się rzadkim połączeniem wybitnego intelektu, solidnej wiedzy, zdrowego rozsądku oraz wielkiej odwagi — nosił w plecaku buławę marszałkowską. Przewidywaliśmy, że nim dojdzie do trzydziestki, będzie dowódcą brygady, co w czasie wojny było zupełnie możliwe.

Moje ambicje nie sięgały tak daleko.

— Byłby wstyd i hańba — powiedziałem — gdyby Hassan oblał — myśląc jednocześnie, że byłby to straszny wstyd i okropna hańba, gdybym ja oblał.

— Nie obleje — odparł Birdie pełen dobrej myśli. — Przepchną go, nawet gdyby musieli zastosować hipnozę i karmić go przez rurkę. A zresztą — dodał — Hassan może oblać, a i tak zostanie awansowany.

— Jak to?

— Nie wiedziałeś? Hassan ma rangę porucznika — przydział połowy, naturalnie. Po prostu wróci na swoje miejsce, gdyby zarył egzamin. Popatrz do regulaminu.

Rzeczywiście, była to prawda.

— Birdie, a jaką ty masz stałą rangę? Uśmiechnął się.

— Zwykły szeregowy — nie mogę sobie pozwolić na żadne nawalanki!

Prychnąłem.

— Bzdura! — Zdumiało mnie, że nie był nawet kapralem. Taki zdolny i wykształcony chłopak jak Birdie natychmiast zostanie oficerem, gdy tylko sprawdzi się w walce... A ponieważ toczy się wojna, szybko nadarzy się okazja.

Birdie pokazał wszystkie zęby w uśmiechu.

— Zobaczymy.

— Na pewno dostaniesz dyplom. Hassan i ja możemy się martwić, ale nie ty.

Otworzył drzwi i zaraz zawołał:

— Ojej! Mój sygnał? Już mnie wzywają. Do zobaczenia!

— Do zobaczenia, Birdie.

Ale już go nie zobaczyliśmy i nie dostał promocji.

Po dwóch tygodniach został mianowany oficerem, a jego gwiazdki wróciły z odznaczeniem Zranionego Lwa — nadanym pośmiertnie.

13

Cóż wy, młodzieniaszki, myślicie, że ten zapomniany przez Boga i ludzi obóz to pokój zabaw dzieciennych? Poczekaście, to zobaczycie!

— Uwaga przypisywana greckiemu dowódcy, pod murami Troi, 1194 p.n.e.

Rodger Young transportuje tylko jeden oddział i jest tłoczno, a Tours przewozi sześć — i pozostaje jeszcze dużo miejsca.

Sześć naszych plutonów tworzyło dwie kompanie, C i D. Stanowiły one trzon batalionu, którego komendant, major Xera, znajdował się z kompaniami A i B na siostrzanym statku — Plaża Normandzka — oddalonym o jakieś pół nieba. Dowodził nami wtedy tylko, gdy cały batalion dokonywał razem zrzutu.

Na Tours szefem był kapitan Blackstone — dowódca kompanii D, czyli Lampartów Blackiego.

Powinienem służyć pod porucznikiem Silva, ale poszedł do szpitala tego dnia, kiedy się zameldowałem. To wcale nie znaczyło, że otrzymam jego pluton.

Kapitan Blackstone wyznaczył mnie na dowódcę pierwszego oddziału Lampartów. Tak było w schemacie organizacyjnym, ale oddziałem miał kierować sam Blackie i oczywiście sierżant. Dopóki będę zachowywać się grzecznie i wszystko będzie grało, mogą mi nawet pozwolić uczestniczyć w zrzucie w charakterze dowódcy oddziału. Wystarczy jednak słowo sierżanta, a przykręcą mi śrubę.

To mi odpowiadało. Był to mój oddział, jak długo umiałem sobie poradzić. Gdybym nie umiał, to mnie odsuną.

Traktowałem swą pracę z całą powagą. Niestety, nie nauczyłem się jeszcze przekazywać władzy i przez jakiś tydzień spędzałem wśród żołnierzy więcej czasu, niż było to dla oddziału korzystne.

Blackie wezwał mnie do swego prywatnego apartamentu.

— Synu, co ty, u czorta, wyrabiasz?

Odparłem sztywno, że usiłuję doprowadzić oddział do gotowości bojowej.

— Ach, tak? A osiągasz coś wręcz przeciwnego: jakbyś kij wsadził w mrowisko! Jak myślisz, po jakiego diabła dałem ci najlepszego w całej Armii sierżanta? Gdy wrócisz do swojej kajuty, powieś się na haku i nie śmiej się ruszyć, póki nie usłyszysz rozkazu: Przygotować się do działania! Wtedy on przekaże ci ten oddział zgrany jak kapelę.

— Jak pan kapitan sobie życzy — zgodziłem się kwaśno.

— I jeszcze jedno. Nie znoszę, żeby oficer zachowywał się jak skonfundowany kadet. Przestań mówić mi pan. I nie musisz stawać na baczność i trzaskać obcasami. Oficerowie powinni zachowywać się swobodnie, synu.

— Tak jest, panie kapitanie.

— Niech to będzie ostatni raz, to panie kapitanie. To samo z salutowaniem. I nie miej takiej ponurej gęby. Uśmiechnij się!

— Tak jest, pa... Dobra.

— Już lepiej. Oprzyj się, podrap się. Ziewaj. Wszystko, bylebyś tylko nie był sztywny jak ołowiany żołnierz.

Spróbowałem... i uśmiechnąłem się głupkowato. Przełamanie zakorzenionych zwyczajów nie jest wcale tak łatwe. Kapitan Blackstone studiował mnie.

— Musisz to ćwiczyć — powiedział. — Oficer nie może być przestraszony ani napięty, bo to się udziela. A teraz powiedz mi, Johnnie, co jest potrzebne twojemu oddziałowi. Nie myśląc oczywiście o drobiazgach, nie interesuje mnie, czy żołnierz ma przepisać liczbę skarpetek w szafce.

Myślałem z pośpiechem. Ach. Hmm...

— A może przypadkiem wie pan, że porucznik Silva zamierza awansować Brumby'ego na sierżanta?

— Przypadkiem wiem. A jaka jest twoja opinia? — odpowiedział.

— No... przez ostatnie dwa miesiące był dowódcą pododdziału. Jego sprawność została oceniona pozytywnie.

— Pytam o twoją rekomendację, mój panie.

— Ja, pa... Przepraszam. Nigdy nie widziałem go w akcji, trudno mi więc mieć jasne zdanie. Każdy potrafi odgrywać żołnierza w koszarach. Według mnie, zbyt długo już pełnił obowiązki sierżanta bez oficjalnej nominacji. Powinien więc dostać tę naszywkę, zanim dokonamy zrzutu, albo należałoby go przenieść, gdy wrócimy. A nawet wcześniej, jeśli nadarzy się okazja transferu w przestrzeni.

Blackie chrząknął.

— Wspaniałomyślnie rozporządzasz się moimi Lampartami — jak na tymczasowego.

Zrobiłem się czerwony.

— Jest to jednak delikatna sprawa w oddziale. Brumby powinien być awansowany lub przeniesiony. Jeśli nie może dostać tej naszywki, powinien zostać przeniesiony do

Ośrodka Uzupełnień Kadry. Wtedy nie będzie upokorzony, a jeszcze otworzy mu się możliwość awansu na sierżanta w innej jednostce.

— Doprawdy? — Blackie już nie kpił tak ostro. — Po tej mistrzowskiej analizie zechcesz może wykorzystać swe talenty do dedukcji i powiesz mi, dlaczego porucznik Silva nie przeniósł go trzy tygodnie temu, kiedy znajdowaliśmy się na orbicie Sanctuary.

Sam się nad tym zastanawiałem. Jeśli ma się kogoś przenieść, należy wykorzystać nadarżającą się okazję i zrobić to bez ostrzeżenia. Tak jest w książce. Spytałem ociągając się:

— Czy porucznik Silva był już wtedy chory?

— Nie.

Zaczynało mi się wszystko powoli układać.

— Kapitanie, stawiam wniosek o natychmiastowe awansowanie Brumby'ego.

Wzniósł brwi do góry.

— Przed chwilą chciałeś go wychrzanić, bo nic niewart...

— Och, niezupełnie. Powiedziałem: jedno albo drugie, ale nie byłem pewny które.

Teraz wiem.

— Mów dalej.

— Zakładając, że porucznik Silva nie ma innych ocen jak „doskonały” w formularzu awansowym... Wiedziałem, że jest dobry, ponieważ odziedziczyłem dobry oddział. Dobry oficer może kogoś nie awansować, no, och, z wielu powodów, przy czym nie musi formułować swoich zastrzeżeń na papierze. W tym szczególnym przypadku, jeśli nie mógł wysunąć go do awansu na sierżanta, to nie trzymałby go też w swoim plutonie i pozbyłby go się przy pierwszej okazji. Ale nie zrobił tego. Stąd wiem, że miał zamiar awansować Brumby'ego. Nie pojmuję jednak, czemu nie przepchał go trzy tygodnie temu, żeby Brumby miał już te swoje naszywki idąc na urlop.

Kapitan Blackstone wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— A więc nie cieszę się u ciebie opinią sprawnie działającego oficera?

— Jak to... nie rozumiem.

— Mniejsza o to. Dowiodłeś, kto zabił drozda, ale wcale nie oczekuję po niedowarżonym kadecie, żeby znał wszystkie zakulisowe matactwa. Słuchaj jednak i ucz się, synu. Jak długo toczy się wojna, nigdy nikogo nie awansuj przed powrotem do Bazy.

— Och... a to czemu, kapitanie?

— Wspomniałeś o wysłaniu Brumby'ego do Ośrodka Uzupełnień, jeśli nie miał być awansowany. Ale tam właśnie poszedłby, gdyby dostał ten awans trzy tygodnie temu. Nie zdajesz sobie sprawy, jak oni zabiegają o podoficerów.

Wyjął z szuflady dwie kartki papieru.

— Proszę.

Pierwsza — to był list od Silvy do kapitana Blackie, rekomendujący Brumby'ego na sierżanta. Nosił datę sprzed miesiąca.

Druga — to nominacja Brumby'ego, z datą następnego dnia po opuszczeniu przez nas Sanctuary.

— Odpowiada ci? — spytał.

— Och, tak, naturalnie!

— Czekałem, aż mi wspomnisz o tej delikatnej sprawie i powiesz, co należy zrobić. Cieszę się, że tak to wszystko wykoncypowałeś, ale byłbym bardziej rad, gdybyś okazał się doświadczonym już oficerem i wyciągnął odpowiednie wnioski ze schematu organizacyjnego i raportów o przebiegu służby. No, ale tak właśnie zdobywa się doświadczenie. A teraz posłuchaj, co masz zrobić. Napiszesz mi list, taki jak Silvy, z wczorajszą datą. Powiesz swemu sierżantowi, żeby zawiadomił Brumby'ego, że wysunąłeś go do awansu. Nie wspominaj jednak, że Silva też to zrobił. Nie wiedziałeś o tym, gdy go rekomendowałeś, to już tak to zostawmy. Jak będę zaprzysięgał Brumby'ego, to mu powiem, że obaj jego zwierzchnicy, niezależnie, wysunęli go do awansu. Będzie zadowolony. No dobrze, czy coś jeszcze?

— Martwię się, kapitanie, kombinezonami.

— Ja również. Wszystkie oddziały mają ten problem.

— Nie wiem, jak jest w innych oddziałach, ale u nas trzeba dopasować kombinezony pięciu rekrutom, cztery zostały zniszczone i dostaliśmy nowe, dwa odrzucono po kontroli w ubiegłym tygodniu i trzeba było wziąć inne z magazynu. Nie mam pojęcia, jak Cunha i Navarre zdołają je przygotować i dokonać przeglądu pozostałych, żeby wszystko było gotowe na czas.

— Gotowe na czas? Nawet gdy nie wynikną dodatkowe kłopoty...

— Tak, kapitanie. Ale i tak mamy tylko dwieście osiemdziesiąt sześć roboczogodzin na uruchomienie i dopasowanie oraz sto trzydzieści godzin na zwykły przegląd. A przecież zawsze trwa to dłużej.

— No, a jak myślisz, co tu da się zrobić? Możesz mieć pomoc z innych oddziałów, jeśli skończą swoje przed czasem. W co wątpię. I nie licz na wsparcie od Rosomaków, już prędzej my będziemy musieli im pomóc.

— Hmm... nie wiem, kapitanie, czy ci się to spodoba, skoro odsunąłeś mnie od szeregowców, ale kiedy byłem kapralem, wyznaczono mnie do pomocy sierżantowi w Składnicy Uzbrojenia i Sprzętu Pancernego.

— Mów dalej.

— Nie jestem wykwalifikowanym mechanikiem. Ale na pomocnika doskonale się nadaję. I gdyby mi było wolno, no, potrafię uruchamiać nowe kombinezony i przeprowadzać kontrolę... Cunha i Navarre mieliby więcej czasu na nieprzewidziane kłopoty.

Blackie przechylił się na krześle i uśmiechnął.

— Nieraz wgłębiałem się w przepisy regulaminowe... i nigdzie nie jest powiedziane, że oficer musi mieć czyste ręce. Wyfasuj więc sobie ubranie robocze, bo po co brudzić

mundur, tak samo jak łapy. Idź już i powiedz sierżantowi, że wydałem rozkaz, aby zajął się wszystkim, bo ty teraz poświęcasz swój czas składnicy uzbrojenia. A gdyby miał jakieś problemy, to niech cię szuka w składnicy. Nie mów mu, że omawiałeś to ze mną, wydaj po prostu rozkazy. Zrozumiałeś?

— Tak jest, pa... Tak, rozumiem.

— No to bierz się do roboty. Jakbyś spotkał w kasynie Rusty'ego, to powiedz, niech tu do mnie przyczłapie.

Nigdy w życiu nie miałem tyle roboty, nawet w obozie rekruckim, co w ciągu następnym dwóch tygodni.

Dziesięć godzin w składnicy uzbrojenia, trzy godziny matematyki, posiłki — półtorej godziny, zajęcia osobiste — godzina, służbowe zawracanie głowy — godzina, kursy i szkolenie — dwie godziny, spanie — osiem godzin... Razem — dwadzieścia sześć i pół godziny, a statek wyszedł już poza dwudziestopięciogodziną dobę panującą na Sanctuary i weszliśmy znów w uniwersalny czas Greenwich.

Jedyne oszczędności mogłem zrobić na spaniu.

Któregoś dnia prawie o pierwszej w nocy, gdy ślęczałem w kasynie nad matematyką, przyszedł kapitan Blackstone. Powiedziałem:

— Dobry wieczór, kapitanie.

— Dzień dobry, chciałeś powiedzieć. Co ci, u licha, dolega, synu? Bezsenność?

— Och, niezupełnie.

— Czy twój sierżant nie może zająć się tą papierkową robotą? — Wziął parę kartek z leżącego na stole stosu. — Ach, rozumiem. Idź spać.

— Ależ kapitanie...

— Siadaj, Johnnie, już dawno miałem zamiar z tobą pomówić. Wieczorami nie widzę cię w kasynie. Co zajrzę do twego pokoju, siedzisz przy biurku. Potem, gdy twój kumpel idzie spać, przenosisz się tutaj.

— No, jakoś nigdy nie mogę nadążyć.

— Nikt nie może. Jak idzie robota w zbrojowni?

— Zupełnie dobrze. Myślę, że damy radę.

— To mnie cieszy. Słuchaj, synu, musisz postarać się o zachowanie we wszystkim odpowiednich proporcji. Masz dwa zasadnicze obowiązki. Pierwszy, to dopilnowanie, by było gotowe wyposażenie twego oddziału, i to robisz. O sam oddział nie musisz się martwić, już ci to mówiłem. Drugi, równie ważny, to żebyś sam był gotów do walki. A to zaniedbujesz.

— Będę gotów, kapitanie.

— Nonsens. Brak ci ćwiczeń fizycznych i snu. Czy tak należy przygotowywać się do rzutu, synu? Kiedy będziesz dowodził, musisz być sprawny i przytomny. Od tej chwili

będziesz ćwiczyć każdego dnia od szesnastej trzydzieści do osiemnastej. O dwudziestej trzeciej, gdy zgaśnie światło, masz leżeć w łóżku, a gdybyś przez dwie noce z rzędu w ciągu piętnastu minut nie mógł zasnąć, zameldujesz się u doktora. To rozkaz.

— Tak jest. — Czułem, że ziemia usuwa mi się spod nóg... — Nie wiem, jak zdołam wszystko zrobić i iść spać o dwudziestej trzeciej.

— No to nie zrobisz. Jak już powiedziałem, synu, musisz zachować właściwe proporcje. Powiedz mi, jak spędzasz czas?

Powiedziałem. Skinął głową.

— Tak też myślałem. — Wziął moje zadanie domowe z matematyki i rzucił mi pod nos. — Na przykład to. Oczywiście, musisz nad tym pracować tak ciężko, zanim podejmiemy akcję?

— Myślałem...

— Właśnie że nic nie myślałeś. Istnieją cztery możliwości, a tylko jedna wymaga, żebyś teraz odrabiał lekcje. Pierwsza możliwość — możesz zginąć w walce. Druga — możesz być ranny i pójdziesz na rentę z odznaczeniem. Trzecia — możesz ze wszystkiego wyjść cało... ale obleje cię egzaminator z przedmiotów wojskowych i przebiegu służby, o co dopraszasz się swoim postępowaniem. Jakże mógłbym pozwolić ci uczestniczyć w rzucie, skoro masz oczy czerwone z braku snu, a mięśnie sflaczały od wysiadywania stołków? Czwarta możliwość to ta, że weźmiesz się w garść... i w tym wypadku pozwolę ci dowodzić oddziałem. Założmy, że tak się stanie i wykażesz się największym męstwem, od czasu kiedy Achilles zabił Hectora, i dam ci promocję. W tym wypadku i tylko w tym jednym potrzebna ci będzie znajomość matematyki. Zostaw więc odrabianie zadań na drogę powrotną do domu, o ile w ogóle wrócimy. A teraz idź spać.

Po tygodniu przysłano nam ocenę sytuacji przed lotem bojowym, plan bitwy i wyznaczono zadania. Litania słów, długa jak powieść. I powiedziano nam, że nie będziemy dokonywać zrzutu.

Wcale to nie znaczyło, że mamy odstąpić od operacji, ale postanowiono, że zjedziemy, jak džentelmeni, na miękkich poduszkach w rakiecie pokładowej. Mogliśmy sobie na to pozwolić, bowiem Federacja opanowała już powierzchnię planety P. Druga, Trzecia i Piąta Dywizja Piechoty Zmechanizowanej drogo za to zapłaciły.

Nasza operacja miała być zaskoczeniem. Brzmi to niewiarygodnie — nazywać zaskoczeniem bitwę, w której uczestniczą setki statków. Tym bardziej że Flota Kosmiczna i wiele jednostek piechoty niepokoiły Pluskwo-Pajęczaki w przestrzeni wielu lat świetlnych, by przeszkodzić im w wysłaniu posiłków na planetę P.

Naczelne Dowództwo wiedziało jednak, co robi. Ten gigantyczny atak powietrzny mógł przesądzić, kto wygra wojnę.

Musieliśmy lepiej poznać psychologię Pluskwo-Pajęczaków. Czy rzeczywiście konieczne jest usunięcie wszystkich Pluskwo-Pajęczaków z całej Galaktyki? A może wy-

starczy dać im zdrową nauzkę i narzucić pokój? Nie wiedzieliśmy. Rozumieliśmy je nie więcej niż termyty. By poznać ich psychologię, musieliśmy w jakiś sposób porozumieć się z nimi, dowiedzieć się, dlaczego walczą i na jakich warunkach gotowi są zawrzeć pokój. A więc Korpus Wojny Psychologicznej musiał mieć jeńców.

Robotników byłoby łatwo ująć. Ale robotnik Pluskwo-Pajęczak to niewiele więcej niż ożywiona maszyna. Wojownika można schwytać, jeśli popali mu się członki, tak że stanie się bezradny... ale kiedy nie otrzymuje rozkazów, jest równie głupi jak robotnik.

Żeby uzyskać odpowiedź na pytanie, dlaczego Pluskwo-Pajęczaki walczą, należałoby przebadać członków kasty mózgowców.

Jak dotychczas nie złapaliśmy żywego i sprawnego Pluskwo-Pajęczaka. Albo likwidowaliśmy całe ich kolonie na powierzchni, albo ochotnicy schodzili do ich jam i już stamtąd nie wychodzili. Straciliśmy w ten sposób wielu dzielnych ludzi.

Od naszych aliantów dowiedzieliśmy się, że wielu żołnierzy zostało wziętych żywcem do niewoli. Ci z Wywiadu twierdzili, że jeńców transportują zawsze na Klendathu. Pluskwo-Pajęczaki ciekawi byli nas tak samo jak my ich.

Chcieliśmy tych jeńców uwolnić.

W świetle bezlitosnej logiki panującej we wszechświecie, może to wydawać się słabością. I jakaś rasa, która nie troszczy się o ratowanie jednostki, może wykorzystać naszą ludzką słabość, aby nas zniszczyć. Skórniaki posiadają tę cechę w minimalnym stopniu, a Pluskwo-Pajęczaki chyba wcale, nikt nigdy nie widział, żeby jakiś Pluskwo-Pajęczak przyszedł z pomocą rannemu. W walce współdziałają doskonale, ale gdy któryś przestaje być użyteczny, natychmiast go opuszczają.

Nasze zachowanie jest zupełnie inne. Słabość to czy siła — Pluskwo-Pajęczaki jej nie posiadają i nie ma na razie widoków na wymianę żołnierza.

Jednakże w poliarchii rojowiska niektóre kasty są bardzo cenne, tak przynajmniej utrzymywali nasi wojskowi psychologowie. Gdybyśmy zdołali pochwycić żywe i nie uszkodzone Pluskwo-Pajęczaki mózgowce, to może udałoby się dokonać korzystnej wymiany.

A gdybyśmy tak pojмали królową!

Trzecim celem operacji Rodzina Królewska było rozwinięcie metod walki: jak schodzić do jam, w jaki sposób wrogów stamtąd wyciągnąć, jak zwyciężyć bez zastosowania broni totalnej.

Piechur za wojownika — moglibyśmy pokonać ich na powierzchni; statek za statek — nasza Flota Kosmiczna była lepsza, ale do tej pory nie mieliśmy szczęścia usiłując wdrzeć się do ich jam. Planeta P miała być poligonem, gdzie mieliśmy nauczyć się, jak ich wygrzebywać.

Wiedzieliśmy, że operacja Rodzina Królewska była podstawą działań prowadzących do wyzwolenia naszych kolegów i wiedzieliśmy również, że na planecie P nie było żadnych ludzi w niewoli, ponieważ nigdy na tę planetę nie dokonano napadu.

Miało to być jeszcze jedno polowanie na Pluskwo-Pajęczaki, ale przeprowadzone zmasowanymi siłami i przy wykorzystaniu najnowszych zdobyczy techniki. Mieliśmy złuszczać tę planetę jak cebulę, póki nie przekonamy się, że każdy Pluskwo-Pajęczak został wydobyty. Flota Kosmiczna bombardowała powierzchnię globu zamieniając ją w radioaktywne szkliwo. Wokół planety utrzymywano na ciasnych orbitach osłone patrolową, chroniąc nas, eskortując transporty i pilnując, by nie wymknął się żaden Pluskwo-Pajęczak.

Plan bitwy przewidywał, że Lamparty Blackiego (to znaczy my) mają poprzez pierwsze uderzenie, złuzować kompanię, która obsadziła zdobyte tereny, i zabezpieczać inne jednostki znajdujące się na tym obszarze.

Wylądowaliśmy. Wyprowadziłem oddział w pełnym uzbrojeniu. Blackie poszedł przodem, by spotkać dowódcę kompanii, którą mieliśmy złuzować, i by dokonać rozpoznania terenu. Przez podoficerski obwód komunikacyjny wydałem rozkaz:

— Cunha! Brumby! Zajmować pozycje!

— Zrozumiano, pododdział pierwszy!

— Zrozumiano, pododdział drugi!

— Dowódcy pododdziałów przejąć komendę!... Uprzedzić rekrutów, będziecie mijać Cherubinów, nie strzelać przez pomyłkę!

Przygryzłem swój osobisty obwód i powiedziałem:

— Sierżancie, macie łączność z lewym skrzydłem?

— Tak jest. Widzą mnie i widzą nas.

— Dobrze. Ale nie dostrzegam radiolatarni na zaczepie kątowym.

— Brakuje.

— Wyślij łącznika do Cunhy i do dowódcy zwiadu, niech założą nową radiolatarnię.

Chciałem pomówić z dowódcą oddziału, który luzowaliśmy, żeby bez blagi powiedział, jak wygląda sytuacja.

To, co sam zobaczyłem, wcale mi się nie podobało.

Plan bitwy przewidywał zastosowanie nowej doktryny strategicznej, która wydała mi się zatrważająca: nie zamykać tuneli Pluskwo-Pajęczaków! To proste i chyba logiczne... Pozwólmy, żeby Pluskwo-Pajęczaki wylazły. Doprowadźmy do starcia na powierzchni i pozabijajmy je. Nie wrzucajmy do ich jam granatów ani bomb z gazem — niech wciąż wychodzą. Po pewnym czasie — po dniu, dwóch, po tygodniu — jeśli rzeczywiście będziemy rozporządzać przeważającą siłą, przestaną wychodzić.

Sztab planowania oceniał, że zużyją siedemdziesiąt do dziewięćdziesięciu procent swoich wojowników, nim zrezygnują z próby przegrania nas.

Wtedy zaczniemy złuszczać poszczególne warstwy i będziemy schodzić w głąb, aby schwycić żywcem kogoś z rodziny królewskiej.

Wiedzieliśmy, jak wygląda kasta mózgowców. Widzieliśmy ich martwych (na fotografiach) i wiedzieliśmy, że nie mogą uciekać — miały zdegenerowane kończyny i rozdęte ciała, zbudowane głównie z tkanki nerwowej. Królowych nikt nigdy nie widział, ale Korpus Wojny Biologicznej sporządził szkice poglądowe. Obrzydliwe monstra, większe od konia i kompletnie nieruchome.

Plan wyglądał pięknie na papierze. Ale mnie przydzielono obszar Pierwszego Czarnego Kwadratu, wielkości 17x14 mil, który cały miał być podziurawiony otwartymi kanałami Pluskwo-Pajęczaków. Przydałyby mi się współrzędne każdej takiej jamy.

Jeśli było ich zbyt wiele... mogłem, ostatecznie, parę zakorkować i kazać chłopcom pilnować pozostałych. Szeregowiec w kombinezonie może obskoczyć wielki teren, ale obserwować może tylko jeden obiekt, nie jest przecież nadczłowiekiem.

Wysunąłem się na parę mil przed pierwszą sekcją, wzywając dowódcę oddziału Cherubinów. Żadnej odpowiedzi.

W końcu przyszła odpowiedź od mojego szefa: „Johnnie, nie hałasuj! Połącz się ze mną obwodem konferencyjnym”.

Tak zrobiłem, a Blackie kazał mi przestać szukać dowódcy Cherubinów, bo już ich nie było. Może został gdzieś przy życiu jakiś podoficer, ale połączenie zostało przerwane.

— Zapomnij o tym, co słyszałeś na odprawie przed lotem — powiedział Blackie — i oceniaj sytuację sam.

— Rozkaz, szefie! — I pognałem na oślep w kierunku radiolatarni. Przełączyłem obwód. — Sierzancie, co z tą radiolatarnią?

— Nie ma tu miejsca, żeby ją ulokować. Powstał nowy krater wielkości szóstego stopnia.

Gwizdnąłem przeciągle. W kraterze szóstego stopnia mógłby się zmieścić cały statek Tours. Jednym z kruczków, jakie Pluskwo-Pajęczaki stosowały przeciwko nam, były miny lądowe. Jeśli ktoś znajdował się blisko miejsca wybuchu, to go pochłaniała ziemia. Jeśli byłeś w powietrzu, to podmuch niszczył żyroskop i pozbawiał twój kombinezon sterowania.

Największy krater, jaki widziałem, był czwartego stopnia. Istniała teoria, że nie śmieli stosować potężniejszych eksplozji ze względu na te swoje stwory jaskiniowe.

— Ustawcie radiolatarnię kompensacyjną — powiedziałem.

— Już wykonane. Będziecie mogli odczytać sygnał biorąc namiar 35. — Mówił spokojnie, jak instruktor na wykładzie.

Znalazłem sygnał na swoim ekranie nad lewą brwią.

— Dobra. Niech sekcja Naidiego patroluje krater. Wyrównać obszary — Brumby winien zająć jeszcze cztery mile terenu.

Pomyślałem ze strapieniem, że każdy ma już do patrolowania czternaście mil kwadratowych. Jak się ich bardziej rozprzestrzeni, to wypadnie siedemnaście mil na człowieka, a Pluskwo-Pajęczak może wyleźć z dziury nie mającej nawet pięciu stóp szerokości.

Spytałem jeszcze:

— Jak gorący jest ten krater?

— Bursztynowoczerwony na obrzeżu. A wewnątrz nie byłem.

— Nie zbliżaj się. Sprawdzę później. Bursztynowoczerwony zabije człowieka nie mającego ochronnego kombinezonu, ale piechur w zbroi wytrzyma przez jakiś czas. Jeśli na obwodzie była taka wysoka radiacja, to co dopiero wewnątrz?

— Powiedz, żeby Naidi odciągnął Malana i Bjorka z powrotem do strefy bursztynowej i niech założą podsłuch ziemny. — Dwóch z moich pięciu rekrutów znajdowało się w sekcji patrolującej, a rekruci, to jak szczeniaki, wszędzie wpychają nosy. — Interesują mnie dwie rzeczy: ruch we wnętrzu krateru i hałasy na zewnątrz.

— Rozkaz. — I sierżant jeszcze dorzucił: — Czy mogę coś zaproponować?

— Ależ oczywiście. I następnym razem nie pytajcie o pozwolenie.

— Navarre może objąć dowództwo nad resztą pierwszego pododdziału. Sierżant Cunha przejmie sekcję przy kraterze i zwolni Naidiego, żeby mógł nadzorować podsłuch ziemny.

Wiedziałem, co sobie myślał. Naidi, świeżo upieczony kapral, nie dowodził jeszcze sekcją w czasie bitwy i nie bardzo nadawał się do pilnowania najniebezpieczniejszego chyba punktu w całym Pierwszym Czarnym Kwadracie. Chciał więc wycofać Naidiego z tych samych przyczyn, z jakich ja wycofałem swoich rekrutów. Sierżant należał do sztabu batalionu i miał kombinezon z dodatkowym obwodem — prywatne połączenie z kapitanem Blackstonem. Blackie prawdopodobnie podłączył się przez ten obwód i przysłuchiwał.

Sierżant był najwyraźniej przeciwny moim rozkazom i gdybym teraz nie przyjął jego propozycji, mogłem usłyszeć głos Blackiego: „Sierżancie, przejmijcie komendę. Panie Rico, jest pan zluzowany”.

Ale — do wszystkich diabłów — co to za kapral, któremu nie wolno dowodzić sekcją... A dowódca oddziału, który jest tylko potakiwaczem, musi wydawać się swemu sierżantowi kukłą w kombinezonie!

Nie zastanawiałem się nad tym, tylko tak mi przeleciało przez głowę i natychmiast odparłem:

— Nie mam na zbyciu kaprala, aby mógł niańczyć dwóch rekrutów, ani sierżanta, żeby dowodził czterema szeregowymi i jednym starszym szeregowcem.

— Ale...

— Nie przerywać. Warta nad kraterem ma być zmieniana co godzinę. Pierwszy patrol ma piorunem oczyścić teren. Dowódcy sekcji, po otrzymaniu raportu o jakiegokolwiek jamie, ustawią anteny sygnałowe, żeby dowódcy pododdziałów, sierżant i dowódca oddziału mogli je skontrolować, gdy do nich dotrą. Jeśli nie będzie ich zbyt wiele, przy każdej ustawimy posterunek. Zdecyduję później.

— Według rozkazu.

Przełączyłem się na szerszy obwód, by słyszeć, jak sierżant dawał rozkazy zmieniające pierwotny plan. Robił to sprawnie i precyzyjnie. Lepiej niż gdybym ja to robił. Nie jest łatwo dowodzić oddziałem żołnierzy w kombinezonach, rozciągniętym na przestrzeni wielu mil. Każdy rozkaz musi być dokładny, żebyś nie trafił w głowę własnego towarzysza... albo, jak w tym wypadku, żeby jakaś część terenu nie została przeczesana dwukrotnie, a inna pominięta.

Słuchałem wszystkich naraz, bo chciałem wiedzieć, o czym mówią między sobą.

Ale nic nie mówili. Kaprale odzywali się tylko wtedy, gdy trzeba było dokonać zmian w sekcjach. Gońcy meldowali o korektach w odstępach i pomiarach. Szeregowcy nie mówili w ogóle nic.

Blackie miał rację — oddział został mi przekazany zgrany jak kapela.

Wcale mnie nie potrzebowali! Mogłem z powodzeniem wrócić do domu, a oni robiliby, co do nich należy.

Może nawet lepiej...

Nie byłem pewny, czy postąpiłem słusznie, odmawiając wycofania Cunhy spod krateru. Gdyby wynikły tam kłopoty i nie zdołalibyśmy dojść na czas do tych chłopców, na nic zdałaby się wymówka, że postąpiłem zgodnie z przepisami. Śmierć zgodna z przepisami pozostaje śmiercią.

Zacząłem się zastanawiać, czy Bycze Karki mają w tej chwili zapotrzebowanie na sierżanta.

Przeważająca część Pierwszego Czarnego Kwadratu była równie płaska jak step wokół Obozu Currie, tylko jeszcze bardziej goła. Miało to tę dobrą stronę, że pozwalało dostrzec wyłazającego Pluskwo-Pajęczaka i załatwić go, zanim ciebie zobaczył.

Byliśmy rozciągnięci tak szeroko, że pomiędzy żołnierzami były odstępy czteromilowe, a przerwy między falami patrolującymi i oczyszczającymi teren wynosiły około sześciu minut. A więc każde miejsce przez trzy do czterech minut było nie obserwowane — i w tym czasie, nawet z małych jam, mogło wydostać się wielu Pluskwo-Pajęczaków. Oko radaru sięga oczywiście dalej niż oko ludzkie, ale nie widzi tak dokładnie.

Nie było jednak czasu na biadolenie, musiałem spieszyć do krateru. Starłem się uważać na to, co się działo wokół i obserwowałem obraz radarowy.

Nie dostrzegłem żadnej jamy, ale po drodze przeskoczyłem przez wyrwę, w której mogły się ukrywać te potwory. Nie zatrzymałem się jednak, a tylko podałem wspólnie sierżantowi, żeby kazał sprawdzić.

Krater był nawet większy, niż sobie wyobrażałem, liczniki wskazywały silne natężenie promieniowania. Podłuch ziemny milczał.

— Kapitanie — raportowałem Blackiemu — nie odbieramy żadnych wibracji gruntu. Zejdę do krateru i sprawdzę, czy są tam jakieś jamy.

— Młodzieńcze, trzymaj się z daleka od tego krateru.

— Ależ, kapitanie, jak tylko...

— Powiedziałem! Nie podchodź!

— Rozkaz!

Przez następne dziewięć godzin nic się nie działo. Patrol, który nie ma nic do roboty, łatwo ulega demoralizacji. Rozkazałem więc przeczesać teren w taki sposób, żeby nikt nie sprawdzał po raz drugi obszaru, w którym już był. Wszystko dobre, byle uniknąć nudy.

Potem przyjechali goście ze specjalnej jednostki — trzech oficerów eskortujących talent wyczuwacza przestrzennego. Blackie zapowiedział ich przybycie.

— Macie ich ochraniać i spełniać wszystkie ich żądania.

— Tak jest. A czego będą chcieli?

— A skąd ja mogę wiedzieć? Jeśli major Landry każe ci stanąć na głowie albo wyskoczyć ze skóry i zatańczyć, to masz to zrobić.

Byłem ciekaw, bo nigdy nie widziałem specjalnego talentu przy pracy. Major Landry i dwaj oficerowie mieli pancerze i ręczne miotacze ognia. Talent nie miał żadnej zbroi ani broni — tylko maskę tlenową. Był ubrany w dość zniszczony mundur, bez odznak, i wydawało się, że go wszystko śmiertelnie nudzi.

Po opuszczeniu samochodu zdjął maskę. Byłem przerażony.

— Majorze, powietrze tu jest gorące. Poza tym ostrzeżono nas, że...

— Uspokój się — powiedział major — On o tym wie. Zamilkłem. Talent odszedł parę kroków, zawrócił i wydał dolną wargę. Oczy miał zamknięte i wydawał się zatopiony w myślach. Potem otworzył oczy i powiedział rozdrażnionym tonem:

— Jak tu można pracować, skoro ci idioci skaczą naokoło?

Major Landry rzucił szybko:

— Wydać oddziałowi rozkaz — padnij!

Przełknąłem ślinę, chciałem argumentować — ale włączyłem obwód ogólny:

— Pierwszy oddział Lampartów — padnij i zamrzyj!

I usłyszałem echo swojego rozkazu, powtarzanego wszystkim sekcjom. Spytałem:

— Majorze, czy mogę im pozwolić na zmianę pozycji leżącej?

— Nie. I milczeć.

Niebawem wyczuwacz wszedł do samochodu i włożył maskę. Pomknęliśmy parę mil dalej. Znowu zdjął maskę i zaczął spacerować. Tym razem mówił coś to do jednego, to do drugiego oficera bojowego, a ci potakiwali i szkicowali coś w blokach rysunkowych.

Odwiedziliśmy jeszcze ze dwanaście miejsc, a oni za każdym razem wykonywali taki same, na oko bezsensowne czynności.

Zanim nas opuścili, oficer, który coś tam rysował, wyrwał z bloku kartkę i wręczył mi ją.

— Macie tu mapę podterenu. Ta szeroka czerwona krecha to jedyny bulwar Pluskwo-Pajęczaków w waszym rejonie. Zaczyna się na głębokości tysiąca stóp, ale wznosi się stopniowo w kierunku lewej strefy tyłów, gdzie osiąga głębokość już tylko czterystu pięćdziesięciu stóp. Niebieska siatka, łącząca się z nim, to kolonia Pluskwo-Pajęczaków. Zaznaczyłem jedyne miejsce, gdzie podchodzi pod powierzchnię na sto stóp. Możecie zainstalować tam aparaty podsłuchowe, dopóki sami się tym nie zajmujemy.

Gapilem się na kartkę.

— Czy na tej mapie można polegać? Oficer rzucił okiem na wyczuwacza:

— Oczywiście, idioto! I w ogóle, co ty wygadujesz? Chcesz go zmartwić?

Odjechali, a ja studiowałem rysunek. Inżynier-artysta wykonał szkic z kopią, a pudełko przetworzyło ten szkic na obraz przestrzenny tego, co znajdowało się o tysiąc stóp pod powierzchnią.

Tak byłem oszołomiony, że musiano mi przypomnieć, iż oddział jest wciąż w pozycji zamrzym! Odwołałem ten rozkaz, poleciłem zdjąć podsłuchiowce z krateru, wezwałem po dwóch żołnierzy z każdej sekcji i kazałem im wziąć namiary według tej piekielnej mapy i nasłuchiwać, co dzieje się na szosie i w mieście Pluskwo-Pajęczaków.

Połączyłem się z kapitanem. Obciął mnie krótko, kiedy zacząłem opisywać tunele Pluskwo-Pajęczaków.

— Major Landry przesłał mi fototelegram. Podaj tylko współrzędne swoich punktów podsłuchowych.

Podąłem.

— Nieźle, Johnnie, ale niezupełnie tak, jak bym sobie życzył. Ustawieś za dużo podsłuchiowaczy nad ich tunelami. Postaw czterech wzdłuż autostrady i czterech wokół tego ich miasta. Pozostali niech obsadzą obszar po drugiej stronie tunelu.

— Rozkaz. — Ale spytałem: — Kapitanie, czy możemy polegać na tej mapie?

— O co ci chodzi?

— No... wygląda mi to jak magia. Czarna magia.

— Słuchaj, synu, otrzymałem specjalne polecenie dla ciebie od Marszałka Nieba. Kazał ci zakomunikować, że to jest oficjalna mapa... i że on sam będzie się o wszystko martwić, a ty masz zająć się swoim oddziałem. Zrozumiano?

— Tak jest, kapitanie.

— Ale ponieważ Pluskwo-Pajęczaki mogą bardzo szybko wygrzebywać się i wybijać sobie jamy, zwróć szczególną uwagę na posterunki podsłuchowe poza obszarem ich tuneli. O każdym hałasie dochodzącym stamtąd, głośniejszym od szmeru skrzydeł motyla, należy mi natychmiast meldować!

— Zrozumiałem.

— Kiedy się wygrzebują, to słycać, jakby boczek skwierczał na patelni. Mówię na wypadek, gdybyś nigdy dotychczas tego nie słyszał. Możesz już nie patrolować terenu. Zostaw tylko jednego, żeby obserwował krater i niech żołnierze śpią na zmianę po dwie godziny. Ci, co będą czuwali, mają obsługiwać nasłuch.

— Tak jest.

— Może jeszcze przybędą inżynierowie bojowi. Skorygowany plan działań wygląda następująco: kompania saperów wysadzi, a następnie zakorkuje główny tunel. W ten sposób zostanie zablokowany pokaźny odcinek ich arterii przelotowej i odcięta znaczna część kolonii. Takie same akcje będą podjęte na innych obszarach. A potem zobaczymy. Może Pluskwo-Pajęczaki przebiją się na powierzchnię i będziemy mieli regularną bitwę albo też przycupną na dole i wtedy będziemy musieli zejść do nich, kolejno sektor po sektorze.

Wcale nie byłem pewny, czy zrozumiałem, ale przynajmniej wiedziałem, co mam robić: przegrupować posterunki podsłuchowe i położyć spać połowę oddziału. A potem polowanie na Pluskwo-Pajęczaki.

Ja sam nie miałem zamiaru spać. Nie kazano mi i nie prosiłem o to. Myśl o spaniu, kiedy wiedziałem, że tysiące Pluskwo-Pajęczaków znajdowało się o paręset stóp pod mną, przyprawiała mnie o skurcze żołądka. Być może jednak, że ten wyczuwacz nie mylił się i nasze posterunki podsłuchowe zaalarmują nas, kiedy potwory zaczną się wygrzebywać. Być może. Ale nie chciałem ryzykować.

Przygryzłem swój prywatny obwód.

— Sierżancie.

— Słucham?

— Możecie się zdrzemnąć. Ja będę czuwał.

— Co takiego?

— O ile zrozumiałem, skorygowany plan nie przewiduje żadnej akcji na najbliższe cztery godziny. Więc pan może się teraz przespać, a potem...

— Nie ma mowy! Nie pójdę spać. Skontroluję posterunki podsłuchowe i będę czekał na tych saperów.

— Johnnie! Przetawilem obwód.

— Słucham, kapitanie? — Czy stary podsłuchiwał?

— Wszystkie posterunki ustawione?

— Tak jest, kapitanie, i połowa oddziału śpi. Teraz zajmę się inspekcją posterunków.

Potem...

— Niech to zrobi sierżant. A ty wypocznij.

— Ależ kapitanie!

— Połóż się. To jest rozkaz. Przygotuj się do snu... raz... dwa... trzy...!

I nagle głośno moje imię:

— Johnnie!

— Kapitanie, za pozwoleniem, wolałbym najpierw dokonać inspekcji posterunków. Potem odpocznę, jeśli jest taki rozkaz, ale wolałbym raczej nie spać. Ja...

Blackie ryknął mi w ucho:

— Słuchaj, synu, spałeś godzinę i dziesięć minut.

— Jak to?

— Spórz na zegarek.

Spojrzałem, i zrobiło mi się głupio. Uśpił mnie zakodowanym rozkazem. Hipnoza.

— Rozbudziłeś się już, synu?

— Tak jest, kapitanie. Myślę, że tak.

— Teraz już wszystko szybko się potoczy. Skontroluj posterunki i zamelduj.

Zacząłem inspekcję. Nie odezwałem się słowem do sierżanta, bo byłem zły i na niego, i na kapitana. Uważałem, że to świństwo kłaść mnie spać wbrew mej woli. A co do sierżanta, miałem niemiłą świadomość, że to on jest tu raczej szefem, a nie ja.

Po sprawdzeniu dwóch posterunków uspokoiłem się nieco. Mimo wszystko głupie było obwinianie sierżanta za to, co robił kapitan.

— Sierżancie.

— Słucham, panie Rico?

— Chcecie teraz się zdrzemnąć? Zawahał się.

— Wolałbym najpierw skontrolować nasłuch.

— Jeszczeście tego nie zrobili?

— Nie. Spałem przez ubiegłą godzinę.

— Co takiego? Był zakłopotany.

— Tak sobie życzył kapitan. Przekazał komendę chwilowo Brumby'emu i uśpił mnie.

Chciałem coś powiedzieć, ale tylko roześmiałem się bezradnie.

— Sierżancie, może pójdziemy razem w jakiś kąt i utniemy sobie drzemkę? Przecież i tak kapitan Blackie rządzi tym oddziałem.

— Przekonałem się — odparł sztywno — że kapitan Blackstone nigdy nie robi nic bez uzasadnionego powodu.

Pokiwałem głową, zapominając, że byłem oddalony o dziesięć mil od mego rozmówcy.

— Tak, macie rację, zawsze znajduje jakiś powód. Hmm... widocznie chce, żebyśmy byli wyspani i w pełnej gotowości.

— I ja tak sądzę.

— Hmm... a domyślacie się dlaczego? Długo zwlekał z odpowiedzią.

— Panie Rico — rzekł z wolna — gdyby kapitan sam wiedział, powiedziałby nam. Nie przypominam sobie, by kiedyś utrzymywał jakąś tajemnicę. Ale czasem coś robi i nie potrafi wytłumaczyć dlaczego. Przeczucia... No cóż, nauczyłem się je szanować.

Skontrolowałem wysunięte posterunki, a potem te, które otaczały siedzibę Pluskwo-Pajęczaków. Przez cały czas zmuszałem się, by włączać słuchawki, bo przecież można było usłyszeć, jak na dole gadały ze sobą! Miałem ochotę zmykać, gdzie pieprz rośnie i bałem się tylko, by nie dać tego po sobie poznać.

Zastanawiałem się, czy ten wybitny talent nie był po prostu obdarzony nieprawdopodobnie wrażliwym słuchem. Nieważne zresztą, jak to zrobił, fakt, że Pluskwo-Pajęczaki znajdowały się tam, gdzie wskazał.

Jeszcze w O.S.K. zaznajamiano nas z nagranyymi na taśmę głosami Pluskwo-Pajęczaków. Cztery nasze posterunki odbierały typowy gwar wielkiego skupiska tych stworów — ćwierkanie, które mogło być ich mową, jakieś szmery, trzaski i wysoki, przeciągły jęk, powodowany przez urządzenia mechaniczne.

Nie słyszałem jednak tego charakterystycznego odgłosu, który powstaje, kiedy przebijają się przez skały.

Z arterii przelotowej Pluskwo-Pajęczaków dochodziły inne dźwięki niż z osiedla. Było to przytłumione dudnienie, narastające co parę chwil do grzmotu, jakby przejeżdżały ciężkie pojazdy.

Wpadł mi do głowy genialny pomysł: przy wszystkich czterech punktach nasłuchowych ustawiłem żołnierzy, którzy mieli dawać znaki za każdym razem, gdy dudnienie stawało się najgłośniejsze.

Wkrótce mogłem złożyć meldunek.

— Kapitanie.

— Co znowu, Johnnie?

— Ruch na autostradzie Pluskwo-Pajęczaków jest jednokierunkowy, ode mnie w waszą stronę. Szybkość około stu mil na godzinę, a ciężar przesuwa się raz na minutę.

— Dość dokładnie — zgodził się. — Mnie wypadło sto pięć, z częstotliwością co pięćdziesiąt osiem sekund.

— Och. — Zrobiło mi się głupio, poczułem się zniechęcony i zmieniłem temat.

— Nie przybyła jeszcze ta kompania saperska.

— I nie przybędzie. Wybrali miejsce gdzieś na tyłach. Przepraszam, powinienem ci powiedzieć. Czy coś jeszcze?

— Nie, nic. — Rozłączyliśmy się i poczułem się lepiej. Nawet Blackie może o czymś zapomnieć... a poza tym mój pomysł wcale nie był taki głupi.

Przeniosłem się ze strefy tunelowej na tyły obszaru zajętego przez Pluskwo-Pajęczaki, gdzie był nasz ostatni posterunek nasłuchowy.

Dwóch ludzi spało, jeden nasłuchiwał, jeden był w pogotowiu.

— Macie coś?

— Nic.

Ten, który nasłuchiwał, to był jeden z moich pięciu rekrutów. Spojrzał na mnie i powiedział:

— Chyba to urządzenie wysiadło.

— Zaraz sprawdzę — oświadczyłem.

Odsunął się, żebym mógł włożyć swoją wtyczkę. Zatrzeszczało.

— Skwierczący boczek! I to jak głośno, prawie pachnie. Włączyłem obwód do wszystkich żołnierzy.

— Pierwszy oddział, wstawać! Zbudzić się i zameldować! Zbudzić się i zameldować!

Przygryzłem obwód oficerski.

— Kapitanie! Kapitanie Blackstone! Bardzo pilna sprawa!

— Spokojnie, Johnnie. Melduj.

— Skwierczący boczek, wyraźnie słyhać. — Mówiłem, starając się rozpaczliwie, by mój głos brzmiał normalnie. — Posterunek dwunasty, współrzędne W-9. Pierwszy Czarny Kwadrat.

— W-9 — powtórzył. — Ile decybeli?

Szybko rzuciłem okiem na przyrząd pomiarowy.

— Nie wiem, kapitanie. Poza skalą! Zupełnie jakby to się działo pod moimi nogami!

— Doskonale! — ucieszył się. Byłem zdumiony, że mógł to tak odebrać. — To najlepsza wiadomość, jaką dziś otrzymałem! A teraz słuchaj, synu. Zbudź swoich chłopaków.

— Już to zrobiłem!

— Świetnie. Weź dwóch podsłuchiwczy, niech sprawdzają na wrywki teren wokół dwunastego posterunku. Starajcie się wywnioskować, w którym miejscu będą się wylamywać. Tylko trzymaj mi się z daleka od tego miejsca. Zrozumiałeś?

— Usłyszałem — powiedziałem ostrożnie. — Ale nie rozumiem.

Westchnął.

— Osiwieję przez ciebie, Johnnie. Słuchaj, synu. Chcemy, żeby wylazły na powierzchnię i im więcej ich wyjdzie, tym lepiej. Nie masz dostatecznej siły ognia, by je załatwić. Jeśli wyjdą w wielkiej masie, to pułk nie da im rady. Ale generał marzy, żeby wyszły i ma w pogotowiu na orbicie brygadę broni pancernej. Do ciebie należy dostrzec, gdzie wychodzą, odsunąć się i mieć je na oku. Jeśli będziesz miał szczęście i największy wysyp nastąpi na twoim terenie, to meldunek o tym zawędruje na samą górę. Już wiesz? Pamiętaj — nie atakować! No, chyba żebyś musiał się bronić...

Przez następne trzydzieści siedem minut nic się nie działo. Łaziłem po całym obszarze wokół W-9, nasłuchując co pięć sekund. Mikrofonów już nie trzeba było montować

w skale, wystarczyło je tylko przyłożyć, a już rozlegało się jasno i wyraźnie skwierczenie boczków. Teren, skąd dochodziły odgłosy, rozszerzał się, ale samo centrum pozostawało bez zmiany.

Potem wszystko stało się nagle.

Jakiś głos zawołał przez obwód zawiadowczy:

— Boczek się smaży! A-2.

Przełączyłem się i krzyknąłem:

— Kapitanie, skwierczący boczek na A-2, Czarny Pierwszy Kwadrat! — I natychmiast nawiązałem łączność z plutonami w sąsiedztwie: — Boczek skwierczy na A-2, Czarny Pierwszy! — Usłyszałem zaraz, jak De Campo raportował:

— Odgłosy skwierczącego boczków przy A-3. Zielony Dwunasty.

Przekazałem to Blackiem, a z obwodu łączącego mnie ze zwiadem usłyszałem:

— Pluskwo-Pajęczaki! Pluskwo-Pajęczaki! Ratunku!!!

— Gdzie?

Nie było odpowiedzi. Pstryknąłem znowu.

— Sierżancie! Kto meldował o Pluskwo-Pajęczakach?

— Wyłażą ze swojego miasta w okolicy B-6.

— Na nich! — Przełączyłem się na Blackiego. — Pluskwo-Pajęczaki na B-6. Czarny Pierwszy!

— Słyszałem, że wydałeś już rozkaz, aby na nich uderzyć — odpowiedział spokojnie.

— A jak koło W-9?

— W-9 jest... — Grunt rozstał mi się pod nogami. Otoczyły mnie Pluskwo-Pajęczaki.

Nie mogłem pojąć, co się stało. Nie byłem ranny. Czułem się tak, jakbym spadł pomiędzy gałęzie drzewa — ale te gałęzie były żywe i popychały mnie w różne strony. Mój żyroskop na próżno starał się utrzymać mnie w pozycji pionowej. Spadłem w głąb o jakieś dziesięć lub piętnaście stóp i nie dochodziło tam już światło dzienne.

Potem fala żyjących potworów wyniosła mnie ku górze. Przydało się szkolenie, bo wylądowałem na nogach, walcząc i mówiąc jednocześnie.

— Przełom na W-10! Nie, W-11. Tu się teraz znajduję. Ogromna dziura, którą wylewają się na zewnątrz. Albo jeszcze więcej.

— Uciekaj stamtąd, Johnnie!

— Rozkaz — i zamierzałem skoczyć.

I nagle zdałem sobie sprawę, że przecież powinienem już nie żyć.

— Sprostowanie — wykrzyknąłem, nie wierząc własnym oczom. — Przełom na W-11, to dywersja. Nie ma tu wcale wojowników.

— Powtórz..

— W-11, Pierwszy Czarny. Przełom został dokonany wyłącznie przez robotników. Nie widać wojowników. Jestem otoczony Pluskwo-Pajęczakami i wciąż ich przybywa, ale żaden nie jest uzbrojony. Ci, którzy są wokół mnie, mają typowe cechy robotników. Nie zostałem zaatakowany. — Spytałem: — Czy sądzicie, kapitanie, że to może być akcja pozorowana, a właściwy przełom będzie gdzie indziej?

— Możliwe — przystał na moje przypuszczenie. — Twój raport zostanie natychmiast przekazany do Dywizji. Niech oni myślą. Pokręć się tam jeszcze i popatrz, czy to rzeczywiście wszystko robotnicy, ale uważaj, żebyś mógł się wydostać.

— Tak jest, kapitanie. — Skoczyłem wysoko i daleko, aby znaleźć się poza masą tych nieszkodliwych wprawdzie, ale obrzydliwych stworów.

Cała skalista równina, jak okiem sięgnąć, pokryta była czarnymi, pełzającymi we wszystkich kierunkach, monstrualnymi kształtami. Wycisnąłem wszystko, co się dało z silniczków odrzutowych, dokonując potężnego skoku. Zawołałem do jednego z żołnierzy:

— Hughes! Co u ciebie?

— Pluskwo-Pajęczaki, panie Rico! Miliony! Podpalam każdego, który się nawinie!

— Hughes! Przyjrzyj im się dobrze. Czy próbują walczyć? A może to wszystko robotnicy? — Opadłem na dół i znów się odbiłem. A on mówił dalej:

— Ojej! Rzeczywiście. Skąd pan wiedział?

— Dołączcie do swojej sekcji, Hughes! — Zmieniłem obwód. — Kapitanie, parę tysięcy Pluskwo-Pajęczaków wylazło z niezliczonej ilości dziur. Nie jestem atakowany. Powtarzam. Nikt mnie nie atakuje. Jeśli są między nimi wojownicy, to używają robotników jako osłony.

Nie odpowiedział.

Daleko, z lewej strony, rozbłysło oślepiające światło, zaraz potem pojawił się taki sam błysk po prawej. Automatycznie odnotowałem czas i współrzędne.

— Kapitanie Blackstone, odezwijcie się. Podskoczyłem jak najwyżej i starałem się dostrzec jego sygnał świetlny, ale horyzont zamykały wzgórza Drugiego Czarnego Kwadratu. Znów przełączyłem się i zawołałem:

— Sierżancie! Czy możecie retransmitować do kapitana? W tym momencie zgasł sygnał mego sierżanta. Wpatrzyłem się w obraz i dostrzegłem Brumby'ego i Cunhę, dowódców ich sekcji i łączników.

— Cunha! Gdzie jest sierżant?

— Przeprowadza rozpoznanie jamy.

— Powiedzcie mu, że zaraz dołączę. — Przełączyłem obwód nie czekając na odpowiedź. — Pierwszy oddział Lampartów do drugiego oddziału — potwierdzić odbiór!

— Czego chcesz? — warknął porucznik Koroshen.

— Nie mogę złapać kapitana.

— Nieosiągalny. Wsiadł.

— Nie żyje?

— Żyje. Ale skończył mu się napęd. Wsiadł.

— Och. To pan porucznik jest teraz dowódcą kompanii?

— Tak. Tak. Ale czego chcesz? Pomocy?

— Och... nie. Nie, panie komendancie.

— No to zamknij się, jak nie potrzebujesz pomocy. I tak ledwo dajemy sobie radę.

— Rozkaz. — Nagle spostrzegłem, że sam też ledwo sobie radzę.

Rozmawiając z Koroshenem, nastawiłem ekran na całą ostrość. Zobaczyłem ze zdumieniem, że pierwszy pododdział znika! Najpierw zgasło światło sygnalizacyjne Brumby'ego.

— Cunha! Co się dzieje z moim pierwszym pododdziałem?

Głos miał bardzo napięty, kiedy się odezwał.

— Schodzę w dół za sierżantem.

Jeśli istnieją jakiegokolwiek przepisy regulaminowe usprawiedliwiające postępowanie Brumby'ego, to ja ich nie znam. Czyżby Brumby działał bez rozkazu? A może wydano mu rozkazy, których ja nie słyszałem? Tak czy inaczej, znajdował się głęboko w jamie Pluskwo-Pajęczaków, poza zasięgiem wzroku i słuchu — nie był to więc odpowiedni moment na formalistykę. Sprawy dyscyplinarne postanowiłem odłożyć do jutra. O ile obaj będziemy mieli to jutro...

— Dobra — powiedziałem — już jestem z wami — i po jeszcze jednym skoku wylądowałem wśród oddziału. Dostrzegłem po prawej stronie Pluskwo-Pajęczaka i natychmiast mu przyłożyłem. Ten nie był robotnikiem, walczył i strzelał.

— Straciłem trzech ludzi — meldował Cunha zdyszonym głosem. — Nie wiem, jakie są straty Brumby'ego. Dokonali przełomu równocześnie w trzech miejscach, stąd te ofiary. Ale...

Potężny wstrząs odrzucił mnie na bok. Czy to nasi saperzy wbijali korki?

— Pierwsza sekcja! Być w pogotowiu na wypadek następnego wybuchu!
— Wylądowałem byle jak, na trzech czy czterech Pluskwo-Pajęczakach. Nie byli martwi, ale też i nie walczyli, tylko drgali i kurczyli się. Przyłożyłem im granatem i znów skoczyłem.

— Wykończcie ich! — zawołałem. — Są oszołomieni. I uważajcie na następny...
— Kolejny podmuch uderzył akurat, gdy to mówiłem. Nie był zbyt silny.

— Cunha! Zarządzić gotowość do akcji.

Sam poszedłem obejrzeć te trzy miejsca, w których wydostawały się Pluskwo-Pajęczaki. Porównanie z mapą podziemia wykazało, że przełomy były w punktach, gdzie tunele najbardziej zbliżały się do powierzchni.

Jeden otwór zasypany był odłamkami skał. W drugim nie było widać aktywności Pluskwo-Pajęczaków, kazałem jednak, aby Cunha postawił tam dwóch ludzi i kazał likwidować każdego pojedynczego Pluskwo-Pajęczaka. A gdyby zaczęli wyłazić gromadnie, to zapieczętować jamę bombą.

Dobrze było Marszałkowi Nieba siedzieć sobie daleko, w fotelu i zabraniać zatykania dziur, ale ja byłem na miejscu, wobec konkretnej sytuacji. Potem spojrzałem w trzeci otwór, który pochłonął sierżanta i połowę mego oddziału.

Tutaj korytarz podchodził niemal pod samą powierzchnię i Pluskwo-Pajęczaki zdjęły tylko strop. Nie miałem pojęcia, gdzie się podziały odwalone kamienie, ściany szczeliny były gładko wyżłobione.

Patrząc na mapę, można było zorientować się, że tamte dwa otwory były wylotami dwóch małych bocznych tuneli, a ten był częścią głównego labiryntu. Tamte służyły akcji dywersyjnej, a przez ten wydostały się główne siły atakujące.

Czy Pluskwo-Pajęczaki widzą poprzez litą skałę?

W jamie nie było nic widać. Ani Pluskwo-Pajęczaków, ani ludzi. Cunha wskazał kierunek, w którym oddalił się drugi pododdział. Minęło już siedem minut, od czasu gdy Brumby poszedł za nim.

Wpatrywałem się w ciemność, a żołądek podchodził mi pod gardło.

— Cunha, przejmiecie pełne dowództwo nad pododdziałem — starałem się mówić lekkim tonem. — Jeśli będzie wam potrzebna pomoc, zwróćcie się do porucznika Koroshena.

— Jakie rozkazy?

— Żadnych. Chyba że przyjdą z góry. Ja schodzę na dół szukać drugiego pododdziału, może więc przez jakiś czas będę nieuchwytny.

Natychmiast skoczyłem w dziurę, bo bałem się, że mi nerwy wysiądą. Za sobą usłyszałem:

— Pododdział! Za mną marsz! — i Cunha też skoczył na dół.

Nie będę już czuł się taki samotny.

Rozkazałem zostawić dwóch ludzi przy otworze, by zabezpieczali nasz odwrót — jeden stał na dnie tunelu, drugi przy wejściu. Potem poprowadziłem ich w ślad za drugim pododdziałem, tak szybko jak było to możliwe.

Posuwaliśmy się raczej z trudnością, gdyż strop tunelu wisiał nam nad głowami. Natychmiast stały się potrzebne noktowizory. Potwierdziły się nasze przypuszczenia — Pluskwo-Pajęczaki odbierały promienie podczerwone. Dzięki noktowizorom ciemny tunel okazał się dość dobrze oświetlony. Nie wyróżniał się niczym specjalnym: gładkie skalne ściany sklepione na górze i równe podłoże.

Doszliśmy do skrzyżowania z drugim tunelem i kazałem zatrzymać się. Istnieją szczegółowe przepisy dotyczące dysponowania siłami zbrojnymi pod ziemią, ale na co

mogą się przydać? Ci, którzy je wymyślili, na pewno nigdy nie byli w takich warunkach... Dopiero po zakończeniu operacji Rodzina Królewska, jeśli ktoś przeżyje, będzie mógł powiedzieć, jakie posunięcia są słuszne i skuteczne. Jeden z przepisów nakazuje ustawiać posterunki przy każdym rozgałęzieniu. Ja już jednak zostawiłem dwóch żołnierzy, by strzegli drogi naszego odwrotu, i gdybym przy każdym skrzyżowaniu pozostawiał dziesięć procent swoich sił, to sam szedłbym na pewną śmierć.

Postanowiłem, że będziemy trzymać się razem... i postanowiłem, że nikt nie może dostać się do niewoli. Nie u tych potworów. Już lepiej zginąć.

Od razu ciężar spadł mi z serca i przestałem się martwić.

Zajrzałem ostrożnie do obu ramion skrzyżowania. Pluskwo-Pajeczaków nie było. Zawołałem przez obwód podoficerski:

— Brumby!

Wynik był zdumiewający. Tutaj, pod ziemią, w sieci nie kończących się korytarzy, mój głos rozległ się niczym trąba jerychońska:

— BRRRRUMMBY!

Aż mi zadzwoniło w uszach. A potem zabrzmiało:

— PAANIE RRICCO!

— Nie tak głośno — powiedziałem, sam starając się prawie szeptać. — Gdzie jesteście?

Brumby odparł już nie tak grzmiącym głosem:

— Nie mam pojęcia. Zgubiliśmy się.

— Uspokójcie się. Idziemy wam z pomocą. Nie możecie być daleko. Czy sierżant jest z wami?

— Nie. My nie...

— Zaczekaj. — Przełączyłem obwód — Sierżancie.

— Odbieram. Słucham. — Mówił spokojnie, nie podnosząc głosu. — Jestem w kontakcie radiowym z Brumbym, ale nie możemy się spotkać.

— Gdzie jesteście? — pytałem dalej. Chwilę zawahał się.

— Moja rada jest następująca — połączcie się z Brumbym i wracajcie razem na powierzchnię.

— Odpowiedzcie na moje pytanie!

— Panie Rico, możecie łązić tu tydzień i nie znajdziecie mnie... A ja nie jestem w stanie się ruszyć. Musicie...

— Dość tego, sierżancie! Jesteście ranni?

— Nie, ale...

— No to dlaczego nie możecie się ruszyć? Kłopoty z Pluskwo-Pajęczakami?

— Jest ich tu mnóstwo. Nie mogą dobrać się do mnie...ale ja nie mogę wyjść. Lepiej więc żebyście...

— Sierżancie, tracicie czas! Będę patrzył na mapę, a wy powiecie mi, gdzie skręcicie. Podajcie zapis z noniusza i ślad izotopów znaczonych. To rozkaz.

Złożył raport dokładnie i zwięźle. Zapaliłem lampkę nad czołem, podrzuciłem noktowizory i śledziłem to, co mówił, na mapie.

— W porządku — oświadczyłem. — Znajdujecie się wprost pod nami, o dwa poziomy niżej i wiem, gdzie mam skręcić. Przyjdziemy, gdy tylko połączymy się z drugim pododdziałem. Trzymaj się! — Znowu się przełączyłem. — Brumby!

— Słucham.

— Gdy przyszlście do pierwszego rozgałęzienia tunelu, to gdzie skierowaliście się: na prawo, w lewo, czy prosto?

— Wprost przed siebie.

— Dobra. Cunha, prowadź. Brumby, masz kłopoty z Pluskwo-Pajęczakami?

— Teraz nie. Ale właśnie przez to się zgubiliśmy. Zaczęliśmy się z nim bić... i jak się skończyło, zaczęliśmy kręcić się w kółko.

Chciałem koniecznie zebrać razem cały pluton i wydostać się na powierzchnię. Brumby wskazał nam dwa następne zakręty. Do każdego pustego mijanego korytarza wrzucałem bombę płaszonózkę, która zamiast zabijać, sprawia, że Pluskwo-Pajęczaki płasają jak w paralitycznych konwulsjach. Wyposażono nas w nie specjalnie na tę akcję, ale chętnie wymienilibym całą tonę płaszonózek na parę funtów uczciwego dynamitu.

Na pewnym, dość długim odcinku, straciłem łączność z Brumbym — nastąpiły chyba jakieś zakłócenia w odbiorze fal radiowych, gdyż za następnym skrzyżowaniem znów się słyszeliśmy. Ale już nie umiał mi powiedzieć, gdzie mam skręcić.

I wtedy właśnie uderzyli.

Nie wiem, skąd się wzięli. Było zupełnie spokojnie i nagle usłyszałem w tyle kolumny krzyki: „Pluskwo-Pajęczaki! Pluskwo-Pajęczaki!” Odwróciłem się i już okazało się, że są wszędzie. Podejrzewam, że te gładkie ściany wcale nie były takie solidne, jak na to wyglądały, no bo przecież jak inaczej mogły się tak nagle wokół nas znaleźć?

Nie mogliśmy używać miotaczy ognia, nie mogliśmy rzucać bomb, z obawy, że spowodujemy straty we własnych szeregach. Pozostały nam jednak ręce i nogi.

Chyba nie trwało to dłużej niż minutę. Pluskwo-Pajęczaków już nie było, pozostało tylko trochę ich szczątków i czterech leżących piechurów.

Jednym z nich był sierżant Brumby. Nie żył. W czasie tej bijatyki dołączył do nas drugi pododdział. Nie byli daleko i trzymali się razem z obawy, by nie zginąć w tym labiryncie. Usłyszeli odgłosy walki i to pozwoliło im nas odszukać.

Ruszyliśmy dalej... i udało nam się znaleźć te Pluskwo-Pajęczaki, które oblegały naszego sierżanta.

Zdażył uprzedzić mnie, czego mamy oczekiwać. Otóż udało mu się schwytać mózg Pluskwo-Pajęczaków i osłaniał się jego rozdętym ciałem jak tarczą. Nie mógł wyjść, ale

też i oni nie mogli rzucić się na niego nie popełniając (dosłownie) samobójstwa przez uszkodzenie własnego mózgu.

Przed nami takiej przeszkody nie było i zaatakowaliśmy ich z tyłu.

Zacząłem przyglądać się tej monstrualnej masie, którą trzymał sierżant, i pomimo naszych strat odczułem triumf i szaloną radość.

Nagle usłyszałem tuż, tuż skwierczenie boczku. Kawał sklepienia zwałił się na mnie i w tym momencie, przynajmniej dla mnie, skończyła się operacja Rodzina Królewska.

Obudziłem się w łóżku na transportowcu Argonne, ale myślałem, że jestem w O.S.K. i że miałem długi koszmarny sen o Pluskwo-Pajęczakach...

Długo trwało, zanim uporządkowałem sobie pewne szczegóły operacji Rodzina Królewska. Inne — pozostały dla mnie tajemnicą. Dlaczego na przykład Brumby wprowadził swój pododdział do tunelu? Brumby nie żyje i Naidi też, a mnie na pociechę pozostała świadomość, że zdążyłem obu awansować i że nosili odznaki swego stopnia tego dnia na planecie P, kiedy wszystko potoczyło się niezgodnie z planem. Wreszcie dowiedziałem się, dlaczego sierżant z mojego oddziału postanowił zejść do miasta Pluskwo-Pajęczaków.

Otóż usłyszał mój raport, skierowany do kapitana Blackstone'a, w którym meldowałem, że ten największy wyłom był w istocie tylko akcją pozorowaną i że robotników wysłano na rzeź. Kiedy prawdziwi wojownicy zaczęli wygrzebywać się obok, doszedł do wniosku, że działania Pluskwo-Pajęczaków są posunięciem desperackim, skoro zdecydowali się poświęcić robotników.

Zorientował się, że kontratak Pluskwo-Pajęczaków przeprowadzany był raczej słabymi siłami, co dowodziło, że nie mają dostatecznych rezerw. Pomyślał, że jest to jedyny, niepowtarzalny moment, aby działając w pojedynkę odnaleźć i pochwytać kogoś z rodziny królewskiej. A przecież to właśnie było celem całego przedsięwzięcia.

Wykorzystał ten moment — i udało mu się.

W ten sposób pierwszy oddział Lampartów wypełnił swoją misję. Mało który oddział może to o sobie powiedzieć. Nie schwytano, niestety, żadnej królowej (Pluskwo-Pajęczaki pozabijali je), tylko sześć mózgów.

Mózgi nie zostały wymienione za naszych jeńców, bo nie żyły dość długo. Ale chłopcy z Wojskowej Służby Psychologicznej zdołali pobrać żywe wycinki. Można więc uważać operację Rodzina Królewska za sukces.

Sierżant z mojego oddziału dostał przydział do służby polowej. Nie zdziwił mnie też jego awans. Kapitan Blackie powiedział mi przecież, że dostaję najlepszego sierżanta w całej Armii, a nigdy nie miałem powodu wątpić w słuszność opinii Blackiego. Już kiedyś zresztą znałem tego sierżanta. Nie sądzę, aby inni o tym wiedzieli... Nie ode mnie i z pewnością nie od niego. Wątpię, czy sam Blackie o tym wiedział. Znałem tego sierżanta od pierwszego dnia, kiedy stałem się rekrutem.

Jego nazwisko brzmi: Zim.

Mój udział w operacji Rodzina Królewska nie wydawał mi się osobistym sukcesem. Przebywałem na Argonne ponad miesiąc, najpierw jako pacjent, potem jako ozdrowieniec bez przydziału, dopóki u kresu tej kosmicznej podróży nie wylądowaliśmy na Sanctuary. Miałem sporo czasu, aby różne sprawy przemyśleć... Myślałem o zabitych i rannych, o tym, że właściwie spartaczyłem swoją robotę będąc przez tak krótki czas dowódcą oddziału. Nie potrafiłem być takim magikiem, jakim powinien być porucznik. I nie zostałem ranny w bitwie, tylko spadł na mnie kawał skały.

Nie wiedziałem nawet, czy żyje kapitan Blackstone (żył i ponownie objął dowództwo, gdy jeszcze byłem w labiryncie) i nie miałem pojęcia, jaka procedura obowiązuje, jeśli kandydat żyje, a jego egzaminator zginął. Spodziewałem się jednak, że przepisy zezwolą mi objąć dawną funkcję sierżanta. I wydawało mi się wtedy zupełnie nieważne, że moje książki do matematyki wędrują na innym statku.

Jednakże, kiedy po tygodniu wstałem z łóżka i wałkonilem się dzień i drugi, to wreszcie pożyczyłem parę podręczników od jednego młodszego oficera. Matematyka nie jest łatwa, wymaga skupienia i absorbuje umysł. Nikomu nie zaszkodzi, gdy się czegoś nauczy, bez względu na to, jaki ma stopień wojskowy. Wszystko, co ma jakiegokolwiek znaczenie, oparte jest na matematyce.

Kiedy wreszcie zameldowałem się w O.S.K. i zwróciłem swoje gwiazdki, okazało się, że znów jestem kadetem, a nie sierżantem. Sądzę, że stało się to dzięki przychylności kapitana Blackstone'a.

Mój współlokator, Anioł, siedział w pokoju z nogami na biurku — a na blacie leżała paczka, moje książki do matematyki. Spojrzał na mnie ze zdumieniem.

— Cześć, Juan! A myśmy myśleli, że już po tobie!

— Po mnie? Widocznie nie spodobałem się Pluskwo-Pajęczakom. Kiedy ty lecisz?

— Ja już byłem — oznajmił Anioł. — Zaraz następnego dnia po tobie. Dokonałem trzech zrzutów i tydzień temu wróciłem. Co ci zajęło tyle czasu?

— Wybrałem dłuższą drogę do domu. Byłem przez miesiąc pasażerem.

— Niektórym to się wiedzie... A jak ze zrzutami?

— Nie było żadnego — przyznałem się. Wybałuszył oczy.

— Niektórzy to dopiero mają szczęście!

Być może Anioł miał rację, bo dyplom także otrzymałem. Prawdę mówiąc, sam się do tego przyczynił, bo codziennie mnie przepytywał.

Myślę, że moje szczęście to ludzie — i Anioł, i Jelly, i Porucznik, i Carl, i pułkownik Dubois, a także i mój ojciec, i Blackie, i Brumby, i Ace — i zawsze sierżant Zim. Teraz — honorowy kapitan Zim, ze stałą rangą porucznika. Nie byłoby przyzwoicie, gdybym miał wyższy stopień.

W dzień po promocji ja i mój kolega Bennie Montez staliśmy na kosmodromie, czekając na swoje statki. Byliśmy świeżo upieczonymi podporucznikami i onieśmiewało nas, gdy nam salutowano. Starałem się to ukryć, wczytując się w listę statków krążących wokół Sanctuary. Lista była tak długa, że na pewno coś się szykuje, chociaż nic nam o tym nie wspomniano.

Czułem rosnące podniecenie. Miałem dwa gorące pragnienia: aby wysłano mnie do mojej starej jednostki i żeby mój ojciec wciąż tam jeszcze był. A teraz to, co miało nadejść, znaczyło, że będą jakieś poważne zrzuty i że porucznik Jelal znów weźmie nas w obroty. Takie myśli kłębiły mi się w głowie, kiedy studiowałem tę listę. Jakie mnóstwo nazw. Czytałem je powoli...

— Któryś powinien nazywać się Magsaysay — powiedziałem.

— Dlaczego? — zapytał Bennie.

— Ramon Magsaysay — wyjaśniłem. — Wielki człowiek, wielki żołnierz. Dziś byłby zapewne szefem wojny psychologicznej, gdyby żył. Czy nigdy nie uczyłeś się historii?

— A jakże — zaprotestował Bennie. — Wiem, że Simon Bolivar zbudował piramidy, zatopił Wielką Armadę i wyruszył w pierwszą podróż na Księżyc.

— Zapomniałeś jeszcze, że poślubił Kleopatę.

— Och, tak. No cóż, każdy kraj ma własną wersję historii.

— Oczywiście — i powiedziałem coś sam do siebie, a Bennie zapytał:

— Co mówisz?

— Przepraszam cię, Bernardo. To było takie powiedzenie w moim ojczystym języku. Można je mniej więcej przetłumaczyć: Tam dom mój, gdzie serce moje.

— A jaki to był język?

— Tagalog. Mój rodzinny język.

— A nie mówią po angielsku tam, skąd pochodzisz?

— Mówią, naturalnie. W urzędach, w szkołach i tak dalej. Tylko w domach mówimy starym językiem. Tradycja. Rozumiesz.

— Tak. Rozumiem. Ale gdzie ty...

Z megafonów rozległa się melodia Meadowland. Bennie wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Lecę na randkę ze swoim statkiem! Uważaj na siebie, bracie! Do zobaczenia!

— Miej się na baczności przed Pluskwo-Pajęczakami! — Odwróciłem się i czytałem dalej nazwy statków...

I wtedy rozległ się najśłodszy w świecie głos: *...na sławę imienia, na sławę imienia Rodgera Younga!*

Chwyciłem swój worek i pognałem. Tam dom twój, gdzie serce twoje.

Spieszyłem do domu.

14

Czyż jestem stróżem brata mego?

— Genesis, IV: 9

Jak się wam wydaje? Gdyby jakiś człowiek miał sto owiec, a jedna z nich zabłąkałaby się, czyż nie zostawi dziewięćdziesięciu dziewięciu i nie pójdzie w góry i nie będzie szukał tej, która się zabłąkała?

— Mateusz, XVIII: 12

W imię Boga, Zbawcy Miłosiernego... ten, kto ocali życie jednemu, to jakby ocalił życie wszystkim ludziom.

— Koran, sura V, 32

Już czas. — Mój najmłodszy oficer, kadet-podporucznik stał pod drzwiami. Był okropnie młody i zupełnie niedoświadczony.

— Dobrze, Jimmie. — Byłem już w pancerzu. Poszliśmy na tył statku do kanału odpalającego. Idąc, mówiłem: — Pamiętaj, Jimmie. Trzymaj się mnie, ale nie wchodź mi w drogę i nie oszczędzaj amunicji. Gdybym przypadkiem wysiadł, ty jesteś szefem, ale jak będziesz mądry, to dasz sierżantowi wolną rękę.

— Tak jest.

Gdy przyszliśmy, sierżant wydał komendę: — Baczność! — i zasalutował. Ja również i powiedziałem: — Spocznij!

Przeszedłem potem przed frontem pierwszego pododdziału, a Jimmie zrobił przegląd drugiego. Potem i ja skontrolowałem drugi pododdział, sprawdzając wszystkie szczegóły. U każdego. Nic nie znalazłem. Nigdy to się nie zdarza, bo sierżant jest bardzo skrupulatny. Ale to dobrze wpływa na ludzi, jeśli ich stary sam wszystkiego dogląda, poza tym — to mój obowiązek. Stałem przed oddziałem.

— Następne polowanie na Pluskwo-Pajęczaki, chłopcy. Jak wiecie, to będzie trochę inne. Ponieważ trzymają naszych jeńców, nie możemy zrzucić bomby nowa na Klendathu. Wylądujemy więc sami, opanujemy teren i utrzymamy go. Rakiety nie przybędą, by nas ewakuować, dostarczą nam tylko amunicję i racje żywnościowe. Jeśli do-

staniecie się do niewoli — nie załamywać się. Cała jednostka stoi za wami, jest za wami cała Federacja, wyzwolimy was. Chłopcy ze Swamp Fox i Montgomery też na to liczą. Ci, którzy przeżyli, czekają, wiedząc, że się zjawimy. I nie zawiodą się — wyzwolimy ich.

Przyjrzałem im się uważnie.

— Nie zapominajcie, że pomoc może nadejść zewsząd, statki krążą wokół i nad nami. My musimy tylko wypełniać swoje zadanie.

Jeszcze jedno — dodałem. — Otrzymałem list od kapitana Jelala. Donosi, że jego nowe nogi sprawują się doskonale. Prosił również, aby powiedzieć wam, że o was pamięta... że oczekuje, iż okryjecie się sławą. Ja także tego oczekuję. Pięć minut dla Padre.

I znowu zaczęło mną trząść. Poczulem ulgę, gdy mogłem znów wydać komendę: — Baczość! — I potem: — Sekcja... prawa burta i lewa burta... gotowi do zrzutu!

Czułem się jeszcze względnie dobrze, gdy sprawdzałem, jak obsadzają kapsuły po jednej stronie, a Jimmie i sierżant sprawdzali po drugiej.

Potem zamknęliśmy Jimmiego w centralnej kapsule.

Jednak gdy tylko jego twarz zniknęła, znów mnie chwyciło.

Sierżant położył rękę na moim osłoniętym pancerzem ramieniu.

— To tak jak na ćwiczeniach, synu.

— Wiem, ojcze. — I natychmiast przestałem się trząść. — To tylko to czekanie.

— Rozumiem. Cztery minuty. Już zapisać?

— Zaraz, ojcze. — Uścisnąłem go pospiesznie.

Załoga zapieczętowała nas. Drgawki jakoś nie wróciły. Mogłem zameldować:

— Sterownia! Bycze Karki Rico... gotowi do katapultowania!

— Trzydzieści jeden sekund, poruczniku. — I jeszcze dorzuciła: — Powodzenia, chłopcy. Tym razem się uda!

— Tak jest, pani komandor.

— Coś wam zagram, póki czekacie — i włączyła: *Na wieczną chwałę piechoty...*

SPIS TREŚCI

1	2
2	14
3	25
4	30
5	34
6	44
7	54
8	59
9	69
10	74
11	83
12	91
13	104
14	130